

Meierkinsti.

OR B A Z Y .

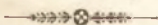
**O B R A Z Y
L I T E W S K I E.**

S E R Y A D R U G A .

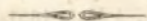
OBRAZY LITEWSKIE

PRZEZ

Ignacego Chodźkę.



SERYA DRUGA.



WYDANIE DRUGIE POPRAWNE.

3 Tomy w Jednym.



W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1851.

Pozwolono drukować , pod warunkiem , aby po wydrukowaniu, złożone były w Komitecie Cenzury exemplarze prawem przepisane. Wilno, 4 Maja 1851 roku.

Cenzor, Radzca Kolleg. i Kaw.

A. MUCHIN.



108887

Cieniom i Pamiątce

ADAMA STRAWIŃSKIEGO,

Najcnotliwszego Obywatela,

Najlepszego swego Przyjaciela,

P O Ś W I Ę C A

A u t o r.

ORRBY

Division 1 Family

ADAM STRAWINSKI

Województwa Wielkopolskiego

Województwa Wielkopolskiego

Województwa Wielkopolskiego

Województwa Wielkopolskiego

BRZEGI WILII.

Służmy poczciwej sławie! a jako kto może.

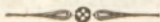
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Jan Kochanowski.

BRZEGI WILII.

I z ojczystych dolin, kwiatów,
Do obrazów zbieram farby!—

• • •



I.

PIEKNA jest szeroka Litwa nasza! Nie upośledził ją Bóg od innych krajów. Natura i tu równie, jak gdzieindziej, bogatą jest w ozdoby i wdzięki, zdolne zachwycić oko, zająć wyobraźnię, podnieść i upoić roskoszą duszę!

W przerwach głębokich lasów naszych, nad brzegami czystych rzek i strumieni, nad nieścigłemi wzrokiem szybami licznych jezior naszych, na samotnych wzgórzach, lub na powabnych do-

linach, ileż to najpiękniejszych okolic w kraju naszym, nietkniętych stopą żadnego wędrowca, nieznanych, i przypadkiem chyba kiedyniekiedy natrafionych, oczekuje w ukryciu pędzla malarza, pienia poety, lub świetnego pióra i dowcipu autora, któryby je opisał, zaludnił, zwiastował ich bytność i piękność ziomkóm i prowadził czytelnika od miejsca do miejsca, jak w pięknej galerii od obrazów do obrazów, na którychby rzeczy i okolice rodzimój ziemi w żywym i naturalnym jaśniały wdzięku.

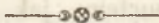
Przebieżmy małą tej ziemi cząstkę, a nie pokuszając się o palmę i zalety wielkim talentóm właściwe, przejdźmy po brzegach rzeki naszej ojczystej *Wilii*!.... tej odwiecznej przyjaciółki naszej, w której wodach dziki niegdyś Litwin poił swego rumaka; nad którą Monarcha kraju tego, mocarza lasów litewskich obaliwszy na ziemię (*), dzielną prawicę swoją krwią dumnego zwierza zbroszoną w czystych jej wodach obmył; która przyjęła w swe łono, i przechowuje na dnie,

(*) Giedymín—Tura.

świętym krzyżem obalone i zepchnięte w jej łóżę stare bogi litewskie: która w późniejszych czasach tylu zdarzeń publicznych, tylu domowych rokoszy była świadkiem!... nad którą upłynął nasz wiek młodzieńczy, dojrzały upływa, nad którą nakoniec stare nasze koście zagrzebią!

Połączmy jej nurtem, jak wstęgą miłej pamięci, kilka wspomnień i podań dawnych z nad jej brzegów, i kilka obrazów wiosny życia naszego, także nad jej brzegami spędzonej, nam i półwiecznym czytelnikom naszym wspólnej i jednoczesnej. Młodości szczęśliwej! pogodnej! żywej! obfitej w uczucia, z uczuć w troski, z trosk w rokosze!... spędzonej w czasie nieodległym jeszcze, gdy ostatki prostoty domowej i towarzyskiej szczeroty naszej stykały się w dobiegających już pasmach z nową terazniejszą, z egoizmu, chciwości i zbytków szczególniejszą tkaniną, mieniającą się obłudnie jak mora, i błyszczącą jak szych fałszywy, w którąśmy się oblekli.— A gdy w takiej obyczajów i życia naszego przemianie szczęście i wesołość ojców naszych nam znikły, niechże przynajmniej zostaną w pamięci sposoby, któremi oni to szczęście i tę wesołość

obudzali; jak na starych kalendarzach znajdziesz
niekiedy przepisy doskonałych kordyałów, któ-
remi niegdyś z apteczek domowych babulki na-
sze orzeźwiały naddziadów.



II.

*W*ilia, poczynając bieg swój na granicy Borysowskiego powiatu (*), płaskim i wązkim przez mil kilkanaście ku południowi posuwa się korytem; lecz wkrótce rzeczki mniejsze, jak družki jej młode, podbiegają z boków; bierze ona je pod ręce i prowadzi się z niemi do Niemna, z którym w małżeńską jedność zlewa się pod Kownem.

Jedną z takich dorodniejszych kompanek Wilii, przypadających szczególnie do wiejskich okolic naszych, jest rzeczka *Narocz*. Z jeziora tegoż samego nazwania, najobszerniejszego w tych stronach, wypływa ona, i również ku południe-

(*) W gubernii Mińskiej.

wi bieg swój obracając, o mil dziesiątek napotyka *Wilę*.— Czysta, po dnie piaszczystém i płytkiem tocząca swe wody, w krótkim, lecz bystrym i krętym swym biegu, wiele ona sioł obrzeża, wiele łąk tworzy i użyźnia, i nieraz w ciemne lasy zachodząc, nie jedną ponurą knieję rozwesela i ożywia.

Gdy na wiosnę prysną lody, szumi i szeroko rozlewa się *Narocz*. Potężne natenczas szczupaki wypadają z jeziora, igrają w pieniących się jej nurtach, i daleko od ojczystych oddalają się toni, do których gdy wracać przyjdzie im ochota, czatujący na tę chwilę ich wesołości chłopiek nieraz powitał w buczu ogromnego gościa, którego ledwo na ramionach mógł dzwignąć.

Wązki i długi półwysep zasuwa się między dwie rzeki w miejscu ich połączenia się, i ciśnięty niecierpliwie przez dwa wodne ramiona, wzajemnie gwałtem je rozdziera. Wzgórek na półwyspie, ogromnemi dębami porośły, panuje nad tą okolicą, trzema szlakami rzek przerzniętą, z których dwie z dwóch stron przeciwnych ku niemu dążą, a trzecia, z obódwuch zlaną, szerszym i wspanialszym nurtem odeń upływa.

Nieraz podczas letniej, cieplej a ciemnej nocy, przedzielony rzeką od wzgórka, zdziwiony postrzegłbyś zdaleka rozniecający się tam płomień; nagle powiększa się on i rozszerza, oznaczają się w blasku, lub nikną w ciemnocie dęby, jak olbrzymy nieruchome; między nimi snują się dziwaczne ludzkie postacie, to kłębami dymu otoczone, to czerwieniejące się około ogniska.... fantastyczne jakieś widma, w szczególniejszém i nieodgadnioném zatrudnieniu i ruchu..... Nakoniec cała ta zgraja szatanów rozbija się na troje, dzieli się po rzekach... ogniska oddalają się powoli, błyskają coraz słabiej po wodzie, i wkrótce wszystko niknie.... przepada!!!

Widowisko to, którego by się uląkł przesądny chłopek, gdyby nie wiedział doskonale jego przyczyny, któremu nieraz z upodobaniem sam się przypatrywałem, jest tylko prostą nocną na szczupaki wyprawą; te, zwiedzione blaskiem ognia, zbliżają się do czołnów, lub się z łatwością upatrzeć dają rybakowi, i giną pod jego ością.

Lecz gdy xiężyc z pełnej tarczy rzuci na ziemię jasny promień odbity i drżący w rzekach, a czystém i łagodném światłem oblekający ziemię,

natenczas okolica ta nabiera niewymównego powabu równie z piękności swojej, jako i z miejscowych pamiątek, bijących w owęj chwili razem i wyraźniej w oko i na wyobraźnię.

Jeżeli podaniu, nazwaniem miejsca i historycznym podobieństwem wspartemu, zawierzyc możemy, oto na prawo nad spadzistym brzegiem Wili obozowisko i okop Szwedzki, widoczny jeszcze, i osłaniający wałem *zaścianek*, z kilku włościańskich chatek złożony, *Szwedem* na pamiątkę nazwany (*). Na lewo siedlisko i pałac przez połowę w ruinach jednego z dawnych i możnych książęcych imion kraju tego; a tuż przy nim mały kościółek wiejski z dwiema drewnianymi wieżyczkami, na których krzyżyki żelazne zaledwo znaczą się w oddaleniu. Wzrok, na jedną lub na drugą stronę rzucony, spotyka jedno lub drugie miejsce, i na każdym zadumaną źrenicę na długo zawiesza!!!

Ileż razy młoda a żywa wyobraźnia moja uno-

(*) Miejsce to znajduje się w gubernii Mińskiej, w powiecie Wilejskim, w dobrach Zenona Lubańskiego, Marszałka tegoż powiatu.

siła mnie tu w przeszłość daleką? Ile razy rozwijała zwoje fantastycznych, a jednak prawdopodobnych obrazów, z których się każda przeszłość składa, i które do nieskończoności rozwijać lubimy?... Ileż razy pałac ten brzmiał mi okrzykami wesołej uczty, rozlegał się echem hucznój *kapelii*, lub odgłosem trąby, bijącej na trwogę, w dniach tak dawniej częstych zamieszkań naszych, w których familia, tu zamieszkała, czynny miewała udział? Ileż razy przez długie a wąskie szyby i okna zdawał mi się jaśnieć gmach cały rześistém światłem, jak niegdyś w dniach uroczystych świąt religijnych lub wspólniałych familijnych obchodów? Ileż razy znowu po ogrodzie, otaczającym pałac ten, a podobniutętkim do *Sapieżyńskiego* w Wilnie, przeprowadzałem po długich i ciemnych lipowych szpalerach poważne figury naddziadów, sprowadziwszy je wprzód moją wyobraźnią ze ściau pałacowych, lub przedstawiałem sobie całe grono pańskie, z matron i mężów, z młodzieńców, dziewic i dzieci złożone, otoczone świetnym orszakiem sług i dworzan, wychodzące z pałacu w niedzielę do skromnego kościołka, i tam razem z ciżbą wło-

ścian swoich modlące się pokornie przed ołtarzem, przy którym Kapelan domowy mszę świętą odprawiał; i powracające potem do pałacu z pogodą i powagą na twarzach?

A na okopie Szwedzkim, którego dziejów dowiedzieć się chciałem, nie roilemże niekiedy rycerzy zdobywających i broniących okopu?... Któż zwyciężył? Spiały w nim snem wiecznym nie odpowiadali zapytaniu, lecz się nakoniec od żyjącego, kto i kogo tam zwyciężył, dowiedziałem.

Do takich i tym podobnych myśli i marzeń pobudzał mię za dni mých młodzieńczych i w nich wspomagał, pocziwy staruszek, przyjaciel mój, chociaż wiek różnił nas daleko, ostatni sługa i dworzanin tej świetnej niegdyś rodziny, której siedlisko opisuję, dokonywający wieku i dożywo-tniego chleba w małym zakątku zrujnowanego domu panów swoich, dla których, serdecznego przywiązania dochował on wiernie do zgonu, i z którymi dawno się już połączył na wieki.— Z opowiadań jego, któremi mię za dwie lub trzy pule w marjasza, cierpliwie z nim rozegrane, nagradzał, wiadomość o okopie Szwedzkim powtó-

rzę tutaj. Będzie to epizodem od przedsię-
wziętej treści, jak zatoką od Wilii, z której wy-
miemy to podanie, jakby skarb z dawnych za-
mieszkań krajowych pozostały, a dotąd ukryty i
zatoniony na dnie.



III.

OGROMNA, od fundamentów do szczytu wysoka, dwoma piętami okien oczepionych jaskółczemi gniazdami oświecona, a jednak ciemna, długa na przestrzał całego domu sala, w tej niegdyś książęcej rezydencji, podobną jest do opustoszałego kościołka tém bardziej, że szeroki chór w górze nad wejściem i ołtarz na chórze dają poznać, że rzeczywiście naprzemian i do zabawy, i, jako domowa kaplica, do modlitwy służyła.— Wielkie portrety antenatów, w długich ferazyach, z laskami, buzdycanami i buławami w rękach, przyparte do ściany, przedstawiać tu mogły fundatorów, stojących w tej samej powadze, postaciach i milczeniu, w jakich żywi niegdyś, w tém miejscu, odrzuciwszy tylko godła

dostojeństw swoich, w czasie nabożeństwa stać mogli.

W małej z boku komnatce, jak w zakrystyi tego kościółka, mieszkał i żył jeszcze przed laty dwudziestu z okładem, pan Jędrzej Rombuld, niegdyś Sekretarz księcia Wojewody Trockiego. Komnatka ta, dawniej zwyczajna kancelarja Wojewody i razem kwatery Sekretarza, dziś mu była kątkiem ciepłym na starość, a sala przybytkiem wspomnień i modłów za dusze tych, których wyobrażenia widział na ścianach, i których dzieje umiał na pamięć.

Suchy, wysoki i blady staruszek, gdy stojąc przed którymkolwiek z portretów zaczynał opowiadania swoje, przybierał z początku postawę, ton i styl nawet poważny, wymuszony, dawny dworsko-sekretarski, łaciną przetykany, wymagający jakoby *respektu* dla opowiadanej treści i dla *erudycji* opowiadającego; lecz wkrótce interes serdeczny, jaki się w nim natenczas obudzał, ożywiał razę twarz i oko staruszka; nikła pedancka powaga i postawa; *elokwencya* wymuszona i powolna zamieniała się w mowę płynną, prędką, żywą, zajmującą, a kończącą się niekie-

dy rozrzewnieniem, wzbudzoném długimi legendami o dawnych dobrych czasach i ludziach, o dawnych wspaniałych panach i dworach, lub o zwyczajach i obyczajach współczesnych młodości Pana Jędrzeja i dawniejszych jeszcze od niego.

„Wszystko to, o czém mnie pytasz, zacny kawalerze, mówił mi zatem Pan Rombuld, opisano jest *per extensum, de data et actis* w dyaryuszu wszelkich faktów i ewentów, spisywanym tu *in ordine* lat od dawnych czasów, a który ja z rozkazu nieboszczyka Pana mojego ś. p. Wojewody Trockiego (*) *requiescat in pace!*... za jego życia kontynuowałem, i teraz, choć to już *summatim* kontynuuję; mógłbym więc wynaleźć i przeczytać Jegomości historję tego okopu nad Wilią, o którym ciekawy jesteś, i innych w tymże czasie rozruchów i *exhorbitancyi* w naszym kraju; zwłaszcza że i chwalebna jest rzeczą w wieku młodzieńczym zacnego kawalera ciekawość taka, ... która prowadzi do nauki i wiadomości... *Discat qui nescit. Nam sic sapientia crescit!*

(*) Tadeusz Ogiński, Wojewoda Trocki

Lecz że na to foliały wertowaćby trzeba, więc opowiem wolej Jegomości, ile wiem i pamiętam. —

„Okop ten jest z czasów, gdy po tym kraju grassował Szwed — Karol XII (*), wielki wojownik, o którym wiesz i czytałeś zapewna Jegomość, a który zginął, *jak Szwed pod Półtawą*. Przyciągnął on z wojskiem swoim aż tu w województwo Mińskie, i stanął w miasteczku *Radoszkowiczach*, ztąd o mil ośm: a że natenczas szlachta i panowie nasi, na dwie partye rozdzieleni, jedni trzymając się Szwea, a drudzy Sasa, na wyraźne skaranie Boskie między sobą wojowali, więc każdy, zebrawszy czy to wojsko, czy to gromadkę swoich *adherentów*, tańcował po kraju, sekundując podług swęj woli i *inklinacyi* jednemu lub drugiemu *potentatowi*, a niszcząc i prześladując *adwersarzów*. —

„Taki szatański taniec trwał tu przez lat kilka. —

„Ten mąż dzielny, mówił dalej, zbliżając się do figury z buławą hetmańską w ręku, z pierśią w pancerzu, poglądającej na nas z marsem

(*) Historyczne — z pamiętników ówczesowych.

z portretu, ten mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, Starosta Żmudzki i Hetman Polny, a potem Wielki Litewski, Hrehory na imię (*), me darmo piastował buławę, nie uląkł się on Szweda, i nieraz dał mu się we znaki! — Był on natenczas panem tych dóbr i wielu innych po Litwie i Żmudzi, które *Szwed funditus* zniszczył: a gdy zalokował się w Radoszkowiczach, tym wygodniej mu było, że na tamtej stronie Wilii miał obszerne królewskie *dominia*, jako to: Markowskie Starostwo, do którego drogę nawet własną z Radoszkowicz, dotychczas znaczną (**), i drogą Szwedzką nazywającą się, wyprowadził — a z obu stron również bogate dobra swego nieprzyjaciela Starosty Żmudzkiego. —

„Pilnował się wszakże ostróżny Szwed ściśle, i kilka tygodni, owszem z parę miesięcy pono tu stojąc, rozciągnął kordony swoje szczególnie po nad Wilią, bo się obawiał, aby którykolwiek z partyzantów Augustowskich, nieuległych jego *potencyi*, *per stratagemma belli*, nie zaszedł mu

(*) Hrehory Ogiński.

(**) Miejscowe.

z tyłu, gdy on wgląb Rossii, jak się potem pokazało, na bankiet pod Półtawę wybierał; porozstawiał więc swoje *praesidia* po brzegach rzeki, a najmocniejsze tu przy zbiegu Naroczy z Wilią, gdzie z półtorasta ciężkich rajtarów szwedzkich zasiadło i okopało się. —

„Tymczasem Starosta Żmudzki *cittissimis passibus* dążąc do Wiłkomierza, niespodziany i najmniej nieczekany, zjawił się tu jednej nocy na popieliska dóbr i włości swoich. Chociaż Hetman Polny, małą on jednak miał garstkę wojska przy sobie; bo Hetman Wielki Litewski Wiszniewiecki z główną komendą przeszedł już był na stronę Szweda; ale świadomy sam miejsc tutejszych, a do tego mając przewodników z włościan swoich, ucieszonych przybyciem pana i nadzieją, że ich od srogich rabunków i zbytków szwedzkich uwolni, wynalazł bród w rzece, i tejże nocy przeprawił się na drugą stronę. —

„Szwedzi, ośmieleni kilkatygodniową spokojnością, spali za okopem w najlepsze; postawiony nawet żołnierz na straży zasnął. . . . Gdy *summo mane* równo z brzaskiem Hetman wpada na nich jak piorun! Przerażone rajtary nie mogą

przyjść do sprawy ani do koni, a już im na karkach szabla hetmańska! Wszelakoż chwytają za broń kto żywy, kupią się i walczą pieszo. Zajądły ich Komendant rzuca się na Hetmana! Ciągnął go Hetman z konia pałaszem, a dokonał drugim ciosem Zaranek, buńczuczny natenczas hetmański, potem Porucznik Husarski i Miecznik Żmudzki. —

„Po upadku wodza swego, reszta rajtarów, wiele ich zostało, sparci nad spadziste brzegi rzeki, salwować się chcieli wpław, rzucali się do Wilii, i jedni potonęli, a drudzy, którym się udało przepłynąć, należeli na drugiej stronie w lasach, kupy chłopstwa, czekającego na *event* bitwy, którzy ich pobrali, powiązali jak baranów, i przyprowadzili do pana; pobitych zaś we własnym ich okopie pogrzebiono. —

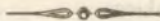
„Powiadają... *relata refero*... (hom tego sam nie widział), że w każdą rocznicę tej porażki Szwedów, a stała się takowa *mediis Junii* — *millesimo* — *septingentesimo* — *nono* — widują ogromnego Szweda z rusznicą na ramieniu, przechadzającego się w nocy po okopie, i odprawującego czaty nad mogiłą swoich poległych bra-

ci, podobno na pokutę za to, że zasnął i nie dopilnował ich za życia.”

Skończył starzec opowiadanie; oba mieliśmy wzrok podniesiony na bohatera jego powieści.... Znikły wady malowidła, tak rażące wprzód oko; portret jaśniał mi teraz urokiem chwały, oblicze wesołością i mężstwem.

„Umarł w Lublinie Hetmanem Wielkim Litewskim, dodał po chwili milczenia, smutnie ruszając głową Pan Rombuld, bo po upadku Karola i powrocie *iterum* Sasa na tron, odjętą buławę wielką Wiszniewieckiemu, oddano jemu, którą on wszakże rok tylko niespełna piastował, a której tak dla zacności rodu swojego, jako też i dla wspaniałości animuszu godnym był prawdziwie. —

„Otoż, zacny kawalerze, wiadomość o tutejszym okopie Szwedzkim; zachowaj ją w twojej młodej pamięci; będziesz to kiedyś rozpowiadać wnukóm swoim, gdy tak jak ja dzisiaj starym będziesz — Zmów natenczas *requiem aeternam* za duszę Jędrzeja Rombulda, który cię tego nauczył.” —



IV.

„Poranku, wiosno człowieka!
 Młodości! piękna młodości!
 Ledwie się ciebie doczeka,
 A już ubiegłej zazdrości!
 Ty silniej piersi zagrzejesz,
 Więcej cnoty w duszę lejesz,
 Prędszym skutkiem wieńczysz dzieła.
 Twa prawica dzielniej trzyma,
 Dalszemi widzisz oczyma....
 Lecz tyś dla mnie przeminęła!!! (*)

Wyborneż to były czasy młodości mojej!!!
 Któż ze mną nie powtórzy dla siebie tego wy-
 krzyknienia? kiedy się wcale nie myślało o *ju-
 trze*! bo była pewność, że *jutro* tak będzie szczęśli-

(*) Adama Strawińskiego.

we, jak *wczora i dzisiaj!* kiedy się nie przewidywało, że po ubiegłej pewnej liczbie *jutrow* czeka nas smutne *pojutrze*, za którym wejdziemy w szereg dni pochmurnych; a wśród tych dawniejsze szczęście, dawniejsza radość i pociecha, ledwo kiedyniekiedy zajrzy do serca, jak promień słońca z za chmury!... Serce to kamienieje natenczas u jednych, rozmiękcza się u drugich; i promień ten u pierwszych iskrę pobudzi, u drugich miłą łezkę wytopi... lecz wkrótce jedna zgaśnie, druga oschnie, a człowiek wzniesiony na chwilę czoło ku niebu, znowu schyla ku ziemi, jakby wracając do zwyczajnego, a na krótko przerwanego zatrudnienia szukania sobie miejsca na mogiłę!...—

Autor jest tłumaczem życia, tłumaczem uczuć własnego i drugich serca; pióro więc jego w okresie popołudniowym dni jego, chwytać będzie tę iskrę zapału lub łzę rozrzewnienia z ostatków młodzieńczych uczuć, kiedyniekiedy odżywiających się w duszy; ale ta chwila prawdziwego natchnienia rychło przemija i niknie; myśl natenczas traci swą żywość i polot, zaszuwa się mgłą i pomrokiem, gmatwa się w ciemnych

i rozsnawać się niemogących wyobrażeniach, a pióro, idące za myślą, z niezdolnej wypada ręki.

Uczucie, które po dawném przejściu i wygaśnieniu najmilszem echem odzywa się nam w duszy, jest *Miłość*, złączona ze wszystkimi dziejami młodości naszej, i będąca częstokroć całą ich treścią. W przypomnieniu rozwija ona razem z sobą wszystkie rokosze i powaby młodości! *Młodość* i *Miłość*, jak dwie rodzone z sobą i nierozdzielne siostry, jak dwie piękne, niewinne a czule dziewice, kochające się nawzajem, razem zaczynają swe życie, razem trwają i razem nikną, a więc i razem obudzają się w pamięci!

Tu przebyłem wiek mój młody,

Tu była niegdyś Lucyna! (*)

Oto proste a tkliwe wyrażenie uczuć przenikających duszę, a wzbudzanych w niej, widokiem miejsc, w których się *młodość* i *miłość* przebyło!!! Przejdzie jedna i druga, przeznaczenie rozdzieli kochanków, śluby powiążą z kim innym i popłaczą ich losy... ale zostanie miejsce, gdzie się kochali, gdzie *ten* pierwsze nie-

(*) Piosnka Kropińskiego „*Te brzoza kilka*” etc.

śmiało wyjąknął wyznanie, ... gdzie *ta* pierwszy raz i wyraz ten: *miłość!* do siebie wymówiony usłyszała, i pierwszy raz sama ją w sobie nie spodzianie odgadła!... gdzie nowe źródło nieznanych dotąd wrażeń, uczuć, skłonności, żądań i nadziei wybiło się w sercach obojga, i zalało te serca zupełnie!!! Na to miejsce gdy jedno lub drugie trafi, ujrzy tam, jakby we śnie miłym, przedmiot dawnych swych zapałów w tej samej młodzieńczej krasie, wdziękach i urodzie, w jakiej się go niegdyś ukochało; własne nawet, jak we zwierciadle czarnoxieżkiem, ujrzy odmłodnienie.... Jakaż chwila rozkoszy i rozrzewnienia!...

Takich miejsc uroczych, dla mnie i dla towarzyszków młodości mojej, wiele nad Wilią, w blizkich jej okolicach i w domach szlacheckich, porozmieszczanych nad jej brzegami, znajduje się; tam to i w nich, że pożyczę jeszcze raz wyrażenia Poety

„Wpół w marzeniu, wpół przytomnie,

„Przetańczyły ach! koło mnie,

„Śmiejące się me godziny!... (*)

(*) Odynieć.

Perjodycznie w każdą niedzielę, i przypadkowie w dniach świąt familijnych, lub uroczystości kościelnych, cała okolica nasza zgromadzała się zwyczajnie do któregośkolwiek po kolej domu w sąsiedztwie, i dzień ten wesoły, a częstokroć i dni kilka razem, przepędzano. Latem szczególnie, gdy pora roku pogodna i miła, żyta i jarzyny piękne, murogów zbiory obfite, wróżąc intratę i dostatek, ożywiały dobry humor w gospodarzach; gdy po dziesięcio-miesięcznej nauce młódź udatna, żywa, pięknie ukształcona, chłuba i nadzieja rodziców, wracała z miasta do domu, z zapasem świeżych zalecanek, tańców, mód i nowinek; gdy dziewczęta po nudnej zimie, rozwijając się razem z kwiatami w dojrzalsze coraz i coraz ponętniejsze wdzięki, tęskniły do zabaw i wesołości; natenczas wszystkie familie, połączone i pomieszane razem i codziennie, grały jakby w grę jaką bieganą, w której żywa i swawolna młodzież ciągnęła starszych do koła.

Zdaleka przewidziane i niecierpliwie oczekiwane imieniny, skromnie i pod sekretem zapowiadane chrzciny, zazdroszczane częstokroć, lecz niemniej przeto huczne, wesela, zażynki, do-

żynki, wiejskie podwieczorki, oto coraz nowe podniety i powody do prostej, szczerzej, niewymuszonej a serdecznej wesołości, na której skrzydłach czas leciał, i wśród której zawiązywały się nieraz między młodzieżą tkliwe skłonności, kończące się nowem znowu weselem, tak, że częstokroć — *Gdzie jeden kończył, tam drugi zaczynał.* —

Święty Jan był patronem jednego z naszych sąsiadów w parafii; dzień więc dwudziesty czwarty czerwca obchodzony u nas bywał i rzęsiście i wspaniale. — Pan Prezydent solenizant był ojcem licznej rodziny: kilku synów, młodzieńców z dzieciństwa wychodzących, i kilka córeczek, z których najstarsza siedmnastą już liczyła wiosnę, tworzyło domową gromadkę jego, corok to interesowaną, i corok coraz bardziej wabiącą ku sobie. Corok zatem weselej było na imieninach Pana Prezydenta; gdy zaś piękna Helenka zajaśniała nieporównaną urodą, wrota domu Papuni jej, nigdy się prawie nie zamykały, ale uprzejmość i gościnność była natenczas u wszystkich drugą naturą... Szkoda że natura, według powszechnego mniemania, co lat siedm się odmienia!...

Z okien domu Prezydenta i ganku, na ogród wychodzących, widać było długi nurt *Wilii* promem przejęty, i na szerokiej z obu stron łące kilkakrotnie zwężowany; z okien więc tych i z ganku liczyli gospodarze w jednym z tych dni solennych i wcześniej poznawali przybywających i przewożących się na promie gości swoich z za *Wilii*; a w tymże czasie z ganku zajezdowego i z okien frontowych, zdaleka w ulicy brzozowej, rozpoznawano przybywających bliższych sąsiadów, w których liczbie ja, i przyjaciel mój akademicki Pan Hippolit, niedawno w moje sąsiedztwo, w nadwilejskie okolice, do spadłego nań po śmierci ojca folwarku, przybyły, w jednym pojeździe przyjeżdżaliśmy.

— Hippolicie! rzekłem gdyśmy się zbliżali, przybywasz tu z wolném podobno sercem; któż wie jak wrócisz?—

— Albo co?—

— A cóż innego, jak to, że będzie wiele pięknych dziewcząt, i że możesz zakochać się?—

— Ej! co tam prawisz! Kto w Wilnie lat kilka najpierwszej młodości przeżył i nie z jednemi pięknemi oczami bezkarnie się spotykał, kto obo-

jętnie patrzył na piękności warszawskie, po całej Europie sławne, (ach! bo też i piękne Warszawianki!), takiemu wieśniaczki nie zawrócą głowy. —

— Za nic, bracie, ręczyć nie można —

„Komu się zdarzyło morze przepłynąć,

„Może na Dunaju zginąć!... „

Wtém podjechaliśmy pod ganek, i po zarekomendowaniu przeze mnie Pana Podkomorzycy (taki bowiem miał tytuł Hippolit) gospodarzowi i solenizantowi razem, złożyliśmy jemu nasze powinszowania. — Trudno mu było wystarczyć na powitanie tłumnie ze wszystkich stron napływających gości; trudniej jeszcze zdobywać się na podziękowania za rozmaite różnej długości i sensów oracye, a najtrudniej może mnie, lubo mającemu w dobitnej pamięci całą tę scenę, opisać ją dokładnie i wyobrazić. Bo z wyrazów by najżywszych i najtrafniejszych nie złożysz podobnego obrazu pierwszych chwil naszych zjazdów i zgromadzeń przyjacielskich, owych hurmów i tłumów, bezładnych a hucznych, w których jedyna myśl, jedno uczucie radośnego spotkania się

i powitania, obejmuje wszystkich, jaśniej na wszystkich twarzach, rozpromienia wszystkie źrenice, i w wesołych śmiechach i odgłosach wszystkimi ustami wykrzyka!!! Liter chybaży na to żywych potrzeba, któreby czarnoxieżką ręką sypnięte, mieszały się najprzód bezładnie, cisnęły się w rozmaite coraz to zmienne grupy i kształty, brzęczały jak pszczoły w ulu, i na koniec, porządkując się w wyrazy i peryody, przedstawiły razem dla oka i myśli pełne ruchu i życia chwil tych wyobrażenia!... Jest to pierwsze, mimowolne, naturalne, niezgaszone obłudną etykietą, objawienie się i wylanie naszego szczerego, uprzejmego i kochającego charakteru, niezatartego dotąd czasem, ani naśladownictwem; jest to gałązka jedna, żyjąca jeszcze, wędniejącego obyczajów naszych drzewa, z której poznać i przypomnieć można gatunek wybornej całości.

W przeciągu półgodziny kilkadziesiąt osób różnego stanu, wieku i płci obojęj, napełniło pokoje obszernego wiejskiego domu Pana Prezydenta, i od półgodziny zgiełk ochoczy nie ustawał najmniej; nowe coraz zajeżdżały pojazdy,

a prawie przed każdym cwałujący na przodzie mały forysiek cienką i przeraźliwą nótkę od bramy aż do ganku przeciągał. Znalazł się przecież na kozłach pojazdu Podkomorzego, w długiej kierei, z wysokim lakierowanym kapeluszem na głowie, z wąsem siwym nagumowanym, stary kuczer, weteran furmańskiej rzeszy; kierował on poważnym w mosiężną staroświecką uprząż ubranym cugiem i trzaskiem z bicia wrzaskliwą tę dziatwę do stajni, jak szczurów do nory, popędził.

Na ganku i w pokojach odbywały się gęsto w tłumie między mężczyznami serdeczne i dobitne busiaki, którebyś, jak godziny na repetyrach kieszonkowych, mógł zliczyć; kilkaset także lat na kopy rachowanych zebrałoby się z powitań niewidzących się od dawna przyjaciół — Kopa lat! kopa lat! Mościa Dobrodziko! wykrzykiwał Pan Skarbnik do mojej sąsiadki, Pani Regentowej, niechętnie słuchającej komplementów, do których kopa lat się mieszała. . . . Kopa lat! kopa lat! wołał na wszystkie strony Pan Tadeusz, tytułem Koniuszyc, marcowy kawaler, ale jeszcze rzeźwy, żywy i wesoły, wielbiciel

płci pięknej, a faworyt wszystkich o mil pięć wokoło ciepłych wdówek i podstarzałych ciotulek, poufały każdego i w każdym domu przyjaciel, wyborny nakoniec towarzysz każdej kompanii. Kopa lat, Panie Józefie! kopa lat, Panie Władysławie! wołał on; a przecież Pan Józef i Pan Władysław razem swoje lata dodawszy, kopy jeszczeby nie złożyli! Nie czekając odpowiedzi, Pan Tadeusz wciskał się już w drugą gromadę, i znowu lata na kopy rozliczał.

Powoli wszystko się szykuje i ucisza... po chwilach serdecznych następują chwile grzeczne; tłumy się rozwinęły... formują się i osiadają gromadami... łączą się w bukiety piękne dziewczęta.... chłopcy naprzeciw gęstym je otoczyli wieńcem, a bystrym i ciekawym wzrokiem wskrósili ich aż do serca przeniknąćby radzi.— Upowszechniła się zabawa... a gdy do ogrodu podwoje otworzono, całe towarzystwo ze wszystkich pokoi, jak rzeka przepływając przez salę, w ogrodzie po ulicach i ścieżkach na liczne rozlało się strumienie, i tam każdy, jak za pędem wody, szedł za skłonnością, interesem lub zabawą.— Do mnie zbliżył się gospodarz, i zcicha półgłosem zapy-

tał, wskazując wzrokiem na mojego przyjaciela. — Czy to jest syn nieboszczyka Podkomorzego Trockiego? —

— Tak jest! —

— Wiele ma rodzeństwa? —

— Jedynek! —

— Oho! to musi być panicz bogaty? —

— Sto chat w Trockim, prócz folwarku w naszym sąsiedztwie. —

Po małej pauzie ozwał się głośno Prezydent, podchodząc ze mną do Hippolita

— Jakże ci dziękuję, kochany panie Ignacy, za pamięć na starego przyjaciela, i za twoją łaskawą uwagę, a jeszcze bardziej, że nam przewiozłeś szanownego Podkomorzycę, którego ojciec zaszczycał mnie swoją przyjaźnią! —

— Cieszę się, odpowiedział grzecznie Hippolit, że tym sposobem mam dziedziczne prawo do względów Pańskich. —

Po wzajemnym uściśnieniu się odszedł Prezydent, a Hippolit zapytał mnie także z cicha i półgłosem

— Kto jest ta ładna dziewczyna, wyższa od całej gromady dziewcząt ku nam idącej? —

— Właśnie mam cię jej prezentować. Jest to córka starsza gospodarstwa — Panna Helena, a raczej piękna Helusia. —

Hippolit patrzył na Helusię i pokręcał głową. —

— A co? zapytałem z uśmiechem — To sobie wieśniaczka; gdzież tam do twoich Warszawianek? —

Hippolit zamiast odpowiedzi zapytał mnie znowu — Kto jest ten gruby, niski, podsiwiały jegomość, w światłym szaraczkowym fraku, wlekący się obok pańienek, i wyglądający przy nich jak pień przy kłobie? —

— Jest to pan Szambelan, sąsiad tutejszy, wdowiec bezdzietny, bogacz, skępiec i rywal każdego, kto się zakocha w Helusi. —

— Alboż on pretendent do jej ręki? —

— Bodaj!... —

— A bodaj go djabli wzięli!... bodaj on nigdy nie doczekał! —

— Jakto? jużś zakochany? tak prędko! nie przemówiwszy ani słowa do dziewczyny. Miałbyś wieszczego ducha, gdy cię ostrzegają? —

— Nie... nie... ale bo patrz jaki mi adonis! traktuje panienki tabaczką! —

— Dla pokazania złotej tabakierzy; i oto widzisz poszła po rękach; a piękne oczki przypatrują się pięknemu złotku. —

Zbliżyła się tymczasem ta kompania do nas. Przedstawiłem Hippolita Helence. Pan Szambelan rzucił nań okiem z ukosa... zmarszczył brew... przeczuł rywala!

— Możecie, moje śliczne panienczki, ozwał się Szambelan, zażyć z tabakierki, bo tabaczka ledziutka, i różą pachnie. — Odemknął tabakierkę, traktował; żadna nie wzięła, wszystkie się ukloniły.

— Ale któraż to godzina? — rzekł zatem Szambelan, chowając tabakierę, a wyciągając z nadry zegarek staroświecki złoty, perłami kameryzowany. — Sama pierwsza! — Pocisnął, zadzwonił nad uchem małej Zosi, ta chwyciła mu z rąk piękną cackę, i od niej znowu zegarek z ręki do ręki przechodził.

— Piękne antyki, — rzekłem patrząc na zegarek i tabakierę.

— Tak, tak, ja bardzo lubię antyki, odpo-

wiedział głośno z miną zarozumiałą pan Szambelan, i mam ich zbiorok niemały! Ten pierścion także jest antykiem; proszę się przypatrzeć.—

Z większą jeszcze ciekawością przyjęty, błysnął w rączkach pańienek, brylantowy w staroświeckiej osadzie pierścion.

— Niechże pani pomierzy go, rzekł właściel do Helusi; pięknie się wyda na pięknej rączce.—

— Za wielkim jest na nasze palce, — odpowiedziała panna Helena, i nie próbując pierścienia, oddała go Szambelanowi.

Gryzł usta, czerwienił się i niecierpliwił się widocznie Hippolit, nie wytrzymał nakoniec.

— Pan lubisz antyki? — rzekł.

— A tak, lubię! lubię! już mówiłem.—

— To zapewna przez sympatyę! —

— Jak to? —

— Oto bo z wiekiem przyzwyczajamy się popolicie do rzeczy, które nam długo służą; ale to nieszczęście, że antyk złoty czy kamienny, im dłużej trwa, tem droższy, a człowiek im bardziej antyk, tem tańszy! —

Zaczerwienił się teraz pan Szambelan, zwał

usta, powlokł wzrokiem po kompanii, a spotkawszy się z uśmiechem moim, a nawet z malutkim uśmieszkiem Helusi i niektórych dojrzalszych jej towarzyszek, poznał, że przycinek Hippolita zrozumiano: zwrócił zatem zuchwale nań oko, ale wzajemném dumném spójrzeniem odbity, poznał że trudna będzie potyczka z tak śmiałym adwersarzem, i że mądrze uczyni, gdy na ten raz powtórnej zaczepki uniknie. Jakby więc słów Hippolita nie słyszał, podniósł wzrok do góry i rzekł—

— Piękna mamy pogodę na imieniny kochanego Prezydenta;...— a postrzegłszy zdaleka solenizanta, poszedł szybko naprzeciw, i zaczęły się między nimi serdeczne uściski, z widocznymi od Prezydenta względami dla Szambelana, a które pan Szambelan z przesadą przyjmował, i kilkakrotnie a oczewiście pobudzał... Teraz z kolei czerwieniła się i zwarła usteczka Helunia, a ja szepnąłem Hippolitowi do ucha.—

— Mój kochany! zacząłeś wojnę, ale patrz, nieprzyjacieli niegłupi, więc gdzie ma szukać sukcesu.—

— Decydujący punkt do zdobycia jest serce

Helenki, rzekł Hippolit; jakżeby tego dokazał taki?...—

— Ha! może go zdobyć przez kapitulację komendanta, którym jest ojciec, wprzód nim ty attak rozpoczniesz; zresztą ty podobno fałszywem tylko myślisz straszyć oblężeniem, a pan Szambelan nie żartem szturmuję.—

Hippolit szedł powoli, milczał i dumał...

Tymczasem w altanie środkowej, do której zbliżaliśmy się, pan Tadeusz zebrany tam mamunióm, ciotunióm, wujenkóm, pomieszany z wujaszkami i stryjaszkami, rozmaite anegdoty i koncepta rozpowiadał, które lubo im oddawna i niepojednokrotnie już powtarzał, lecz zawsze tak interesowanie, dowcipnie i energicznie perorował, że mu nigdy słuchaczów nie zabrakło, i że wesołość i śmiechy krok w krok za panem Tadeuszem biegły.

Gdyśmy mijali altanę, opowiadał on jakieś polowanie na sarny, i z postacią celującego do zwierzyny, z ręką prawą naodlew przy skroni, a lewą wyciągniętą na przód, kręcił się na wszystkie strony, i coraz do innéj cioci wymierzał.

— Tuf! pudło! tuf! pudło! tuf! tuf! pudło!

z dubeltówki — a ja mojego rogala, który prosto na mnie wysadził, prowadzę pomaleńku.... prowadzę.... prowadzę... on daje susy, a ja prowadzę cierpliwie... przypuszczam na kroków trzydzieści i..— Wtem ja, podszedłszy cicho za pana Tadeusza gdy on rogala prowadził,— tuf!— krzyknąłem mu nad uchem;— leży, — rzekł on opuszczając ręce, i — kto strzelił? — zapytał żywo i z zadziwieniem, zajęty aż do zapomnienia się tą myśliwską sceną — kto strzelił? —

— Ja, odpowiedziałem, ja! widząc że tak gęsto strzelasz a nie nabijasz, i że dla tego pudłujesz; żal mi było wypuścić z kniei zwierzynę, i palnąłem z pańskiego ramienia.—

— Wybornie wyśmienicie! — wołał śmiejąc się ze wszystkimi i zacierając ręce pan Tadeusz.— Ale koniec końcem, moje państwo, mówił on dalej, że kiedy wszyscy i najlepsi strzelcy, śpiesząc się za strzałem, pudłowali haniebnie, ja, wytrzymawszy cierpliwie a długo prowadząc, pomaleńku osadziłem ogromnego rogala, to jest, kozła.—

— I cóż ztąd? — zapytała jedna z dam nieu-

kontentowana, bo oczekująca jakiegoś dziwacznego zakończenia.

— Cóż ztąd? cóż ztąd? odpowiedział pan Tadeusz po chwili milczenia, poglądając na pytającą się nieszpętną panię; oto ztąd wniosek i dowód, że każdego rogala osadzić można, byle go zręcznie, cierpliwie, pomaleńku i kategorycznie (to było przysłowie pana Tadeusza) prowadzić.—

— Szczególniejsze aspana dykteryjki, — odezwał się podstarzały... Któż?

— O bodajbyś się nie odzywał; śmianoby się jak dotąd serdecznie, ale nie byłoby uśmiechów złośliwych!...

W innym końcu ogrodu usiadłszy w chłodzie kilku staruszków, a między niemi i ksiądz Przeor blizkiego Dominikańskiego klasztoru, ze wszystkich stron zbierane polityczne wiadomości wzajemnie sobie udzielali. Dwóm z nich, to jest, księdzu Przeorowi i panu Skarbnikowi Oszmiańskiemu, wiek słuchu przytępił a ciekawości przysporzył. Krzyknął więc pan Skarbnik nad uchem księdzu Przeorowi, aż się echo po ogrodzie rozległo —

— Czy wiesz *Reverendissime*, że Szwed wojnę wypowiedział? ale w tym sekret! —

— Ja nikomu nie powiem Skarbniku dobrodzieju! — odkrzyknął Przeor. — Komuż on wojnę wypowiedział? — zapytał siedzący obok publicysta.

— Tego z pewnością nie wiem! krzyknął znowu pan Skarbnik; ale to wiosna pokaże. —

— A któraż wiosna? — wrzasnął Przeor.

— A jużciż rozumie się że nie ta co minęła, ale ta co przyjdzie, — odpowiedział zniecierpliwiony staruszek.

— No, to jeszcze daleki termin — zkonkludowali wszyscy razem; i stanęło na tém, że nowina potrzebuje potwierdzenia, a każda gazeta tej kompanii była równie autentyczna i pewna, jak wojna szwedzka, i równie pod sekretem powierzana.

Rozlegające się tak po wszystkich stronach ogrodu, śmiechy i krzyki między starszemi, a swawole i zabawy między młodzieżą, przerwał odgłos muzyki, usłyszany niespodzianie na dziedzińcu. Na jej dźwięk kroki wszystkich zwróciły się razem ku budynkowi; wszystkie strumie-

nie w jedną rzekę się zbiegły, a ta w odwrotnym kierunku i szybczej przepływając salę i sieni na dziedziniec wylała.

Szedł od bramy ku budynkowi tryumfalnym marszem, kulawy majster kapelista na czele swojej orkiestry. Rznął on zawieszisto na wildamorrze (*), wórował mu towarzysz na klarynecie, a mały chłopczyk, wywijając zręcznie bębenkiem, zataczał po nim palcem, bębnił w takt, brzmiał i dzwonił razem.

— Pan Brzeziński! okrzyknięto. Brawo! brawo! pan Brzeziński! brawo!

W żupanie niegdyś granatowym, na którym zielona, gęsto taśmami szamarowana kurtka niedbale narzucona, a pod szyją sutemi i długo na sznurach wiszącymi kutasami związana, zachylonemi połami na wiatr się rozwiewała; z miną straszliwą i zawziętą, z jaką niedawno jeszcze rozpędzał sejmikową szlachtę, i jaką go naprzód

(*) Wildamor — skrzypce o siedmiu stronach, większego rozmiaru od zwyczajnych.

natura obdarzyć raczyła, a potem kieliszek i klarynet, na którym równie jak i na wildamorze był wirtuozą, i nałóg wiecznych poswarek, srożej przekrzywiły, spotkał pan Brzeziński solenizanta, zebrał w lewą rękę smyk i wildamor, orkiestra umilkła, prawą rękę wyciągnął do kolan Prezydenta i rzekł —

— „Jakem Karrrmazyn! (*) (litera r drgała mu na języku, jak bas na teorbanie). „Jaśnie „Wielmożny Prezydencie dobrodzieju!!! w dniu „twojej solenizacyi! jakem Karmazyn!!!— Nie kończąc dalej oracyi, zwrócił głowę do klarncisty, i... rwi! zawołał. Sam także ciął smykiem po strónach; zabrzmiała znowu muzyka, znowu huczne odezwało się brawo! a pan Brzeziński, postacią, krokiem i humorem przypominający dokładnie Mistrza Twardowskiego, szedł poważnie na przodzie całej kompanii, pochylając coraz i podnosząc głowę, i rznąc z całego serca na wildamorze.

Tak weszliśmy hurmem do sali. Tam Brze-

(*) W sejmikowym języku znaczyło to — *Jakem prawdziwy szlachcic!* —

ziński, postrzegłszy że nakrywano na obiad, zmienił marsza na nótę hucznej sejmikowej pieśni, i wrzasnął ogromnym basem —

Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!

Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!

Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu!

Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu!

Drugiej półwierszówki nie przypomniał, a podobno i nie wiedział pan Brzeziński; była więc w śpiewie w dwóch drugich wierszach niejaka pauza na średniówce, ale że i nikt takż jej nie wiedział, chociaż każdy często mógł słyszeć, a treść rzeczy jasną i bez tego była, przeto i jam się jej nie dowiadywał, ani nauczył.

Sejmikowe to wezwanie wnet spełnionem zostało; młodzież, która natenczas zaczynała epokę trzeźwości, doszłą szczęśliwie aż dotychczas, usunęła się od kieliszków; starsi powtarzali kilkakrotnie kolej, aż nakoniec ruch i mieszanina powszechna dała hasło zasiadania do obiadu, które od ceremonii między damami u wyższego końca stołu zaczęte, a na poufałem u przeciwnego pomieszczeniu się skończone.— Komu ciasno, ten ustąpił.



IV.

JAM nie dziejopis bankietów !... a nadto bankiet pana Prezydenta nie różnił się wcale od dzisiejszych. Znikły już natenczas dawne troiste dania, dawne gęste wykładanie stołów sutemi półmiski, i prawie cały obyczaj staroświeckiej biesiady; został tylko jeszcze i trwał król uczt i bankietów... *Kielich!* Spędziła go potem z naszych solennych stołów, jak młodzież szanownego weterana, tłuszcza szumnych a wysmukłych szampańskich fletów, i zawlekła w kąt do apteczek, w których między staremi i wysłużonemi graty beczynnienie spoczywa.— O gdyby choć raz jeszcze, wiodąc za sobą dawną szczerą wesołość i ochotę, zjawił się on między tym szklannym lasem, którym się ślnią stoły nasze; zwałiłby za-

pewna za jednym zamachem i pokruszył to mnóstwo cienkich i delikatnych smoczków, które go zastąpiły, i wszystkich słabych tegoczesnych pijaków, którymby odrazu dogodził!!! potem depcząc tryumfalnie po trupach, pokazawszy co umiał, niechby już sobie wrócił na wieczny odpoczynek — na wysoką półkę w apteczce.

Ten kielich ukazał się między nami pod koniec obiadu.— Jakem Karrrmazyn! wykrzyknął na widok jego pan Brzeziński, to nasz dawny przyjaciel! Powitajmy go! Zdrowie solenizanta! i *Rrwi!*...—

Zatrąbił klarncista, zabrzmiał bębenek, a kielich podano na tacy srebrnej w ręce Podkomorzego, wiekiem i urzędem najpoważniejszego między gośćmi.

— Zdrowie solenizanta! — powtórzył głośno powstawszy z miejsca staruszek.— Wiwat! — zawołaliśmy chórem; a Podkomorzy spełna nalany kielich do kropli wychylił. Los dał mi usiąść obok pana Podkomorzego; kielich więc z rąk jego prosto do mnie trafiał. Trudno było odmówić, a trudno i spełnić! Widząc moją niepewność, rzekł do mnie zcicha Podkomorzy —

„*vinum purum*” — nie zaszkodzi; nie lękaj się jednego kielicha, od drugich umykaj, bo nie wytrzymasz. —

Ośmielony zatem powtórzyłem śmiało wniesione hasło wiwatu, i zamrużywszy oczy, duszkiem spełniłem do dna!... Applauz powszechny pokrył moję nadspodzianą ochotę, i kielich szedł w koleję z rąk do rąk, i od ust do ust podchodził, jakby świadek, zbierający wyznania szczególnych affektów gości; odniósł je potem wszystkie do rąk gospodarza, a z nich wzajemnym dziękczynnym toastem odpowiedział życzliwym przyjaciołom.

Damy połączyły się do obrzędu pozdrawiania solenizanta dotykając do ust kieliszki; wzajemne zatem ich zdrowie, zawsze i wszędzie jak z programmy idące, wniesione przez gospodarza, zabrzmiało na klarynecie i bębenku, a kielich zaczął nową processyę, szczęściem dla mnie przerwana wstawaniem od stołu; przy czém powszechny ruch i zamieszanie dozwoliło nam z Hippolitem umknąć do ogrodu, i ochłodzić czoła ściskiem i winem rozgrzane, bo i mój przyjaciel, idąc za moim przykładem, butelkę prawie całą

od razu z kielicha wypiwszy, uznał potrzebę ucieczki od dalszych wiwatów, a jeszcze większą powierzenia się z uczuciem, które go mocniej niż trunek upajać zaczynało.

— Ach! mój kochany! to anioł nie dziewczyna! —

— Która? —

— A któraż inna? Helenka! —

— Gdzież tam! Ty, którego wileńskie, warszawskie piękności nie zajęły, miałżebyś?... —

— Daj pokój! daj pokój! żarty niewczesne! Co to za oko mój drogi! A jakież spojrzenie tego oka!... Jaka niewinność, łagodność i skromność na twarzy!... —

— Więc alboś się zakochał? alboś się upił, albo jedno i drugie razem. —

— Idź do licha z twemi żartami! Ja nie pojmuję, dla czego ty sam dotąd nie szalejesz za taką dziewczyną, a którą codzień widywać możesz. —

— Dla czego? dla czego!... —

„Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego,

„Poczęła się najskromniej od tych słów —

dla czego? — (*)

— Wieleż to w życiu ludzkim jest *dla czego?* na które odpowiedzieć trudno... a jednak wszystkiemu jest przyczyna.—

Hippolit patrzył na mnie przenikliwie; szliśmy w milczeniu.... Ja spuściłem oczy, otarłem sobie gorące czoło i podobno westchnąłem...

— Cóżby to znaczyło? ozwał się Hippolit; jaka tajemnica? czyż nie mam twego zaufania? —

— Słyszysz? przerwałem; w sali polonez, Szambelan w pierwszej parze z Helenką.—

Jakby niespodzianie w bok raniony, podskoczył Hippolit.— odbijem!— krzyknął, i w mgnieniu oka już byliśmy w sali.

Zgadłem! jakbym tam był, zgadłem! Pan Szambelan rozpoczął *assamble*, i rzeźwo zakręcał się z Helusią, liczne za sobą prowadząc pary; mijał właśnie posuwistym krokiem drzwi od ogrodu, gdyśmy przez nie wchodzili, a postrzegłszy Hippolita, wrzasnął głośno — *Nieodbijany!* —

— Na to nigdy nie pozwolę! — rzekł Hippolit posuwając się do odbicia....

— Stój! rzekłem mu cicho nad uchem; czy

oszałałeś? Chcesz przy pierwszym wstępie do tego domu zakłócić przyjacielskie zebranie! *Nieodbijany* musi być przecież skończony; a wtenczas na ciebie kolej! —

— Masz rację, dziękuję ci za radę, odpowiedział Hippolit ściskając mnie za rękę; bądź dziś moim aniołem-stróżem, bo ja zupełnie straciłem głowę. —

Przeszedłszy jeszcze razy kilka, wyraźnie na złość przed nami pan Szambelan, zakończył przecię.

Czatujący pilnie na tę chwilę, wnet podskoczył Hippolit, i — *służę pani!*... — Drugie pary nie miały nawet czasu rozłączyć się; ruszył więc dalej taniec, zmieniawszy tylko przewodnictwo.

Pan Szambelan nie miał także jeszcze czasu odejść, gdy okręcając się około niego, rzekł Hippolit ciszej, ale z przyciskiem — *Nieodbijany!* — Twarz Helenki pałała ogniem, skry sypały się z oczu Hippolita, pan Szambelan potniał kroplami!....

Tymczasem w drugim obok pokoju, pili na zabój.

Ksiądz Przeor, obaczywszy wprzód Szambe-

lana w pierwszej parze poloneza, i z drugiego pokoju nie postrzegłszy przemiany, a znając i zamiary Szambelana względem Helenki, i niesprzeczne dlań życzenia jej rodziców, wziął pełny kielich w rękę, i — za mną — zawołał do towarzyszków; — za mną! — Nie wiedząc o co idzie, ale gotowi do przyjęcia wszelkiego hasła, ruszyli się za nim wszyscy; on, stanąwszy we drzwiach sali, i nie zważając na ściśnięte właśnie natenczas koło poloneza, — zdrowie pierwszej pary! — zawołał; a wypróżniwszy kielich, odchylając głowę, dodał przeciągle — i po-bło-go-sła-wię! —

Właśnie w tę porę Hippolit, wywinąwszy się ze ściśniętego koła, chciał wprowadzić polonez do drugiego pokoju, stanął więc naprzeciw Przeora pod sam wyraz — po-bło-go-sła-wię!.. —

— A to co? — zawołał zdziwiony Przeor, trzymając próżny kielich w rękę; — a to co? Szambelanie! gdzieżeś? —

— *Camerarius! ubi es?* —

— Ja jestem w pierwszej parze, — rzekł Hippolit i skłonił się grzecznie; co podziękowaniem

za toast, lub prośbą o uwolnienie przejścia uważać się mogło.

— Brawo! krzyknąłem. Zdrowie pierwszej pary! — Szturchnąłem obok stojącego pana Tadeusza, i szepnąłem — Kiedy mnie kochasz!!! —

— Ach! omyłka w druku! wykrzyknął on! Cha! cha! cha! rozumiemy!.. Brawo! zdrowie pierwszej pary! — Wyrwał kielich z rąk Przeora; — nalewaj! — rzekł, podstawiając go pod butelkę. — W ręce pana Szambelana! —

— Nadto piłem, mój panie! Nie mogę więcej. —

— Nie przyjmuje pan? I owszem! W twoje więc szanowne ręce, Jaśnie Wielmożny Podkomorzy Dobrodzieju, nasz protoplasto i przewodniku! Nie odmówisz z rąk twojego sługi? —

— A dla czegożbym odmówił? rzekł zacny starzec; z ochotą wypiję zdrowie mojej córki chrzestnej, kochanej i pięknej Helusi, i Podkomorzycy, naszego nowego sąsiada, z którego ojcem (niech w Bogu spoczywa) na kilku kondescencyach kolegowałem. Dostojny był to mąż! prawy urzędnik! Zdrowie zatem pierwszej pary! —

Wśród perory pana Tadeusza i odpowiedzi pana Podkomorzego, ja, postrzegając że przedłużony taniec zmordował muzykę, podemknąłem się do pana Brzezińskiego i szepnąłem mu zcicha —

— Panie Janie! hucznego! a jutro koń tęgi gniadosz tobie służy.—

Jakby nie słyszał pan Brzeziński, nie odwracając najmniej głowy, a wtórując tylko zlekka klarynetowi —

— Doprawdy? — zapytał przez zęby.

— Jakem Karmazyn! — odpowiedziałem.

Tupnął nogą Brzeziński, właśnie w chwili, gdy Podkomorzy kielich do ust podnosił; smyk dał *szpryngla* na strónach, zabrzmiał wesolo wildamor.— *Rrwi...* choćbyś pękł! — rzekł on surowo do klarynecisty. Temu się policzki zaczerwieniły i rozdęły; nabrzmiąłem wargami żuł gwałtownie stroik od klarynetu... we dwoje głośniej ozwała się muzyka dęta; chłopczyk wyrzucił w górę bębenek, złowił go na powietrzu, i we wszystkie razem dzwonki uderzył. Skoczny i huczny polonez rozległ się i biegł z podskokiem po pokojach, a za nim krążył kielich, podnieca-

ny powszechną wesołością, ożywioną w jednych muzyką, w drugich przekorą Szambelanowi i omyłką Przeora, we wszystkich winem. Nie nadużywając jednak swego powodzenia i niespokojności swojej motyli, wzbudzonej w niej tak szczególnym obrotem rzeczy, Hippolit zakończył wkrótce taniec, a przejąwszy tańczący za nim kielich, — za zdrowie, rzekł, moich łaskawych sąsiadów, którzy ojca mego nie zapominają!... — Zbliżył się to mówiąc, i z uszanowaniem uściśnął rękę Podkomorzego, z kolei gospodarza, ukłonił się wszystkim i wychylił kielich.

— Poczciwego ojca, poczciwy syn! — rzekł rozrzewniony Podkomorzy.

— Wiwat nasz Podkomorzyc! — krzyknęli wszyscy, nawet ksiądz Przeor; i tak Hippolit od razu przypadł do serca wszystkim, a podobno i Helence.

Po tym polonezie, który się tak niespodzianie zakończył, przerwały się tańce. Pan Brzeziński nagradzał sobie po opuszczane kielichy, pan Szambelan po kilka razy dobywał zegarek i patrzył

godziny, wrzekomo sposobiąc się do wyjazdu; uspakajał go i zatrzymywał pan Prezydent, szep- tał mu do ucha i uprzejmie ścisnął. Przeciwnie pan Tadeusz, nie zważając na mrugania Prezy- denta, niecierpliwił Szambelana uprzykrzonymi żartami. —

— Kuso koło naszej miłości, Szambelanie! Trafła kosa na kamień, Szambelanie! Stary klucz Szambelański nie przypada, Panie dobro- dzieju, do zameczków z sercem! —

Marszczył się Szambelan, gryzł usta; nie od- powiadał wszakże, i starał się nie dać poznać, że go dotyczą dwóznaczniki pana Tadeusza; zda- wał się owszem ustępować prośbom gospodarza i uśmiechać się po trochu. Przechodząc jednak koło Przeora, drzemiącego w kącie na sofie, nie dotrzymał w gniewie i przecedził mu nad głową dobitnie — i po-bło-go-sła-wię! —

— A kat cię wiedział! wrzasnął przebudzony Przeor; krzyknąłeś z całego gardła, tak, że ja głuchy a posłyszałem — Nieodbijany! — Rozu- miałem więc, że do wieczora będziesz szlifo- wał. —

Znowu się rozległy śmiechy, lecz ja nie sły-

szalem co dalej było; bo matka Helenki, przechodząc koło mnie, dała mi znak lekkim skiniem głowy, abym poszedł za nią; idąc zatem nieznacznie i zdaleka, zaszedłem aż do apteczki.

Skorom tam wszedł — Teklusi! rzekła Prezydentowa do panny, nakładającą ze słoików konfitury na spodki od filiżanek, idź Wasanna i przygotuj w kawiarni poziomki i śmietankę, ja sama ponakładam konfitury.—

Gdyśmy sami zostali, — kochany panie Ignacy! mówiła matka Helusi, jesteś od dzieciństwa naszym domowym przyjacielem, kocham cię jak własne dziecko, wychodowałam cię, mogę powiedzieć, bo z matką nieboszczką żyliśmy jak siostry; więc jeżeli mnie kochasz, powiedz, zmiłuj się, co to ma znaczyć taka nagła konkurencya tego pana Podkomorzyca do naszej Helusi? Pierwszy raz ją obaczył, już odbija Szambelana, który szczerze o niej myśli; przywiozłeś go tutaj; uważam, że jesteś z nim poufały, czyż mógłbyś dozwolić mu, aby pierwszą z nami znajomość zaczynał od tak złego żartu? —

— Nigdy! nigdybym na to nie zezwolił! od-

powiedziałem żywo. Jesteś pani dla mnie drugą matką, bo dobrocią twoją i sercem własną mi przypominasz. Jestem sam jeden na świecie! Dom wasz stał mi się jakby drugim rodzeństwem, mógłżebym ścierpieć jakiegokolwiek uchybienie dla was, lub dla Helusi, którą kocham jak siostrę? Mógłżebym wprowadzać w wasz dom człowieka zdolnego wam uchybić? Nie, moja droga pani! Mój przyjaciel jest młodzieńcem dobrym, cnotliwym, szlachetnym; znam go i śmiało zań ręczę. Upodobał on wprawdzie od pierwszego wejrzenia Helusię, lecz czy to pierwsze wrażenie trwać będzie, i czy w stałą zamieni się skłonność, zgadnąć teraz trudno? Lecz w każdym razie bądź pani pewną, że Hippolit albo najmniej panu Szambelanowi przeszkadzać nie będzie, i w domu państwa na długo się nie pokaże, albo pana Szambelana zastąpi. Może też, Pani dobrodziko, taka wola Boska! może przyjaciel mój wyrwie piękną naszą Helusię z rąk tego starego skępcy, który z całym swym bogactwem i pieniędzmi nie wart takiego skarbu.—

— Ach mój kochany panie Ignacy! ja i sama często toż samo o Szambelanie myślę; częste no-

cy moje bezsenne; często ze łzami błagam Boga, aby odwrócił od niej te bogactwa, kiedy przy nich szczęścia nie będzie! a za jej szczęście jabym chętnie ostatki mojego życia oddała!...— Łzy jej płynęły potokiem.... a wtém wbiegła córka.

Żywy rumieniec oblewał twarz Helusi, niepokojność była w oczach, i zgadywać można było, że szuka matki, aby się przed nią wylać, powierzyć, utulić się do niej, jak przepłoszony ptaszek do gniazda. Zgadła ona, że konferencya nasza o niej się toczyła; a postrzegłszy łzy matki, rzuciła się jej na szyję, i sama płakać zaczęła..... Serca się ich zrozumiały, i myśli przeniknęły się....

— Moje dziecko! ufaj w Boga; On nas nie opuści!... rzekła Prezydentowa. Mówiliśmy tu o tobie. Pan Ignacy mnie uspokoił.... Nie pora teraz więcej o tém z tobą gadać... a tymczasem nie płacz, moje dziecko! Oczy będą czerwone, i kto wie co ludzie pomyślą... Bądź spokojną, wesołą, i tak, *jakby to nic nie było! jakby to nic!*... a staraj się, dodała ocierając łzy i sobie i córce, staraj się... aby ten Pan

Podkomorzyc... bo widzisz, kto wie co będzie?... i co on myśli?... — Zrozumiałem. Matka chciała przestrzedz córkę, aby ten Pan Podkomorzyc przed czasem jej serca nie zajął; ale nigdy dotąd słowa tego zakłętego *miłość* przed nią nie wymówiwszy, i teraz wyrzec go nie odważyła się. Była ona jak lekarz, który w niepewnym stanie chorego lęka się, i nie wie, czy lekarstwo, które ma podać, zapobieży chorobie, czy ją pobudzi?

— Droga mamo! — przerwała Helenka zgadując matkę; — bądź spokojna! żadnej myśli, żadnego uczucia nie zataję przed tobą, i nigdy bez dozwolenia twojego...—

— Ach siostrzyczko! — rzekłem; (tak bowiem nawykłem zwać Helusię), zdarza się niekiedy zakochać się i bez pozwolenia mamy.—

— Bałamut jesteś, Panie Ignacy! — odpowiedziała za córkę uśmiechająca się Prezydentowa, uwolniona tym sposobem od trudnej przestrogi; — ot pomóż wolój Helence nakładać konfitury, a ja wyjdę do kompanii, *jakby to nic nie było*. — I pocałowawszy jeszcze raz córkę, odeszła.

Nakładaliśmy więc konfitury.... Ręka Helusi drżała, i łzy jeszcze kręciły się na oczach. Powtórzyłem więc wszystko, com matce powiedział. Ufała mi jak bratu, więc uspokoiła się dziewczyna. Przeniknąłem wstręt jej do Szambelana, zaśmieliśmy się razem nad omyłką Przeora, i wyszedłem do pokojów spokojny, *jakby to nic nie było!*

Wkrótce wyniesiono tace z konfiturami i jagodami; za niemi ukazała się Helusia. Spokojność i skromna wesołość jaśniała na jej twarzy; żrenica tylko zwilżona żywszym błyszczała ogniem, a uśmieszek igrał na ustkach, *jakby to nic nie było! jakby to nic!*

Z BIBLIOTEKI MIECZ SZCZERBIŃSKIEGO

V.

GDYŚMY wrócili do towarzystwa, wielka część tłumu, zebrana na ganku ogrodowym, przypatrywała się nowym przybywającym gościom, przewożącym się na promie. Pan Tadeusz, znający wszystkich okolicznie na mil dziesiątek, nie tylko obywateli, ale nawet ich czeladź, konie i pojazdy, tłómaczył rozpoznawającym kto przybywa.

— Tego baryłę, który oto dla mocyi zapewna pompuje wodę z promu, i frak nowy na wesele sprawiony oblewa, poznajecie zapewna — to nasz kochany Pan Sędzia Grodzki; a w tym pięknym pomarańczowym koczyku *bombe* siedzi jego młodziutka żona, *et quidem* ładna! Nie znacie jej, bo nie miała jeszcze czasu we dwa miesiące po

ślubie odwizytować sąsiedztwo; ale Prezydentow-
 stwu i mnie znajoma od dzieciństwa, a podobno
 ich krewna. Może zresztą i pamiętacie piękną
 Rózię, która tu często u Prezydentowej z małą
 natenczas Helusią, a dziś chwala Bogu piękną
 Panną Heleną, przebywała, i której rodzice,
 przedawszy folwark w Oszmiańskim, przenieśli
 się gdzieś aż w Grodzieńskie. Pan Sędzia, jeź-
 dząc po exdywizyach, natrafił na dawną znajo-
 mość, i ot macie Panią Sędzinę, którą wnet o-
 baczycie, i którą... Panowie Kawalerowie! wa-
 ra od mężatek, bo to prochem pachnie!—

— A ta druga arka Noego, koczysko ogrom-
 ne, którą nie wiem czy pięć tych szkap wciągnie
 na górę, to i tłumaczyć nie trzeba — poznajecie
 Panią Chorążynę z czterma córeczkami, jak Ur-
 szula z towarzyszkami, i piąta guwernantka,
 Panna Dryling czy Dyftong, bo dobrze nie pa-
 miętam, *Niemkinia francuzka*. Śmiejecie się? a
 darmo! Musi być przecież gdziekolwiek taki
 kraj, gdzie w jednej osobie razem *Niemiec* i
Francuz rodzi się, kiedy Pani Chorążyna tak ją
 zawsze nazywa i rekomenduje. Sam Jegomość
 z tyłu na bryczce, — to naturalnie. A co! czy

nie mówiłem? ot i wysiadają; znają niedołężność swęj uprzęży.... Oho! dziewczęta, jak sarny, wbiegły na górę. Z Imością będzie trudniej.... No! no! Mężulo wziął połowicę pod rękę; sprawiedliwie! pomalenku wpelzną oboje, pomagając jedno drugiemu. —

— Ale któż jest ta tyczka w zielonym surducie, podpierająca Pannę Dryling? — zapytał ktoś z boku.

— Tego sampana i ja nie znam; niedawno widać przybyły; może znowu jaki *Niemiec francuzki* lub *vice versa*, do edukacyi i układania panienek przyjęty. —

— Jaka szkoda, znowu się odezwano z tłumu, że moda dzisiejsza pocziwe i piękne Litwinki nasze na zagraniczne maski gwałtem przerabia. —

— Przejdzie to, da Bóg przejdzie! odpowiedział Podkomorzy; bo widzicie... — I chciał rozprawę o edukacyi dziewcząt rozpocząć, ale przerwał znowu Pan Tadeusz —

— Masz tobie! Zaryła się landara, i zagrodziła drogę koczykowi pomarańczowemu. — Szwar-

cowemi Marcinie! krzyknął z całego gardła Pan Tadeusz, szwarcowemi namagaj!... A pijaku przeklęty! zacinaj! zacinaj! wiu! no! pomaleńku... — Nie! nie! nie pomaleńku! razem! razem!... — śmieli się wszyscy z furmańskiego zapachu Pana Tadeusza, głosem i energicznemi gestami usiłującego dopomódz Marcinowi, który go pewnie nie słyszał. — A przecież ruszyli, kończył on. Chwałaż Bogu! już na górze; teraz będą pod gankiem. —

Cały ten monolog Pana Tadeusza, który mi się dziś przypomina, od chwili, gdy on objawił, kto w pomarańczowym kocyku przybywa, zaledwo natenczas był ode mnie słyszany. Młoda mężatka!... ach! była to Różia! pieścizna lat moich dziecinnych (*), przedmiot potem pierwszej, najczystszej i najtkliwszej młodzieńczej miłości, a której niewinne jej serce współczuciem odpowiadało, której rękę, jako dawno mi przeznaczoną, nieraz w słodkiem omamieniu ścisakałem!... Rok tylko przerwy... ale nie zapomnienia, i już ona dla mnie obcą, i już ko-

(*) Boruny — Majówka.

bierzec, który złączyć nas miał na zawsze, na zawsze rozdzielił!

Wiadomość o zamążpójściu Rózi doszła już mnie była; przebyłem męczarnie ginącej nagle najdroższej nadziei, przebyłem paroxyzmy podżeganiej płomienistą wyobraźnią zazdrości.... przyszła nadspodzianie jeszcze próba najcięższa do przebycia, bo obudzająca razem i przeszłe cierpienia, — pierwsze wejrzenie kochanki zoną innego.

Stałem nieporuszony, ze wzrokiem na koczyk wlepionym; krew żywiej mi krążyć zaczęła, zadryłem kilkakrotnie i mimowolnie, a wzruszona razem moc trunku pomknęła się raptem do głowy! Czułem to, lecz razem miałem jeszcze dość rozsądku, aby przypomnieć sobie, że wśród tak liczного zebrania najkonieczniej potrzeba było tłumić w sobie tę gorączkę, i nie zdradzić się jakimkolwiek szaleństwem. Myśl przebiegła, że udać słabość czy upojenie się, i tym pozorem oddalić się z kompanii, byłoby najzręczniejsze, ale nie mogłem przenieść na siebie, abym jej nie widział.

W takiej niepewności i zawrocie, tłum wycho-

dzący na spotkanie gości zagarnął i mnie razem; a tak znalazłem się na ganku, przed który zajęchała naprzód Chorążyna z córkami, i sam Pan Chorąży z socyuszem. Zabierał się on do długiego powinszowania, gdy Pan Tadeusz prze-
rwał mu —

— Nie! nie! Panie Chorąży Dobrodzieju! po-
maleńku i kategorycznie. Kto się późni, powi-
nien czas stracony nagrodzić, powinien dopędzić
tych, co go poprzedzili. A zatem musisz Pan
teraz i winszować kochanemu solenizantowi, i
razem wypić jego zdrowie. —

To mówiąc, nalewał kielich, który z butelką
wyniósł z sobą na ganek.

— Sprawiedliwie! krzyknęli wszyscy, spra-
wiedliwie! — Zgoda! — zawołał Chorąży przyj-
mując kielich; obrócił się zatem ku Prezydentowi,
i zamilkł na chwilę, chcąc widać przypom-
nieć namyślaną wprzód oracyę; ale, gdy ta
wypadła mu zupełnie z pamięci, z przytomnością
więc umysłu, godną uwielbienia, wykrzyknął pod-
nosząc kielich do góry — wołam z Psalmistą: *I lat
sędziwych! i mej życzliwości!* — i wypił. Serdecz-
nie potem gospodarz z gościem uścisnęli się.

Tymczasem Pani Chorążyna, pomruczawszy trochę przed Prezydentem i dygnawszy mu u-przejmie, weszła ze swoją gromadą do pokoiów, a przed ganek zajechał koczyk pomarańczowy. Wytoczył się zeń Pan Sędzia, a za nim wysiadła Rózia. — Na jej spotkanie wyszła Prezydentowa; przyjęła ona z czułością krewną, którą od dzieciństwa kochała, i w części wychowywała; rozrzewniona siostrzenica całowała ręce ciotki i rzuciła się w objęcie Helenki, która także naprzeciw niej wybiegła. Pan Sędzia musiał tymczasem przejść przez obrządek Pana Tadeusza; po czem tłum cały, i ja z nim wróciłem do sali. —

W pokojach przy Helence usiadła młoda mężatka; obok więc siebie dwie najpiękniejsze umieściły się kobiety — Helena wyższa, najraźniejszej kibici, najforemniejszych rysów twarzy, oczu i włosów ciemnych, której powaby tak harmonijną, a razem tak ujmującą i miłą składały jedność i doskonałość, że w każdym przynajmniej podziwienie, jeżeli nie tkliwsze uczucia, wzbudzać musiała; Rózia, której rok wdzięków do-
dał, a małżeństwo jeszcze najmniej nie ujęło,

była blondynką; — *była!* bo niestety! powiedzieć nie można — *jest* o tej, która i na świecie już tylko *była!* Drobniejsza jej postać i formy oblicza, osobno rozważane, nie miałyby może zalet doskonałości; a jednak bielutka ta i delikatna twarzyczka tak była pełną, takie na niej życie igrało! W oku jej błękitnem i rzewnie przymionem tak głęboko tonęło serce, a całą lekką i uroczą figurkę taka świeżość dziewczęca i wdzięk krasily, że ja zapomniawszy mej biedy i udręczenia, wpatrywałem się w obie z rokoszą, jakby w jakie wyborne malowidło życiem oczarowane.

Wtém ona postrzegła mnie w tłumie, i oczy nasze się spotkały.... Nagły rumieniec oblał jej twarz..... Ujrzałem mocne wzruszenie w całej postawie... lecz to wkrótce przeszło; twarz się zupełnie uspokoiła, i z uśmiechem uprzejmym powitała mię.

O kobiety! jakże potężną macie zdolność ukrywania uczuć waszych, panowania nad niemi, a nawet nad każdym wzruszeniem waszego oblicza! Słabe na pozór stworzenia! Ale niechże je kto odgadnie, gdy swą myśl, gdy swe uczucia,

gdy swe słabości ukryć usiłują!... O kobiety! wasza cała obrona i zbawienie — w obłędzie!

— Nie wiem jaki był mój wzrok przy wzajemnym ukłonie, i potem nieoderwany od niej; znieść go jednak ona dłużej nie mogąc, wzięła Helusię pod rękę, i wyszły razem do dalszych pokojów.

— Kogoż to nam przywiozłeś? Chorąży Dobrodzieju! — zapytał Pan Tadeusz, wskazując na owego w długim zielonym surducie Jegomościa, który, wszedłszy za Chorążym, stał zambarasowany niedaleko ode drzwi, i krok na przód, to znowu krok w tył postępując, nie wiedział co z sobą począć.

— A!... zapomniałem rekomendować! Rekomenduję całej kompanii — jest to Pan... co u diabła! znowu zapomniałem! wszystkiego dziś zapominam! Jak Wasan nazywasz się? —

— Kleofas Moczydłowski do usług. —

— Aha! Jest to Pan Kleofas — Muzykant. —

— Metr muzyki, z Wilna dla naszych córek sprowadzony — poprawiła męża Pani Chorążyna.

— Muzykant! obaczemyż czy doprawdy Muzykant? odezwał się Pan Tadeusz. No, Mości Kleofasie! haust za zdrowie solenizanta!—

— I owszem Mości Dobrodzieju! i owszem!— Przyjawszy kielich Pan Kleofas, ukłonił się nisko całej kompanii, a jeszcze niżej Prezydentowi.

— Za zdrowie Jegomości Dobrodzieja!— wychylił.

— No! teraz za zdrowie Imości Dobrodziki!—

— A czy nie będzie za wiele? — odpowiedział Pan Kleofas, ocierając usta i podstawując kielich.

— No! no! poprobuje! pomaleńku!— mówił nalewając Tadeusz.

— Więc za zdrowie Imości Dobrodziki! — I znowu, ukłoniwszy się nisko całej kompanii, wypił.

— A! Muzykant! Muzykant!— krzyknął Pan Tadeusz, a za nim śmiejąc się powtórzyli wszyscy— Muzykant! Muzykant!—

Pan Kleofas zawsze kłaniał się nisko, nie mówiąc ani słowa, pociągając kiedy niekiedy wysokie kołnierze, sterczący z za chustki, i szerokie drobniutko karbowane bryże na piersiach.

— Kolego! łykasz wyśmienicie, musisz zatem

i grać dobrze, — rzekł Brzeziński, uderzając Pana Kleofasa po ramieniu, — więc mnie zastąpisz, bo jakem Karrmazyn, zmordowałem rękę i smykiem i łykiem. —

Niezadowolniona ani rekomendacją swojego metra, ani powszechnym applauzem jego zdolności do kielicha, Pani Chorążyna, przymrużywszy oczy, i zwracając głowę trochę w górę i trochę na bok, uprzedziła odpowiedź Pana Kleofasa —

— Nasz Metr gra tylko tańce solowe i kontrdanse, których Panna Dryling wyuczyła moje córki, i które teraz bardzo są w modzie. —

Zgadła łatwo Prezydentowa, że sąsiadka chce popisać się z córeczkami w nowych i nieznajomych jeszcze na wsi tańcach; może dla tego jedynie i na imieniny przybyła; aby więc jej macierzyńską zaspokoić próżność, rzekła —

— Pani może pozwoli córeczkóm przetańcować te nowe tańce; będziemy mieli satysfakcyę patrząc na ich talenta. —

— Z ochotą! tylko nie wiem czy się znajdują partye? W domu, zbieramy z sąsiedztwa choć małych chłopczyków, ale tu... —

— Będziemy służyć! — odezwało się kilku z młodzieży; bo już w Wilnie Pan *Dziwoni* na miejscu klassycznych *matlotów*, *matredurów* i *anglezów* wprowadzał *Gawota* wiodącego za sobą romantyczną *gruppę* kontradansów.

Sformowały się więc cztery pary i wystąpiły na środek. Nienajchętniej Pan Władysław, uprzedzony od kolegów do trzech Panien Chorażanek, stanął czwartym obok małej, szpetnej i trochę krzywej Panny *Dryling*, a tymczasem Pan Kleofas przyniósł skrzypce, i nastrajać je począł. Jakoś mu się to nie udawało;— kwinta pękła. Szczęściem u Pana Brzezińskiego były w zapasie stróny; naciągnął więc drugą, ale trudno było dostroić do skrzypiec stronę od *wil-damoru*: pokręcał więc, to odkręcał kółka, niecierpliwił się, i tém gorzej szło strojenie; a co najgorzej, że niecierpliwiły się pary, które wystąpiły do tańca, że uśmiechała się cała kompania, która ścisłym kołem otoczyła tańcerzy, i że stojąca za córkami Chorażyna zżymała się okropnie i powtarzała dobitnie, choć z cicha — Otoż to zdrowie Jegomości! zdrowie Imości!... — Co jeszcze bardziej mieszało Pana Kleofasa, bo

wpadło mu do ucha razem z brzękiem fałszywej strónki. Nakoniec *praeter propter* nastroił on skrzypce i nastroił minę, prawą nogę odstawił na przód, śmiało podniósł wzrok i głowę do góry, a zamiast pokory prostego muzykanta, jaką przy kielichu okazywał, wystąpiła mu na lica z rumieńcem od wina, zarozumiałość prawdziwego *wirtuozy*; przerzucił lekko smykkiem po strónach, i rozpuścił świetne *praeludium*. . . . Naten-
czas dziewczęta ujęły delikatnie za sukienki, ukazały drobne swe stopki, i kołysały się na nich jak zefirki do podlotu. Panna *Dryling* na każdą z nich niespokojnym rzucała wzrokiem. Nakoniec Pan Kleofas podniósł smyk w górę — *La rose!* (*) — wykrzyknął. Smyk padł na stróny, pomknęły się pary, zaczął się kontradans.

Pilnie wszyscy przypatrywali się obrótóm i wyskokóm tańczących, bo pierwszy raz w naszej okolicy zjawił się kontradans; pilniej jeszcze tańczący starali się zwrócić na siebie uwagę i podziwienie widzów. Nie szło im o to, aby się zabawić, rozweselić i rozlać wesołość na wszyst-

(*) Nazwanie kontradansa.

kich, bo nie było wesołego wzruszenia ani w muzyce, obcej naszym uszom i sercom, ani w tańczących, którzy myśleli tylko i pracowali usilnie, aby wyrobić w takt wszystkie figury i kroki, i wydać *pense* ze swęj doskonałości. Dziewczęta dobiegały do mety, haftując jakby nóżkami zamierzone i konieczne ścięgi; chłopcy w podskokach z trudnością wykręcali nogi, nienawykłe do sztucznych łamańców, i nie mieli czasu łączyć się ze swemi motyami tém upajającym uczuciem rokoszy i wzajemnej, choćby chwilowej tylko skłonności, którem się czaruje młodzież, tańcem i połączeniem się w pary, szczęśliwa.

Panna *Dryling* troskliwa, aby się nie pomyliła, komenderowała zcicha — *En avant deux!* (*) *Chassé de chassé, chaîne*, i tym podobnie.

Wkrótce Pan Kleofas podniósł znowu smyk w górę — pauza w muzyce i tańcu. — *La Flore!* (**) — wykrzyknął. Padł smyk na stróny, pomknęły się pary, drugi zaczął się *kontradans*.

Nazwanie tańca zapowiadało więcej w nim swo-

(*) Nazwanie figur w kontradansach.

(**) Nazwanie kontradansa.

body i lekkości; ale omyliła nadzieja. Jak wprzód róża była sztucznym kwiatem bez woni i koloru, tak bogini była bez wdzięków. Tańczący znowu, jak maryouetki na drótach, ruszali się w tył, w bok i na przód bez życia i czucia; minki nawet dziewcząt uskrómnione z przesadą, oczki na dół spuszczone, wyrażały przymus a nie ochotę.

Dziś *kontradans*, upowszechniony po naszych salonach, przeistoczył się w jakąś nieudolną promenadę; dziś nie żyje, bo mdleje; wtenczas nie żył, choć drgał i skakał.

— Jakem Karrmazyn! to jakieś sztuki niemieckie — rzekł kręcąc głową pan Brzeziński.

— Mój Boże! rzekł wzdychając Podkomorzy, czyż to nasza młodzież rodowitemi naszymi tańcami rozweselić się nie może? O bodajby przepadła ta modna francuzczyzna,—

Pani Chorążyna marszczyła się na te uwagi; a w tém pan Kleofas podniósł smyk w górę. Pauza w muzyce i w tańcu, ale razem zadziwienie na twarzach. — *La poule* (*) — wykrzyknął Mo-

(*) *La poule* nazwanie kontradansa.

czydłowski. Smyk padł na strony, ale nie pomknęły się pary.

— *Non! non! Monsieur Moszydłoka! nie la poule — La Flore nie skończona! à present demi queue du chat* (*).

— Nie! nie *demikasza!* nie *demikasza!* ale *la poule!* Czy ja nie wiem co ja gram? — odpowiedział uparty i już wpół-pijany muzyk; a grał bez ustanku. Panny stały nieporuszone.

— *Que faire Messieurs? dansons la poule* — odezwała się nie tracąc przytomności panna *Dryling* —

— *Mademoiselle Emilie!.. Chassé de chassé!*

Pomknęła się Emilka, ale wnet krzyknęła gwernantka — *Ou allez vous? à gauche! à gauche!* — A siostry dodały — Nie w tę stronę! — nie w tę stronę! —

Emilka umiała tańce z kolei, ale wyrwanego nie potrafiła; stanęła więc zmieszana na środku, a pan Kleofas grał dalej a dalej...

— A niech milion kroćset!... — wrzasnął Brze-

(*) Nazwanie figury.

ziński, wyrywając skrzypce z rąk muzykanta.—
Ja wiem w którą stronę wszyscy pójda!...—

— Jakem Karmazyn!..,— I w tym momencie rozległ się huczny mazurek.— Rrwi! — krzyknął on po za siebie; na to hasło podbiegł klarynet i zlał wtór swój ze skrzypcami.

Iskra elektryczna targnęła wszystkich; sypnęły się oklaski Brzezińskiemu — *Błysły od ziemi sromne źrenice*, — radość i wesołość jaśniały w oczach tańcerzy i w oczach całej młodzieży; każdy chłopak chwycił najbliższą sobie dziewczynę, i biegł z uniesieniem do koła. Hippolit nie dał się uprzedzić do Helenki.

Ten powszechny zapał mnie także wzruszył i ogarnął; lecz myśl, że wnet obaczyć mogę Rózię, tańczącą z kimkolwiek, a może i z mężem, jak żądnem przeszyła me serce. Gdy więc, rzucając okiem po sali, upatruję ją w tłumie, głos jej miły trwożliwie i zcicha odzywa się nad uchem — Czy nie potańczymy z sobą mazurka? — Ach! w tym głosie tyle było uczucia!.. tyle miłości!.. nie — nie — tyle przypomnienia!.. tyle tkliwej skruchy i skargi, że ja, przenikniony do

głębi, porwałem podaną mi rękę, całuję ją z zapalem... i już jesteśmy w kole.

Kilkanaście par runęło razem do koła; zabrzmiała sala echem żwawych i silnie wybijanych kroków i hołubców; dziewczęta unosiły się lekko i wesoło około chłopców, którym serca i źrenice pałały; starsi nawet za kołem tupali w takt nogami, lub klaskali w dłonie: szczęśliwość oblała wszystkich!...

Dzień się schylał ku zachodowi, najpiękniejszy wieczór letni następował po dniu pogodnym; miły chłodek, wpadając przez otwarte drzwi i okna ogrodowe, rzeźwił tańczących, i do powszechnej wesołości nowej nawiewał rokoszy. Mazurek przedłużał się ochoczo, i trwałby jeszcze dłużej; lecz gospodyni szepnęła kilka słów na ucho panu Władysławowi, będącemu w pierwszej parze, ale nie z panną *Dryling*, bo on przy rozpoczęciu mazurka bez ceremonii podziękował jej za kompanię; ten zawołał — *koło!* — Szepnęła także na ucho Brzezińskiemu, a ten z ostatnim taktem mazura — Marsz nad Wilię — wrzasnął, i stosowną do tego wezwania zacząwszy muzykę, wymaszerował po swojemu do ogrodu.

Za nim sypnęła się cała kompania; i postępowaliśmy przez ogrod na piękną łąkę, murawą i kwieciami usłaną, szeroko nad brzegami Wilii rozpostartą.

Zgiełk wesoły i ochoczy tego pochodu, zagłuszał muzykę Brzezińskiego, lecz dozwalał toczyć się w pośrodku cichym a interessowańszym rozmówkom, do których między młodzieżą unoszący serca mazurek nie jednej parze dał pochop.

Jam od tańca nie rozłączył się z Rózią. Szliśmy obok, ja z pomięszaniem i wzburzeniem myśli i uczuć, trudnem do rozwikłania i uspokojenia; ona w spokojnem zadumaniu, chcąc niekiedy odjąć mi swoją rękę, gdy drzenie mojej zdradzało stan mojej duszy; a że ja zatrzymywałem ją z uporem, więc niekiedy łagodnem i dobrotliwem spójrzeniem zdawała się błagać mojej litości.... Wejrzenie to anielskie koło na chwilę moję wewnętrzną burzę, łza ćmiła mi oczy, i natenczas pragnąłem tylko jęj szczęścia, chociaż własne traciłem na zawsze. Jestże ona szczęśliwą? pomyślałem, i wnet—

— Jestżeś szczęśliwą? — zapytałem cicho i nieśmiało.

Milczała. Ponowiłem dobitniej zapytanie, i drżenie mej ręki ostrzegało ją, że chwilowa spokojność moja znikła. Znowu więc, podnosząc na mnie rzewne, jak mi się zdawało, spojrzenie, Rózia, zamiast odpowiedzi na moje, rzuciła mi własne pytanie—

— Chciałżebyś, abym była nieszczęśliwą?—

Pytanie to, czy z namysłu czy z uczucia uczynione, trudnem mi było do odpowiedzi. Jakżeby jęj szczęścia nie miał życzyć? A przecież ona nie inaczej to szczęście osiągnąć mogła, jak zapominając o mnie na zawsze! Mogłemże znowu życzyć sobie tego zapomnienia? Miałemże na to w tym momencie dosyć rozwagi i siły?

Milczałem; lecz wkrótce serce podało mi odpowiedź—

— Ja, rzekłem, ja całe moje życie dla twego szczęścia poświęcić chciałem!

— Bóg chciał inaczej! odpowiedziała. Cóż począć naprzeciw przeznaczeniu? a zatem...—

— Cóż zatem? — przerwałem.

— A zatem dla szczęścia, dla spokojności mojej, a nawet swęj własnej, gdy nie możesz całego, poświęć mi część twego życia! poświęć mi

całą przeszłość!.. to jest, zapomnij o niej!.. Był to sen... Ach! rozmawiać nawet o tém nie powinnam!.. Moje nowe obowiązki! Mój szlub!... Puść mnie...—

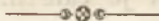
— Twój szlub! rzekłem, ujmując mocniej wymykającą się jej rękę, twój szlub! On ciebie zmienił do razu; on zgasił w tobie w jednej chwili uczucia od dzieciństwa nam drogie i nas łączące! Ale to tylko w tobie!... Ja szluby nie brałem! ach! i nigdy już brać nie będę... Twój szlub rozkrwawił mi serce, ale jeszcze głębiej ciebie w niem wypiętnował!... Zabiłaś całą moją przyszłość, i jeszcze chcesz mi przeszłość odebrać! Jakiem prawem chcesz mi wydrzeć z serca twój obraz, który razem z tém sercem rosnął, rozwijał się i zajął je całe?... Nie! nigdy! nigdy!...—

Wtém trącił mnie mocno Hippolit, i mijając, szepnął nad uchem— Zapominasz się;— a z drugiej strony Helenka porwała Rózię za rękę, i ciągnąc ją za sobą, — chodź prędzej, rzekła, pomożesz mi gospodarzyć na łące.—

Czas też był bardzo przerwać moje uniesienia, bo pan Sędzia szukał żony w tłumie, a cieka-

wi uważać nas zaczynali. Hippolit powrócił do mnie.

— Teraz wiem twoje *dla czego?* rzekł; ależ, mój kochany! jakież czas i miejsce wybrałeś na twoje skargi? i jeszcze tak żywo je tłómaczyłeś! Dziękuj Bogu, żem ja, idąc za tobą, dostrzegł niebezpieczeństwa. Zdaje się, że i Helenka, przebiegająca w tej chwili, coś dosłyszała, i dla tego oderwała od ciebie heroinę.— Ha! stało się! rzekłem; dziękuję ci za ratunek w samą porę. Lżej mi jednak po tej spowiedzi. Sam nie wiem zkąd mi taka wymowa? Odnowionej gwałtownej miłości, wino podobno rozwiązało usta! Idźmy do kompanii.—



VI.

JASNY promień zachodzącego słońca przejmował i złocił cały nurt Wilii, ku zachodowi w tém miejscu zwrócony, i ukośnie padając na rzekę, łamał się w niezliczone pryzma, drżał i błyszczał na powierzchni lekko falującej się wody. Gęsty bor ciemno-zielonym szpalerem ocieniał drugi brzeg Wilii, i daleko się przedłużał za jej biegiem, a nad nim właśnie zawisłe słońce miało wkrótce zapaść między drzewa, gdy cała nasza kompania rozsypała się po łące: dzieci za motylkami, dziewczęta za kwiatami, chłopcy za dziewczętami.

Starsze obojęj płci towarzystwo usiadło na przygotowanych z darni kanapach, otaczających szeroką plitę z granitu, która, rzucona tu jakby

umyślnie, corocznie kośćóm za stół obiadowy służyła, a dziś ich panóm do bankietu przydała się. Na niej z dwóch waz Helenka i Rózia dla dam limoniadę, dla mężczyzn kaliszan rozlewały. Brzeziński, zachęcony echem, które od boru na rzekę odbite, daleko roznosiło odgłos jego muzyki, stanął nad brzegiem, i chórem z towarzyszami swemi zaśpiewał dawną hajdamacko-sejmikową piosenkę, przegrywając jęj na nótkę po każdej strofie —

To mi życie do zazdrości,
Gdy po chacie wicher gości!
Piec bez kafel, w oknach dziury,
Drzwi bez zamków, puste mury!
Oto to ja pan! Oto to ja pan,
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam.—

— Oho! zawołał Podkomorzy, Brzeziński przypomniał pieśń staroświecką z czasów jeszcze saskich w kraju naszym pijatyk. Brawo! dalej bracie! dalej! huczno a wesoło! Zakończmy dzień dzisiejszy tak, aby on nam starym młodość przypomniał, a kiedyś dzieci nasze swą pamiętką odmładzał! Dalej, Brzeziński! Pomagać tobie będziemy.—

Zaochocony tem wezwaniem Brzeziński nie o-
szczędził głosu, ni ducha, śpiewał i grał
dalej —

Czy wiosna runi zaszkodzi,
Czy zboże dobrze urodzi,
Czy w Królewcu płacą siła,
Byle flaszką pełną była!
Oto to ja pan! Oto to ja pan!
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam! —

Takiej treści i zalety kilkanaście strofek prze-
śpiewał Brzeziński — coraz to żywsze odbierając
applauzy; i po każdej chór się powiększał, i gro-
mada słuchaczów pomnażała się tak, że gdy osta-
tnią ze szczególniejszym zapamię, jakby proro-
ctwo dla siebie, odśpiewał —

Choć łzy często w oczach błyszcza,
One litość Niebios zyszcza;
Choć źli siła na mnie przęda,
Wesoł umrę, gdzie pić będą!
Oto to ja pan! Oto to ja pan!
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam! —

skupiliśmy się wszyscy około niego, i wszyscy
go serdecznie uściskali.

— A gdyby też moja kochana Helunia, ode-
zwał się Prezydent, przytulając córkę do serca,

na imieniny moje zaśpiewała dla mnie i dla miłych naszych gości moją ulubioną piosenkę? —

— Prosimy! prosimy! — krzyknęli wszyscy, a najgłośniej młodzież.

— Z ochotą, kochany ojcze! rzekła Helusia, całując mu rękę; ależ ja śpiewam przy fortepianie, więc chyba gdy wrócimy do pokoju. —

— Ha! moja kochana! rzekł po krótkim zastanowieniu się Prezydent, alboż to tak daleko do budynku? alboż to tak ciężki twój klawikord? —

— Przyniesiemy go natychmiast, — odezwaliśmy się jednogłośnie, zgadując myśl jego, i pobiegliśmy pędem do pokoju.

W rzeczy samej klawikord Helenki nie był to ciężki, terazniejszy z długim, jak kometa, ogonem pantalion; mały, nakształt stolika składanego, łatwo się dał wynieść i przynieść nad Wilę. — Postawiliśmy go nad brzegiem, i zasiadła Helenka pełnym naszym otoczona gronem.

Daje się wnet słyszeć cichy i łagodny dźwięk muzyki, natracając się i płacząc w akordach jakieś nieobce tony... jakieś przypomnienia rzewne i miłe... jakieś echa obudzające się w duszy... po-

woli, jak myśl czysta z pomieszanych wyobrażeń,
 jak pasmo złote z pogmatwanój tkaniny, wywija
 się i wydziela znajoma natenczas i miła każdemu,
 a zapomniana dzisiaj nótka... łączy z nią wdzię-
 czny głos swój dziewica, i tkliwą piosenkę rozle-
 wa w powietrze!!!

Nie mam srebra ani złota;
 Nie dam wam żadnych prezentów.
 Uboga moja prostota;
 Nie zna też żadnych wykrętów.

Prostak jestem z urodzenia,
 Po prostu mówię i czuję;
 Prosty sposób mam myślenia,
 Po prostu też was przyjmuję!

— Tak! tak! moi mili sąsiedzi! przerwał
 Prezydent, rozdjawszy szeroko ręce, jakby nas
 wszystkich razem uściskać pragnął! po prostu,
 ale szczerém sercem was przyjmuję! — *Czém
 chata bogata, tém i rada!* —

Wykrzyknienie to Prezydenta przerwało śpiew.
 Wszyscy natenczas na niego i na siebie nawza-
 jem podnieśliśmy oczy... Piosenka uderzyła już
 w serca; nótka łagodnie i błogo wpłynęła w du-
 sze.... a tłumiąc głośną przed chwilą wesołość,

tkliwemi uśmiechy i zwilżoną u wszystkich źrenicą, wewnętrzną rokosz objawiła na twarzach. Zaczęto uściskać wzruszonego Prezydenta; a tymczasem piosenka szła dalej i dalej —

Dziś się tu wszyscy bawimy;
Rokosz sercem naszym władnie.
Któż wie gdzie za rok będziemy?
Może ten domek upadnie!

— A niechże Bóg tego strzeże! odezwał się Podkomorzy. Dom pocziwy szlachecki za cóż miałby upadać? W Bogu nadzieja! za rok będziemy tu na weselu kochanej naszej śpiewaczki. —

— Za rok na weselu Heluni! — okrzyknęła cała kompania.

— *I po-bło go-sła-wię!* — dodał ksiądz Przeor. Śmiech na te słowa ożywił się znowu; oczy się zwróciły na Szambelana, który z miną uprzejmą stał obok starszej panny Chorążanki, na przekór może Helence. Prezydent tymczasem szepnął półgłosem do pana Tadeusza —

— Obratem cię dzisiaj za gospodarza! rozumiesz? —

— Pomaleńku... — i skinął głową pan Tadeusz...
Helenka kończyła —

Oto mój domek nikczemny,
I wszystko, co w nim widzicie,
Niech wam tak będzie przyjemny,
Jak nam tu wasze przybycie!

Wyryjmy tu na kamieniu
Rzędem nas wszystkich imiona,
Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona!—

— Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona! —

wrzasnął z całych piersi pan Tadeusz, wtórując Helence, powtarzającej zawsze drugą część każdej zwrotki, i podając pełny kielich Podkomorzemu.

Zdziwiony Podkomorzy spójrzył mu w oczy, a zrozumiawszy wezwanie, przyjął kielich, wznosił go do góry, i drżącym od starości i wzruszenia głosem ozwał się także —

— Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona! —

Natenczas uniesienie niewymówne objęło wszystkich. Szklanki od kaliszanu i limoniady w mgnieniu oka napełniono winem. Wszyscy otoczyliśmy kołem śpiewaczkę, zebrane przy niej damy,

wpółród nich Podkomorzego, Chorążego, Przeora i dalszą starszycznę; wszyscy, podniosłszy pełne szklanki w górę, huknęliśmy niedobranym wprawdzie i nieskładnym, ale serdecznym i brzmiącym na wszystkie strony chórem, ożywionym łączącemi się razem głosami kobiet i klarynetem Brzezińskiego —

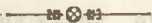
— Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona.—

Wszyscy piliśmy z uniesieniem; wszyscy powtarzali toasta za zdrowie Helenki; wszyscy śpiewaliśmy z uniesieniem, i wszyscy weseli, a jednak do łez rozrzewnieni, z uniesieniem ściskaliśmy się jak bracia! Echa niesły po Wilii i odbijały po brzegach odgłosy wesołości naszej, i nótkę ulubioną, słabiejąc coraz i ginąc w oddaleniu... tak, jako i sama piosenka, odbijając się niegdyś w sercach naszych, niknęła powoli w niepamięci, i nakoniec umilkła w poniewierce!

Jakiż miły obraz, gdy mam dać spoczynek
zmordowanej ręce, jawi mi się na wyobraźni?

Opiszmy go jeszcze! Będzie on łączył przeszłość z przyszłością! starość i wspomnienie z młodością i nadzieją! usiłowanie z nagrodą! autora z czytelnikami! — Oto widzi mi się młoda i nadobna dziewczyna, w ozdobnym salonie doczytująca tę książkę poważnej matronie, matce swojej; matka składa robotę, zbliża się do fortepianu, na którym brzmią codzien niewłaściwie z wysiłonej piersi dziewczyny *recitativa* i *trele* włoskie; zaczyna próbować i przypominać tkliwą nótkę i piosenkę, którą śpiewała, gdy niegdyś młoda i ładna, jak dziś jej córka, *panienka*, poufała gromadkę rodzicielskiego domku rozweselała swym głosem; przemykają jej po myśli dnie jej wiosny, której miły obraz przed sobą w ukochanym swym widzi dziecku. — Córka pomaga mamie, bo przypomniła kołyskę, która ją niegdyś w takt piosenkóm unosiła, i kochaną niankę swoją, kojącą dawniej tą lub ową nótką dziecięce jej troski. — Dosłyszał zdziwiony papunia w drugim pokoju niezwykłych tonów... zbliża się do małżonki, i drugą strofkę basem zawtóruje... Stare małżeństwo spojrzy na siebie okiem przeszłości!.. łza zaleje ich źrenicę! łza słodka i czuła, z ser-

ca na oko wypływająca!... Nie dokonczą wprawdzie piosenki, ale uścisną się, rozrzewnią serdecznie, pobłogosławią dziewicę..... i z przychylnością może wymówią imię autora, który im tę chwilę nadarzył.



VII.

WE DNI dziesiątek po ochocie u pana Prezydenta, polując my z Hippolitem przez cały ranek po kniejach i lasach, od ujścia Naroczy do Wilii, aż do miejsca, gdzie droga z Wilna ku Borysowowi idąca oną przestępuje i w ciemne potem zaszuwa się bory, odłączeni od całego myśliwstwa, zeszliśmy się nad brzegami tej rzeki; a znużeni skwarem i zmordowani pracą, obraliśmy dąb ogromny, w przerwie nadbrzeżnej lasu szeroko rozpościerający konary; w cieniu jego chroniąc się od południowej spieki, usiedliśmy, a raczej położyliśmy się na odpoczynek.

Niebo było oblane światłem dnia pogodnego; gdzieniegdzie tylko poskupiane obłoki, lekkim pę-

dzone wiatrem, płynęły po jasnym błękiecie. Dziwne i rozmaite ich formy coraz to w nowe zmieniały się widma. Tam coś nakształt ogromnego sfinxa, przechodzącego powoli i nieznacznie w straszliwą figurę czarownicy, z miotłą w rękę i z zawojem na głowie. Owdzie kawalerzysta na wielbłądzie, którego długa szyja, rozciągając się coraz dłużej, zamienia się razem z jeźdźcem w smoka ze skrzydłami. Tam znowu jakby z wysp ruchomych, skupiających się jedna na drugą, wzbija się góra ogromna, w szczerbate połamana krawędzie, której wszystkie brzegi słońce za nią ukryte złotem oblamowało; po tych szczerbach i krawędziach wspina się, czepia i przewija coraz wyżej i wyżej mały obłoczek, jak z trudem na szczyt *Montblanu* pnący się wędrownik... Nagle obłoczek zanurza się i ginie w olbrzymich zwojach chmury, jak nieraz zginął i wędrownik w niezgłębionych rozpadlinach lodów i zamieci... Po chwili słońce wzbija się nad chmurę, osiada na jej szczycie, zapala tam ognisko wulkanu, i gorejącym promieniem rozszczenia górę na dwoje... chwieje się ona całym ogromem, i nakoniec kłębami lawy rozpływa się po niebiosach. Tak

na tym niezmiernym przestworze, jak na wyobraźni śpiącego człowieka, snuły się coraz to nowe, ruchome, bezładne, fantastyczne jakieś złudzenia, na które my półsenném w milczeniu poglądając okiem, snuliśmy także i roili obrazy życia i szczęścia równie fantastyczne i niestałe, jak łudzące wzrok nasz obłoki, i jak obłoki wątle i marne... Ach! czegoż nie roją głowy młode i zakochane?...

Długie milczenie i obłąkane myśli nasze przerwał nakoniec i zwrócił ku ziemi Hippolit.

— Gdzieżeś? rzekł on uderzając mię po ramieniu, gdzieżeś? Ignacy!—

— Co za pytanie? Wiesz, mój kochany, że gdy archanioł, wypędzający grzesznego ojca naszego Adama z raju, zawołał: „gdzieżeś Adamie?” Adam nie śmiał mu odpowiedzieć...—

— Bo się wstydził, bo czuł grzech na sercu!... Rozumiem, i ty się wstydzisz, i ty czujesz grzech na sercu; a co gorsza, grzech śmiertelny! Nie prawdaż? —

— Tak, jeżeli rozpacz jest grzechem.—

— Rozpacz? Nie, to nie rozpacz, mój bracie! to wcale nie rozpacz.—

— Cóżby innego być miało, albo być mogło? —

Słuchaj! mówił dalej Hippolit; czy wyobrażasz sobie niekiedy twoję lubą w objęciach szczęśliwego jej małżonka? —

— Człowieku! wykrzyknąłem, zrywając się z ziemi, cóż ci po mojem udręczeniu? Ach! te to właśnie wyobrażenie drażni mię i męczy bez ustanku!!! —

— A widzisz! czyż to rozpacz? to zazdrość, mój kochany! to zazdrość zapalona, zapamiętała zazdrość! Grzech śmiertelny, jakem ci powiedział, nie rozpacz, nie! —

— Cóż mi po tej różnicy? Tak lub owak, zawszem nieszczęśliwy! —

— Prawda, ale należy wszystko dokładnie definiować i determinować, a témbardziej uczucia i namiętności; bo widzisz, znając chorobę... —

— Dość tego, przerwałem; nie chcesz zapewne uragać się z cierpień przyjaciela. Przestańmy definiować grzechy; determinujmy wolęj cnoty. W twojem sercu trzy kardynalne założą podobno mieszkanie: jest już *miłość*, wciska się *powoli nadzieja*, a obie wprowadzą zapewne trze-

cią swą towarzyszkę, *wiarę*, a *wiarę* małżeńską. —

— Dziękuję za proroctwo; pomóż do skutku. —

— Z całego serca; ale... —

— Żadnego *ale*, mój kochany, żadnego *ale*! Przenikam co masz powiedzieć: kocham Helenę miłością... —

— *Parisa* — przerwałem.

— Dla BOGA! co wyrzekasz? Kocham ją miłością czystą, stałą, spokojną, i, dajmy to, rozważną nawet... —

— Chcesz widzę determinować ściśle i własne uczucia. —

— Tak, bo chcę twoje *ale*, twoję wątpliwość pokonać, twoje niedowiarstwo zniszczyć bez powrotu. Kocham jak dotąd nie kochałem. Dni kilka, któreśmy oba po imieniach Prezydenta tak przyjemnie w domu jego spędzili, dały mi poznać tę duszę niewinną, niepokalaną, dziecięcą jeszcze, ale w której zarody wszystkich cnot niewieścich dojrzałem. Ach! mój drogi! z nią tylko szczęśliwym być mogę!... Tak! ona mi jest od BOGA przeznaczona!!! —

— I od ludzi narajona! — dokończyłem sta-

rym swatowskim konceptem; — bo gdy taki jest stan twojego serca, mówiłem dalej, i twoich zamiarów, jam to swatem! Dziękuj Bogu, że ci drogę twojego szczęścia we własnem twojem objawił sercu. Niech tylko Helenka będzie ci wzajemną... w czem także mam niejaki nadzieje, reszta pójdzie jak z płatka. —

— A Szambelan? —

— Cóż znowu Szambelan? Helenka jego nie kocha. Może Prezydent, dawniejszych w postanowieniu córek trzymający się zasad, będzie rozliczał wasze dochody; ale i on kocha prawdziwie swe dzieci; i ty wszakże do półpanków sprawiedliwie liczyć się możesz. Jednakże nie traćmy czasu, bo, jak powiadał mój dziadulek, *quis scit* co za górą? i nie dziwiłbym się wcale, gdyby *tertius interveniens*, zwabiony słynącemi wszędzie wdziękami Helusi, pomięszał nam szyki. —

— Więc wracajmy do domu, odpowiedział zatrwożony Hippolit, i jedźmy jutro... —

— Zgoda, rzekłem, jedźmy. Uderz w trąbkę, zbierzmy myślistwo. —

Raz i drugi pojezdne odbiło się po lesie, lecz żadnej nie słysząc było odpowiedzi; a natomiast

silne uderzenie po wodzie rozprysło się i rozległo po nadbrzeżnym borze, i długi ciąg płytów, w jedno złączonych, jakby odgłosem trąbki naszej zbudzony wąż ogromny, którego pod biegunami widywano, wysunął się na zacienionym nurcie Wilii, i wyginając się podług jej zakrętów, powoli ku nam się zbliżał. Na czele stał człowiek z wytkniętym na przód długim żądłem potworu, drugi z tyłu potężnym jego ogonem rozbijał i zapieniał wodę, a kilku ludzi, przebiegając po wierzchu, przypominały bajkę o rozbitkach na grzbiet wieloryba schronionych. Rzeka niesła go wspaniale i przechylała na falach, ku czemu wolne spojenie członków z łatwością się podawało.

Na ten widok jednostajna myśl przebiegła nam po głowie.—Płynmy! wykrzyknęliśmy obadwa, płynmy aż do Prezydentów! — powtórzyliśmy żywo i wesoło, i natychmiast zaczęliśmy wołać i dawać znaki sternikowi, ah! przybił do brzegu.

Podjął głowę, a raczej zwrócił w naszą stronę szeroką łysinę staruszek; spójrzył na nas ciekawie, i po krótkim zastanowieniu się — *stau-*

buj! (*) — wykrzyknął przeciągle i donośnie — *stau-buj!!!* — Skinął potem wiosłem ku naszemu brzegowi, a za chwilę wąż ten ruchomy i potężny rozciągnął się i zaległ u nog naszych.

Wyszedł rzeźwo na brzeg staruszek czerstwy i rumiany, łysy, jak już to z daleka postrzegliśmy; reszta włosów siwych spadało mu z tyłu głowy na kołnierz białej i schludnej płóciennej kapoty, w którą był ubrany. Za szerokim pasem skórzanym, ściągającym go w stanie, sterczała mała drewniana luleczka; pod pasem, na cienkim rzemyku, nóż składany i kalitka z krzesiwkiem, hubką i skałkami. Prosta ale cnotliwa dusza malowała się w rysach jego twarzy, i prosta gospodarska, że tak powiem, rostopność z oczu mu wyglądała.

— Czego chcecie panicze? — zapytał on kłaniając się nam uprzejmie.

— Płynąć z wami — odpowiedzieliśmy, oddając również uprzejme ukłony.

(*) Wyraz techniczny w żegludze po rzekach; znaczy — przybijaj do brzegu.

— W imię Ojca i Syna! dokąd? do Królewca? —

— Nie, staruszk! tylko mil kilka popłyniemy z tobą; wysiadziemy na brzeg pod Niestaniszkami. —

— To mil ze sześć złąd gościńcem, a krętą rzeką daleko więcej. —

— Jak tobie imię? mój kochany! — zapytał Hippolit.

— Bartłomiej — do usług. —

— No, panie Bartłomieju! mil sześć czy dziesięć, to wszystko jedno; popłyniemy, rzekł Hippolit. Rozumié się, że tobie i twojej czeladzi wynagrodzimy za to, że nas weźmiecie z sobą. Oto masz, staruszk, na zadatek. — Hippolit wyjął rubla i oddawał Bartłomiejowi.

Starzec nie sięgnął po rubla, ale oglądając nas z nóg do głowy, pokręcał własną i powtarzał zcicha i wątpliwie — złąd mil ze sześć... nie wiem... nie wiem... Mospanie!... —

Projekt nasz tak dlań niezwyczajny i rubel Hippolita, obudzał w starcu niejakiś podejrzenie, którego z naszą postacią, ubiorem i niebojaźliwą szczerością pogodzić nie mogąc, wahał

się czy miał przyjąć czy odmówić wstępu na swoje płyty ludziom nieznajomym, do paniczów wprawdzie podobnym, ale uzbrojonym i w lesie...

W tym momencie trąbka z daleka rozległa się, na którą Hippolit własną odpowiedział.

— A to co? — zapytał zdziwiony Bartłomiej.

— To znak, że strzelce nasi ciągną w tę stronę, i wnet tu na moją trąbkę przybędą.

Bartłomiej milczał, lecz nieznacznie ku płytom się rejterował. Trąbka do reszty go zmitrężyła. Przyszła mu bowiem na myśl, jak się nam przyznał, bajka o dwunastu rozbójnikach na trąbkę się zwołujących; bo każda bajka gminna w przekonaniu starca i jemu podobnych jest prawdą, tylko dawno i daleko przytrafioną.

Lecz te wszystkie niedowierzania i strachy znikły za ukazaniem się *Hałasa*, *Lutni*, *Tertesa* i *Kompanii*, — gończych psów naszych. Wybiegły one zmordowane z lasu, a dopadłszy rzeki i ugasiwszy pragnienie, łaszczyć się około nas zaczęły. To przekonało pana Bartłomieja, żeśmy myśliwi i żeśmy panicze; a tymczasem wymykali się z boru strzelce, i także około nas się gromadzili. Zwrócił się więc ku nam staruszek.

— No, rzekliśmy doń, zjedzmy tu, panie Bartłomieju, z myśliwskiej torby obiadek, a potem dalej na wodę.—

— Nie, Mospanie, to na długie zachodzi marudztwo; my już dawno po obiedzie, a miejsce do południowania jeszcze ztąd o pół mili; woda codzień spada, w Wilejce Pac dawno już łysinę pokazał, a zatem niema czasu do baraszkowania; i panicze wolej drogą, gościńcem, po sprawniejszej ziemi, jedźcie, gdzie Pan Bóg ma prowadzić.—

— Nie, kochany Bartłomieju, nie zamarudziemy długo, a ty daj się uprosić; wszakże ci to nic kosztować nie będzie, owszem...—

— A kiedy już tak paniczóm koniecznie tej rekracyi zachciało się, to cóż robić?—

— Więc do Waspana — rzekł Hippolit, biorąc z torby flaszkę wyborną gdańską wódkę i srebrną czareczkę, którą do połowy spełniwszy, dolał pełno dla pana Bartłomieja.

— Po obiedzie, Mospanie, nie piję.—

— Ale przed południem? —

Starzec spójrzył z pod ręki na słońce.

— Jeszcze to za rano, rzekł; ale kiedy już ma być tak, to tak! —

Przyjął zatem ofiarowaną czarękę, i wychyliwszy, dodał pokręcając głową —

— Oho! w Królewcu tylko z taką się spotkasz! Dziękuję, Mospanie! — Obrócił się potem do swęj czeladzi, i odezwał się głośno — Połudzień, dzieci, połudzień! — Natychmiast drużyna żeglarska w jedną gromadkę na płytach, a drużyna myśliwska w jedną gromadkę na brzegu się skupiły, i każda po swoje sięgnęła zapasy.

Na widok naszych półgęsków, szynek i serów, zaproszony Bartłomiej, — nie, Mospanie, odpowiedział, nie; dziś suchedni. Młodym zdarzy się czasami i zapomnieć o postach; ale staremu nie daj Boże! A zatem ja pójdę do swojej kompanii na suszone płotki i wędzone szczupaczki. —

— To i nam, jako już do twojej drużyny należącym, dasz zakosztować? —

Wyborne i czysto sporządzone rybki Bartłomieja smakowały nam lepiej, niżeli własne wędliny, które wszakże gwarliwa myśliwska rze-

sza, bez względu na suchedni, z apetytem po-
żerała.

Krótko trwał połudzień staruszka; nie dał on
i nam skończyć obiadu.— No, panoczki! jeżeli
wola i ochota...—

— Jak widzisz, ojciec Bartłomieju!— odpo-
wiedziałem. Rozkazaliśmy więc myśliwcu wra-
cać do domu, i służącym naszym wybrać się
zamtąd bez zwłoki z pojazdem i garderobą do
Niestaniszek, i czekać nas tam we wsi nad prze-
wozem.

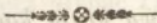
— A panowie? — odezwało się kilku my-
śliwych.

— My tam przyplyniemy.

Na ten niespodziany projekt wszyscy się z za-
dziwieniem przeżegnali. My tymczasem, zebra-
wszy nasze myśliwskie rynsztunki, jednym skokiem
byliśmy na płytach. Stary Bartłomiej stał już
u steru, kilku młodych chłopaków przy rudlu,
a kilku innych, opierając silnie długie prysy
o brzegi, odpychało uwięzłe płyty na piasku...
Zbliżała się chwila odbicia... Wesołość natenczas
i radość jakaś nadzwyczajna objęła nas i unosi-

ła; krew młoda żywiej i swobodniej igrała w sercach; z niecierpliwem drzeniem czekaliśmy pierwszego targnienia się statków pod nami... Porwałem fuzyę, odłożyłem kurek... zrozumiał mnie Hippolit, i toż samo uczynił... Płynęła się wzrusza... Palim!.. płyniemy!.. Huczna *salva* myśliwska odpowiada nam z brzegu!... — *U-laż!* *u-laż!!!* (*) — wykrzyknął Bartłomiej.

(*) *Ulaż*, wyraz techniczny, pobudzający do silnego robienia rudłem albo wiosłem.



VIII.

Gdy w rozpięty żagiel wiatr uderza i odbija od ojczyściego brzegu nawę, pędząc ją na głębie oceanu, stojący natenczas na pokładzie wędrownik pogląda rzewnem okiem raz ostatni na rodzinną ziemię, i z głębi serca woła —

„*Bywaj mi zdrowy kraju kochany!*” (*)

Ale z pogodną duszą, bez tęsknoty i trwogi, w pięknych dniach wiosny roku i wiosny życia, puścić się i płynąć bezpiecznie rzeką ojczystą, po której brzegach coraz to nowe, coraz to rozmaite, coraz piękniejsze, a wszystkie swojskie, domowe i kochane spotykasz widoki; oddychać pełną i rozszerzoną piersią, powietrzem napojonem wonią kwiatów i łąk, które się pomija,

(*) Pożegnanie Child Harolda.

chłodzić się i pieścić niejako z falą kołyszącą cię mile i pieniącą się u nóg twoich... ach! to jest rokosz czysta, niewinna, prawdziwa nadewszystko, której użyć.... spróbuj, młodzieńcze!.... a uznasz, że ja ani obrazów fałszywych kraju mojego nie maluję, ani uczuć serca nie kłamię... i rzeźwy, swobodny, szczęśliwy, zawołasz z uczucia, com ja z przypomnienia napisał — Piękną jest szeroka Litwa nasza!!! —

Na wesołość naszą i uniesienie patrzył oparty na wiosle Bartłomiej, uśmiechając się i kiedyniekiedy kiwając głową.

— Miarkuję, Mospanie, rzekł on, że Paniczóm nowa to rzecz płynąć rzeką, i dla tego tak weselicie się i biegacie po płytach. Ja zestarzałem się przy rudlu, więc to mnie nie nowina; a jednak każdej wiosny, gdy wchodzę na statek i ruszam od brzegu, lżej mi jakoś i weselej robi się na sercu; żona stara zmarszczy się trochę, niby to płacząc, ale wkrótce ja ją z płytów a ona mnie z brzegu pożegna, i przestaje baba marszczyć się, a czeka potem spokojnie gościńca z Królewca.

A cóż to, Mospanie, teraz znaczy do tego, co

dawniej bywało? Czy to spław teraz? Kilkanaście tych pławużek, które spuściwszy na rzekę, możeby bez sternika i czeladzi do Kowna dopłynęły. Oto, Mospanie, kiedy z dziesiątek albo i więcej strugów, wielkich jak domy, każdy z masztem jak z wieżą i z żaglem jak z chorągwią, a naładowanych pieńką, siemieniem albo i zbożem, wychodziło z naszych przystani i puszczało się wiosną po rzece na pół mili rozlanej, a niosło się bystro, że aż burczał statek! oto wtenczas trzeba było widzieć ochotę i radość naszą! oto wtenczas trzeba było być sternikiem! Czasami strug, jak kaczką, wywijał się po rozlewie między wierzchołkami dębów i sosen, sterczącymi z pod wody. Trudno to było natenczas, Mospanie! ależ za to kiedy człek wykierował się gładko, to aż podskoczył z radości. No, i gdyby tyle dał Bóg aniołów przy skonaniu, ile strugów szczęśliwie do Królewca doprowadziło się. Oho, Mospanie! bywało jeszcze Pac z łysiną pod wodą, a już my w Kownie.... Inne czasy, Mospanie, inne czasy!...—

— Już dwa razy, ojczyźnie Bartłomieju, rzekłem, wspominasz jakiegoś Paca, czego my nie rozu-

miemy. Gdzie jest, czy gdzie był ten Pac? zdaje się bowiem, że teraz o żadnym Pacu w tych stronach nie słyhać.—

— Ej to Mospanie nasz znak żeglarski pod Wielejką. (*)

— Przecież musi być temu nazwaniu przyczyna?—

— Naturalnie że jest.—

— Więc nam ją opowiedz, kochany Bartłomieju!—

— Nic w tém ciekawego, ale zapalim luleczki, bo i Panicze, jak uważam, nie od tego.—

— Wyborny projekt; prosimy na nasz tytułnik. —

— Dziękuję pokornie, Mospanie! Człek do swego przywykł. W tém miejscu można sobie odpocząć: rzeka czysta i spokojna; trzeba się tylko na prawo trzymać, bo przy lewym brzegu miałczyzna. — *Na stos! na stos!* (**) — zawołał głośno Bartłomiej. Na tę komenderówkę rudel

(*) Wielejka — miasteczko powiatowe nad Wilią, w gubernii Mińskiej.

(**) Na stos — w języku żeglarskim po rzekach znaczy na prawo.

mocniej uderzył i płyty na prawo się wychylały, a on spokojnie nakładał swoją okopconą na krótkim drewnianym cybuczku lulkę; my też swoje nałożyliśmy. Bartłomiej tymczasem dobył z kaitki krzesiwo, hubkę i skałkę.

— Bodaj, Mosanie, ciężko będzie z ogniem; gąbka wilgotnieje, wisząc nad wodą. —

Uderzył starzec krzesiwem po razy kilka, skryśpnęły się gęstem ogniskiem, ale hubka się nie zajęła. — Mówiłem... — i powtarzał cięcia w skałkę, a zawsze napróżno.

— Poczekaj, rzekł Hippolit; poprobujemy naszego sposobu. —

— A... z fuzyi — naturalnie że lepiej. —

— Nie, mój kochany! Mamy inne krzesiwo. — To mówiąc wyjął Hippolit z myśliwskiego pasa małą, węższą od ładunku, mosiężną rureczkę z tłoczkiem wewnątrz, założył odrobinę hubki na kruczek pod tłoczkiem, uderzył nim mocno i nagle w rurkę, i w mgnieniu oka dobył na tłoczku zapaloną hubkę i podawał ją zdziwionemu Bartłomiejowi.

— W imię Ojca i Syna! a to co? czary? Mo-spanie! —

— Nie, ojcie Bartłomieju, nie czary, rzekliśmy śmiejąc się z jego zadziwienia; jest to nowo wymyślony sposób dostawiania ognia bez skałki i stali. —

— A co tam na dnie w rurce? zapytał znowu staruszek. Czy nie djabeł tam siedzi zakłęty, z piekielną iskrą? Mospanie! Jak go Pan przybił po łbie, tak on gąbkę zapalił. —

— Prostsza daleko teoria, rzekłem do Hippolita, niżeli wyciśnienie się cieplika ze zgęszczonego powietrza. Nie, Bartłomieju, nie umiemy zaklinać djabłów, i nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Śmiało zapalaj fajkę od tego ognia, bo nie piekielny; obejrzyj owszem nasze krzesiwo, a nawet włóż go na pamiątkę od nas do swojej kalitki; będziesz miał wygodę i zabawkę w drodze. — Wysłuchał potem staruszek wytłómaczonej mu przez nas i zastosowanej do jego pojęcia teorii naszej tego dowcipnego krzesiwka; wypróbował go po kilkakrotnie z widocznym ukontentowaniem, i przyjął podarunek z wdzięcznością.

— Powiozę to wnukóm na gościniec, rzekł chowając rurkę do kalitki. Świat rozumnieje,

Mospanie! ale cóż z tego, kiedy i holeje? Mospanie!... Ot i dowód na to, że holeje.— Wiedzicie Panowie te spichrze nad brzegiem? To niegdyś przystań. Dawniej tu, jak kiermasz, bywało kupców, Żydów, furmanek, trzepaczy, liników, najemników niezliczona moc; towaru aż nie mieściło się w spichrzach, który wszystek my potem na strugi zabierali; a teraz puste, ani żywego ducha! Pozawalały się niektóre, a teraz i wszystkie zapadną. Wieleż takich miniemy jeszcze! —

— Ale Pac! zawołaliśmy, ojcie Bartłomieju, Pac! —

— Siadajcież Panicze, to i opowiem.—

Tak mówiąc, podał nam niskie samorodne trójnóżki, i sam na podobnym na przodzie płyty usiadłszy, — *U-łaż! u-łaż!* — wykrzyknął. Długi i równy prąd Wilii srebrzył się przed nami; kłęby dymu wszystkim nam trzem z ust buchały, i Bartłomiej opowiadać począł —

— Panicze wiecie zapewna Wielejkę? —

— Jakże nie? odpowiedziałem; o kilka mil od niej mieszkamy. —

— Teraz Wielejka już na miasteczko pocho-

dzi; ale dawniej był to tylko dwór starościński i wioska, a Starostą Wielejskim było wielkie panisko, *Pac.* (*) —

— Tatulu! przerwał głos z tyłu, na żywcu hruba sztuka! —

— Oho! zawsze na tej głębini ze szczupakiem spotkać się można — rzekł zrywając się Bartłomiej. My obróciliśmy się także i postrzegliśmy dorodnego chłopaka, przywołującego Bartłomieja; podbiegliśmy z nim razem.

— Sztuka! prawda hruba sztuka! — rzekł Bartłomiej, pokręcając głową i ukazując nam piórko, które, jak błyskawica w różne strony miotając się po wodzie, szarpało jej powierzchnię, pryskając wtenczas w górę kryształowym grzebieniem.

— To na szczęście Paniczów, Mospanie — rzekł Bartłomiej.

— To na moje szczęście, tatulu, odezwał się chłopak, bo ja puszczał wędę. —

— Głupiś! —

— Aha! —

(*) Wiadomość miejscowa.

— Czy to wasz syn? Bartłomieju! —

— Nie, nie, Mospanie! Mam ja czterech synów, ale żadnego takiego, Bogu dzięki!... To syn mojego sąsiada najmłodszy, Jakóbek. Ma on ich trzech: dwaj starsi rozumni, siedzą w domu i gospodarzą, a trzeci ten.... to podług bajki, Mospanie!... więc go ojciec na wodę puszcza.—

Tak rozmawiając, Bartłomiej nachylony nad wodą, zbierał powoli i ostrożnie długą, cienką ale mocną, z białych końskich włosów skręconą nitkę. Kiedyniekiedy drgnął pod wodą oddalony jeszcze od płytów, a uwieźły na haku szczupak. Woda natenczas w tém miejscu w szersze coraz rozłaczała się kręgi, w środku których była zdolbycz nasza. Czeladź cała zebrała się około Bartłomieja, i ciekawie razem z nami czekał końca nitki. Coraz bliżej i bliżej powtarzały się drgania i kręgi; aż nakoniec o kilka sążni od nas ukazała się nad wodą paszcza rozłtwarta i zakrwawiona ogromnego szczupaka, wewnątrz której targała się jeszcze płotka, z którą razem chciał wy ten żarłok i hak śmiertelny połączyć.

Okrzyk powszechny powitał gościa, a niecierpliwy Jakóbek wskoczył do wody, i płynąc obok,

podchwycił go i na płyt wyrzucił. Padł nam, jak kawał kłody pod nogi szczupak, miotał się i rozbijał po drzewie, a nad nim skakał z radości cały zmokły Jakóbek.

— Brawo ojciec Bartłomieju! brawo! rzekliśmy do uradowanego staruszka; dziękujemy ci za tę rozrywkę.—

— Niema za co, Mospanie; to Bóg dał. Ale suplikuję panów przyjąć tę rybkę od pokornego sługi.—

— Dziękujemy szczerze; jednak cóż z nią zrobimy? wszakże nie płyniemy do domu.—

— A gdziekolwiek zapłyniecie Panoczki, choćby, Mospanie, nie miarkując i nie przymierzając, aż do Pana Prezydenta, mojego dawnego łaskawcy, i tam, zgotowawszy na szaro lub po żydowsku, będzie około czego zabawić się; a dowieziem żywego. Jakóbk! podaj bucz podróżny.—

Jakóbek podał sak z rozpiętej na obręczach siatki; wsadzono weń więźnia, wyjąwszy mu wprzód z paszczęki płotkę z hakiem, i przywiązany sak do płyty puszczono na wodę.

Na wspomnienie Prezydenta i odgadnienie ce-

lu naszej podróży spojrzeliśmy na siebie z Hip-
politem. Zkądżeby się stary domyślił? bo wie-
dzieć nie mógł o projekcie nagle wynikłym.

Gdyśmy więc znowu na naszych stołeczkach
usiedli, — zkąd wnosić możesz, Panie Bartłomie-
ju, zapytałem, że my płyniemy do Prezydenta?—

Staruszek się uśmiechnął — Czy zgadłem? al-
bo co? —

— Dajmy że zgadłeś, ale jakim sposobem?—

— Któryż z Panów, Mospanie, do Panny He-
leny? —

— Czyż znasz i Pannę Helenę?— wykrzyknął
Hippolit, zrywając się ze stołka.

— A... to Pan!!! — Starzec poglądał na Hip-
polita uważnie, jakby go raz pierwszy postrzegł,
a potem rzekł uprzejmie —

— No! daj Boże szczęśliwie... niema co po-
wiedzieć, Mospanie!... —

— Bartłomieju! rzekłem, kładąc fajkę, prze-
stań tych zagadek; powiedz wolój jak odgadłeś
cel naszej podróży, i zkąd znasz dom Państwa
Prezydentów? —

Znowu się stary rozśmiał.

— Zkąd ja znam Prezydentowstwo? Ja, który

znam, Mospanie, od Wielejki aż do Kowna po brzegach Wilii wszystkie dwory, wioski i zaścianki, wszystkich panów i paniąt, chłopów i chłopiąt, jabym nie znał dworu i Państwa, pod których ogrodem zawsze *staubuję* się na połudzień, i którzy mię witają co rok, jak swego domownika, u których daj im Boże wiek długi i panowanie, przeleżałem zaprzeszłego roku sześć tygodni, gdy powracając z Kowna lądem i piechotą na promie pod ich dworem rozchorowałem się na gorączkę. Przenieśli mnie zaraz z wioski do oficyny, i Imość, jak matka, nade mną staranie miała. A Panna Helena! to anioł w ludzkim ciele! to, Mospanie, i wymówić trudno.... Kto ma lat siedmdziesiąt, temu z gorączką niełatwa sprawa; to cud, że jeszcze żyję, to jej niewinne paciorki mnie uzdrowiły.... Wieleż to razy na dzień przybiegała ona do mojej stancyi, a zawsze mnie pocieszyła. — Nie bój się, staruszk, nie umrzesz, mówiła głosem, jakim podobno aniołkowie w niebie gadają, nie bój się; będę pięć piątków pościć i mówić koronkę do Opatrzności Boskiej za twoje zdrowie... — A rosółki, a owsianki, a ziółeczka, kto, kiedy nie ona mnie przy-

nosiła? O nagrodić jej Boże! Błogosław ją Boże!!! Ja jej tego dobrodziejstwa aż do grobowej deski nie zapomnę! Nie! nie zapomnę — mówił wzruszony starzec, ocierając z łez oczy.

— A jakieżże to radości było, kiedy moja baba z dziećmi po mnie przyjechała, kiedy mnie zdrowego jej oddawali!!! Nie, nie, niema takich drugich na świecie, jak ta matka i córka... Błogosław im wszystkim Panie Boże! — powtórzył Bartłomiej, wznosząc ręce ku niebu jak do pacierza złożone.

Gdy starzec to bezładne, ale szczere i z głębi serca wymawiał błogosławieństwo, gdy imię ulubionej Hippolita z najżywszą wdzięcznością powtarzał, a cnotę jej i dobroć z anielską równał, Hippolit stał niewzruszony, oddychał głęboko i ciężko, obie dłonie na sercu złożył, jakby przytłumiając mocne i gwałtowne jego bicia. Jakiś niewymowny wyraz cierpienia czy zapału, smutku czy rokoszy płonął mu w oczach...

— Ale jakżeś zgadł, że my tam płyniemy? — zapytał znowu Bartłomieja.

— Niewiele na to trzeba było rozumu, Mospanie, a przez lat siedmdziesiąt zebrało się trochę

jego w tej łysiej głowie. Mil ośm płynąć mają... pomyślałem sobie, to nie darmo! Ale dokąd i po co? w tem sęk?... a tu Panicze każecie sługóm i konióm iść do Niestaniszek; no, to już trochę wiemy, pomyślałem znowu, ale jeszcze nie wszystko, Mospanie! Każecie, i to najpilniej i po kilka razy, zabierać co najpiękniejsze swoje odzienie. Oho! ot człek i w domu! Panicze płyną w konkury... A dokąd naprzykład? Najbliższy ztamtąd dom łaskawców moich Prezydentów, a tam Panna Helena, więc i po zagadce; bo gdzież dalej drugiej szukać? i gdzie taką drugą znaleźć?...—
— Prawda, ojcze Bartłomieju, przerwałem, prawda! zgadłeś; trudnoby przed tobą coś utaić, gdyś taki mądry i przenikliwy.—

— A na co i tać, kiedy w pocziwych a bogobojnych myślach — *śmierć a żona, od Boga przeznaczona?*— Do śmierci jeszcze Panóm здаje się daleko... a więc w imię Boskie, Mospanie!...— Tu patrząc w oczy Hippolitowi, kiwnął głową stary i zamilkł.

Hippolit rzucił mu się na szyję, uściskał go serdecznie, i znowu wesołość była z nami.

— Otoż kończąc Panóm moim o Pacu, rzekł

Bartłomiej gdysmy usiedli na swoich stołkach i przygaszone rozniecili fajki, był on łysy, tak, jak ja teraz.—

— Czy go znałeś?—

— Gdzież mnie znać było tak wielkiego Pana? Ale pamiętam, że jego łysą głowę, przez okno na Wilię wyglądającą, widywałem za młodu! bo dwór Pana Paca stoi jeszcze i teraz w Wielejce nad samą Wilią (*), a naprzeciw tego dworu na środku rzeki jest wielki kamień; siedzi on sobie, Mospanie, jak drugi Starosta po szyję w wodzie, a tylko łeb ogromny, łysy i twardy, pianą wodną jak szlafmycą pokryty, trzyma na wierzchu, jakby się nim do rozbijania statków gotował.

Póki na wiosnę woda wysoka i rozlana, to ani kamienia nad wodą, ani Paca w oknie nie było, a strugi, krobki i płyty, śmiało mijały Wielejkę; ale jak słońce przygrzało, Pan Pac otwierał zaraz okno, i cały dzień, nie mając bodaj czego lepszego robić, palił fajkę oparłszy się na oknie, popijał winkiem, Mospanie, i po-

(*) Miejsćowe.

glądał na rzekę, na prom, i na ciemne za rzeką Mołodeczzańskie lasy; a wtenczas i kamień łeb z wody wysuwał. Więc podpływając pod Wielejkę, zdaleka obaczyć można było i łeb kamienia, i łeb Paca Starosty; a to był zły znak, Mospanie, bo woda już była niska, a choćby jeszcze i udało strugom ominąć tego zawalidrogę, to już rappy na Wilii i na Niemnie, które w czasie wiosennej powodzi głęboko pod wodą siedzą, teraz, kiedy rzeka w korycie, sterczą na wierzchu, i strugom przebyć ich niepodobna. Nawet i płyt musi jak wjun się wywijać, aby potem poodzieranych brusów na czółenku nie łapać. I tak rok w rok bywało: kogo Pac w Wielejce nie powitał, ten szczęśliwie do Królewca dopłynął, a kto spóźnił się i jego zdaleka dojrzał, ten musiał len i pieńkę z wielką biedą ze strugów na krobki (*) przeładowywać, a ze zbożem drugiej wiosny poczekać. A tak czy kto wtenczas Starostę, czy kamień obaczył, wszystko to jedno; zawsze krzychał — *Pac łysinę pokazał!* — i kłął jego bezbożnie. Nakoniec kiedy już Pac łysinę

(*) Krobką zowie się płyt naładowany pieńką.

swoję i do ziemi schował, to kamień został Pacem, a przysłowie dla tego nie zmieniło się; i póki po Wilii ludzie pływać będą, przysłowie razem z kamieniem na wieki zostanie.

IX.

DZIEŃ się skłaniał ku schyłkowi, i ten sam promień zachodzącego słońca, który nam w dniu imienin Pana Prezydenta nad Wilią przyświecał, spadł i teraz na rzekę, łamiąc się rozmaicie podług jej biegu: raz nam émił oczy jaskrawym blaskiem, odbitym na wodzie jak na palącym zwierciadle; i płynęliśmy natenczas ogarnieni światłością, która nas zewsząd, i z pod wody nawet oblewała; to znowu, gdy rzeka inny brała kierunek, a zapadające słońce borem się zasłoniło, wypływaliśmy na ciemne głębiny i przesuwalismy się przez szerokie cienie, zalegające nurt rzeki i jej brzegi, a ustępujące powoli i nieznacznie blademu wieczornemu światłu... Zewsząd dochodziły nas głosy i echa owych krzykliwych

a smutnych pieśni włościanek naszych, któremi się one wracając z pola do domów, pocieszają; załatywała woń miła i ożywiająca świeżych pokosów, kwitnących jeszcze zrana, podciętych w południe, więdnących wieczorem.... Kilka stad krówek przybiegało z paszy do rzeki, i brodząc po miątkich jej brzegach, gasiło pragnienie i kąpało się rzeźwo. Obrazy te wiejskie, sceny te zwyczajne i codzienne, chociaż pospolite i proste, bawiły nas jednak, bo powlekały się urokiem wesołości i rokoszy, w jakiej dzień cały upływał.

— Cóż będzie z noclegiem? Panoczki! odezwał się Bartłomiej; nasz zwyczajnie pod gołym niebem, i już niedaleko miejsce, gdzie ja zwykle nocleguję; ale ten raz przyjdzie pono dopłynąć milę dalej, do Żodzisek. Tam czy w klasztorze, który już teraz dworem nazywają, czy w plebanii Panicze przenocujecie.—

— Wcale nie zgadzamy się na to, ojcze Bartłomieju! owszem pod gołym niebem razem z wami. Cóż to? masz nas za piecuchów, którym konieczne łóżek i piernatów potrzeba? Nieraz zdarzało się niechcąc takie przepędzać noclegi, a czemużbyśmy teraz z ochoty nie przenocowali z tobą?—

— A miłyż Boże! zawołał uradowany Bartłomiej, to żyć i umierać z takimi Panami. Człęk, dalibóg, młodnieje Mospanie! Dobrze, wyśmienicie! Będziemy zatem nocować razem. Rybki wędzonej na wieczerzę wystarczy, i jeszcze cokolwiek innego dla Paniczów się najdzie... głodni nie będziemy, a to grunt, Mospanie! Przytém miejsce na nocleg upodobacie zapewna Panicze, bo ja, choć prostak, lubię jednak wybierać takie stanowiska, gdzie rzuciwszy okiem około siebie, weselej jakoś człowiekowi. —

Tymczasem gwar nadbrzeżny ucichał powoli; echa i głosy umilkły i wszystko umilkło... szum tylko wody uderzanej naszym rudlem rozlegał się za nami i tłumił się w powszechnej ciszy, która z zapadającym zmrokiem objęła ziemię.

Brzegi Wilii płaskie dotąd i równe, zbliżając się ku Żodziszkom (*), coraz się podnoszą i piętrzą; podrywane wiosenną powodzią, poformowały się w rozpadliny, szczyrby i urwiska, które

(*) Żodziszki, miasteczko niegdyś Jezuickie, nad Wilią, w powiecie Zawilejskim położone.

nakształt skał wydatnych długą i wysoką ścianą sterczą z obu stron. Ścianę tę rozdzielają w niektórych miejscach głębokie i daleko w brzegi zachodzące parowy; po dnie ich biegną szumne i bystre potoki z nadbrzeżnych krynic wynikłe, i spienione swe nurty do Wilii wlewają. Wąwozy te na wzniosłych swych i nierównych bokach, nawisłemi jodłami, karłowatą brzozą i krzakami gęstej leszczyny porośnięte, świeżą zawsze i różnie cieniowaną pokryte zielonością, w rozmaitych swych zakrętach, przepaściach, wzgórzach i kątach, zachowują tysiące miejsc powabnych, tysiące niespodziewanych, a tak prawdziwie pięknych widoków, że od nich oka i serca oderwać niepodobna, że ich obcymbyśmy zazdrościli krajom... czemuż we własnym nie znamy?

— *Na stos! Na stos! Staubuj!* wykrzyknął Bartłomiej. *Staubuj!* — powtórzył, i wkrótce przybiliśmy do prawego brzegu Wilii, pod jeden z takich parowów.

— No, Panoczki, proszę za mną, rzekł on wychodząc na brzeg. Przywiązuje płyty! — zawołał na swoich; a nas wprowadził przez małą nadbrzeżną płaszczyznę do parowu, i po stro-

mych jego bokach krętą i wąziutką; ale dobrze ubitą ścieżką piał się na górę.

— Dokąd nas prowadzisz? ojcze Bartłomieju! — zapytaliśmy gramoląc się za nim.

— Na nocleg i na wieczerzę, odpowiedział; tylko ostrożnie iść trzeba. Ta ścieżka jeszcze pono przez Jezuitów wydeptana; bo to miejsce niegdyś do Żodziszek, a Żodziszki do Jezuitów należały.... Tu ślisko, trzymajcie się Panicze za leszczynę; bo zjedziecie na dół po piasku.... Nie daję jej zarastać dziatwa z okolicznych wiosek, czepiając się za orzechami lub zbierając poziomki, których tu mnóstwo w swojej porze wysypuje się; ja też co rok ją odnawiam.... Tu po tej kłodzie przejść trzeba, bo to krynica pod trawą; byle w bok krokiem, to po szyję... A! otoż jesteśmy na miejscu.—

Na te słowa Bartłomieja obejrzelśmy się na wszystkie strony, i poglądając to około siebie, to na siebie, to na naszego przewodnika, staliśmy w zachwyceniu. On z uśmiechem zadowolenia popatrzwszy na nas przez chwilę, zbierał potem suche gałęzie, i przyszłe z nich układał ognisko.

Byliśmy natenczas o sążni kilkanaście wyżej nad Wilią, i o tyleż może od jej brzegów odlegli, na małej równinie na wierzchołku góry, na którąśmy się wdrapali, a u podnoża wyższej, nad nami się podnoszącej (*). Góra ta wyższa, wyraźnie ręką ludzką szeroko aż do dna wydrążona, z wysokich boków swoich zlewa kilka czystych strumieni. Z nich utworzyła się u spodu okrągła i obszerna sadzawka, która, jak zwierciadło optyczne na dnie kalejdoskopu, zbiera w jeden obraz rozpieczętę po bokach przedmioty. Teraz w głębi jej, na tle błękitnem, jaśniała twarz xiężycy, a z pomiędzy dokładnie odbitych i zrywanych nadbrzeżnych drzew i krzewin, błyszczały gwiazdy, jak topazy zdobiące malowidło jakiegoś świętego oblicza.

Woda z sadzawki roztwartym przekopem toczy się obfitą strugą przez równinę, na której staliśmy; przebiega ją, i szumną kaskadą spadając na dół, rozбивa się i rozpryska w milionowe krople o stare mchem okryte balki i pale, jakby

(*) Miejsce to piękne znajduje się nad Wilią w powiecie Zawilejskim, o pół mili od Żodziszek.

na umyślną tam zawadę rzucone i white; a na dole, znowu w rzeczkę zebrana wbiega do Wilii, która cały ten uroczy krajobraz szerokim na prawo i na lewo obwodzi szlakiem, lecz go nie ogranicza wcale; bo wzrok rzucony za jej biegiem długo jeszcze i daleko łamie się po parowach, zawisa na drzewach, przekrada się drożynami wijącemi się po brzegach, uderza gdzieś niegdzie o rzekę, aż nakoniec gmatwa i tonie w odległej i zamglonej mięszaninie.

Noc jasna, miesięczna, nie kryła tych wszystkich piękności, rozwiniętych przed nami; błada je tylko oblewając światłością, łagodziła ostre kształty załomów, i łagodnym także zadowoleniem napawała zmysły.

— Zkąd te tu balki, pale i rozkopy? kochany Bartłomieju! —

— To, Mospanie, Jezuickie jeszcze zabytki. Stał tu niegdyś młyn, jak gniazdo jaskółcze do tej góry przyczepiony, a woda spadająca z sadzawki umyślnie rozkopanej, obracała w nim koła. Widziałem za młodu na moje oczy i młyn i tego mądrego Jezuitę, który go tak sztucznie wymyślił i zbudował; ho to, Mospanie, wszyscy

Jezuici byli podobno bardzo rozumni, i nie wiem za co na nich taka przyszła plaga, że ich zewsząd wypędzili. . . . Widać że nadto na rozum brali... ale nie nam było wiedzieć i rozmyślać o tém; dość że jak ich nie stało, opustoszały i Żodziszki, a młyn, powiadają, Mospanie, że tego samego dnia, którego Jezuici z Żodziszek wychodzili, spadł na dół, jakbyś go ręką zepchnął (*). Woda potem i ludzie rozebrali drzewo, a czego wyrwać nie mogli, zostało się na pamiątkę.—

Wkrótce stos przez Bartłomieja ułożony buchnął płomieniem, a drugi takż zajaśniał na dole nad Wilią, przez czeladź pilnującą płytów zapalony, i oba szeroką i jasną na rzece odbiły się łuną. Bartłomiej huknął na Jakóbka, a ten przyniósł nam bez zwłoki potężny jaszcz z zapasami podróznymi, i nadto kilka jaziów, które podczas naszej rozmowy z Bartłomiejem, nie oznajmując że się na wędę brały, ułowił.

— A to zkąd wzięłeś? Jakóbku!—

— Ztamtąd zkąd i szczupaka — odpowiedział śmiejąc się głupowato.

(*) Miejscowe podanie.

Nie zapominał Bartłomiej o wygodach, na długie a często powtarzane żeglugi potrzebnych: znalazł się w jaszczu czysto wybielony kociołek, znalazły się również czyste łyżki cynowe królewskie, znalazły się kuchenne niejaki przyprawy: sól, pieprz, cebula; słowem wszystko, co do ugotowania ryby, która najczęstszą na wodzie była mu strawą, nieodbicie potrzebne.

Z dokładną więc znajomością sztuki kucharskiej przystąpił on do gotowania jaziów, i gdy wrzały na płomieniu, my usiedliśmy około ogniska, zapaliliśmy lulki, i dalszą ze staruszką przedłużaliśmy rozmowę.

— Daruj co powiem, kochany Bartłomieju, rzekłem, ale dziwi nas mocno twój rozsądek; zdajesz się nam być daleko nad twój stan rozumniejszy.—

— Chwała Bogu, Mospanie, że mój stan nie rozumniejszy odemnie; wtenczas byłoby gorzej... Ale może to i prawda po trochu, w terażniejszych osobiwie czasach; bo dawniej za mojej młodości niejeden ze sterników był takim jak ja, a może i co lepszego odemnie; niejeden na strugę, który do Królewca prowadził, przy kupiec-

kim czy pańskim towarze miewał i własny ładunek, a z czasem i przemysłem, nieraz pięknego uzbierał grosza; ocierając się zaś nieustannie między ludźmi, i sam wychodził na człowieka: poznawał, Mospanie, świat szeroki, poznawał wszystkie kupieckie obróty, a nauczysz się jeszcze i pięknej polityki, kiedy był wolnym człowiekiem, tak jak ja z łaski Boga jestem, zostawał często i szafarzem spławnym u jakiego wielkiego pana; a to się znaczyło, że całą handlową substancję pańską miewał na swoim ręku. Tak było i z nieboszczykiem moim ojcem, Panie świeć nad jego duszą.... Zagawędziłem się z panami, a tu ogień gaśnie....

Cały sekret, Mospanie, gotowania ryby po żydowsku na tēm leży, aby na żywym płomieniu ją warzyć i często szumować; a że ja i ogień spuściłem i szumować zapomniałem, więc sami panicze winni będziecie, że jazie nie będą wyśmienite.—

—Mniejsza o to, ojcze Bartłomieju! zjemy jakie będą; ale kończ swoje historję.—

—Ze mną, Mospanie, mówił więc dalej staruszek, pilnie szumując rybę, ze mną.... to ina-

czej być miało. Ja nie mogę powiedzieć — *w szkole nie bywałem, różgi nie widziałem*; — bo to ni-
by liznałem trochę abecadła. Mój ojciec, bę-
dąc już szafarzem na strugach Księcia Ogińskiego
z Mołodeczna, i poczuwając się do grosza,
chciał mnie starszego swego syna na coś lepszego
kierować, to jest, na organistę. Zawiózł
mnie zatem, gdym już był dobrym wyrostkiem,
do Krzywicz, do klasztoru Księży Trynitarzów,
i oddał tamtejszemu księdzu Prezydentowi, zna-
jomemu sobie oddawna, na opiekę i posługę
w celi, księdzu Zakrystyanowi na opiekę i po-
sługę w kościele, o organiście na posługę i nau-
kę na chórach. Ciężka to więc byłaby służba
trzem panóm, prócz innych księży, których także
słuchać należało; ale że nas takich malców było
z dziesiątek, a czasami i więcej w klasztorze,
bo to było *per modum* szkółki, więc było czasu
dosyć nietylko na służbę, ale i na naukę. Wy-
uczyłem się więc tam dobrze czytać na złotym
ołtarzyku, na którym i teraz Pana BOGA chwa-
lę; służyć do mszy po łacinie, czego i pod sta-
rość przy zręczności nie opuszczam, i już nie-
źle grezmoliłem — „*Najświętsza Panno! formuj*

„*moję rękę, Bym mógł opisać syna twego mę-
kę,*” — Szło zatem wszystko dobrze i po myśli
mego ojca; pojmowałem i uczyłem się ochotczo,
usługiwałem w klasztorze pilnie i rzeźwo, a
w kościele zastępowałem czasami i księdza Za-
krystyana, zwłaszcza na nieszporach, gdy w cza-
sie jakiego festu, po długim nabożeństwie i su-
tej po obiedzie konsolacyi, zasnął nieboraczek. —

Mój ojciec corok, wróciwszy z Królewca, od-
wiedzał nas, a nigdy z próżnemi rękami. Księ-
dzu Prezydentowi przywoził na gościniec cały
obwarzanek holenderski, księdzu Zakrystyanowi
i panu Tomaszowi organiście, po tabakierce pięk-
nej, albo po kilka sinych chustek, albo po wy-
śmienitym nożu niemieckim, nakoniec pani To-
maszowej i jej córeczkom pięknych wstążek, a
czasem i kartuniku na sukienki; a tak miałem
łaskę u wszystkich, i było mi jak w raju.

Ale nadszedł czas biedy, kiedy mnie pan To-
masz do klawiszów zapędzać i głosu mego pro-
bować zaczął; ot na tém wszystko pękło. Ża-
dną miarą nie lażyły mi do głowy te kruczki i
petelki, które nótami nazywają; a co jeszcze go-
rzej, że palce moje, jak grable, nie mogły się

wyłamać do grania; i nakoniec po długiej męce, gdy na pierwszej próbie przyszło odpowiedzieć— *et cum spiritu tuo*, — nie mogłem złapać ani na klawiszach, ani w mojem gardle zgodnego z celebrującym tonu; zabeczałem Bóg wie po jakimu, że aż wszyscy z kościoła oczy na chór obrócili. Na nieszczęście moje tym celebrującym był nowy Prezydent; bo krótko przedtem rozkazano księdzu Błażejowi, dawnemu Prezydentowi, a memu szczególniejszemu dobrodziejowi i opiekunowi, przenieść się na Prezydenta do klasztoru Wileńskiego na Antokol, a księdzu Zakrystyanowi gdzieś na Białoruś. A tak nowy Prezydent, zdziwiony mojem — *et cum spiritu tuo*, — a do tego skrzętny jakiś i niecierpliwy księżyna, tegoż wieczoru zaczął nas wszystkich brać na ścisłą konfessatę. Mnie szczególnie, jako przeznaczonemu na organistę, rozkazał przed sobą grać na organie i śpiewać, a posłuchawszy krótko, pokiwał głową i rzekł — Na niedźwiedzie tobie w Smorgoniach trąbić, nie chwałę Boską grać tu i śpiewać. A to chyba na *turbatora chorum* trzymać go tutaj, ale w naszej regule zakonnej niema *turbatorów*; my zgodnym głosem

chwalimy Pana BOGA. A zatém panie dłabidudo, rzekł obracając się do organisty, staraj się sobie waszeć innego śpiewaka, a ty, słowiczku z niedźwiedzim basem, *fora z klasztora!* bo darmoje-dów nie potrzebuję.—

— Po takiem szpetnem pożegnaniu poszliśmy z panem organistą, nosy na kwintę spuściwszy, do pani Tomaszowej na radę. Rozchodziła się Imość szalenie, gdyśmy jęj powiedzieli co się stało. Na przezwisko dłabidudy odpowiedziała plechem, i wraz wyprawiała nas obudwóch, albo sama się nawet wybierała ze skargą do księdza Prowincyała; mężowi śmiertelnie zabraniała, aby i nogą na chórze nie powstał; zaklinała się, że i do rąk nie przyjmie dla wyprania bielizny klasztornej, jeżeli mnie wypędzą. Oj! bo pani Tomaszowej nie tak mnie, jak królewieckich wstążek i kartuników żał było.

Pan Tomasz wysłuchał cierpliwie pokręcając głową furyi Imościnej; nareście dał taką rezolucyę — *Tace ladaco!* to jest, *milcz moje serce!*— Takim zawsze wyrazem kończył on dysputy z swoją Imością, podobno dla kadencyi mając w nich upodobanie.— Żadnej dobrej rady nie dawał, a na-

krzyczałaś aż głowa pęka. Oto tak będzie: Bartłomieju! wracaj do domu; jesteś chłopak zdrowy, poduczony, pobożny, więc cię Bóg pobłogosławił! Sam cię jutro odwiozę i opowiem wszystko panu Jakóbowi, ojcu twemu; boby mógł rozumieć, że cię ztąd dla jakiego złego uczynku wypędzono, albo że sam sobie dałeś pozwolenie na drogę; a twoja cała wina, że beczysz jak koza. Organistą nie będziesz; no! szkoda.... ale cóż robić? — rzekł zażywając tabakę i napuszywszy się jak indyk. — Ale przecież chleba ci nie zabraknie, bo i pan tatulo twój chwala Bogu porósł w pierze; więc dziś mi jeszcze raz ostatni na nieszpórach pokalikuj, a jutro po nabożeństwie, (była to bowiem sobota przed kwietną), ruszym w drogę.... Waspani zaś trzymaj język za zębami, bo jak ksiądz Prezydent dowie się o twoich furyach, gotów i nas tak jak jego wypędzić; a chociaż przy talencie nie umarłbym przecię z głodu, jednakże szukać kąta nowego, kiedy jest gotowy i ciepły, nie chciałoby się na starość. A zatém.... *tace ladaco!* to jest, *milcz moje serce!* i kwitade. —

Po tej perorze poszliśmy spokojnie na nieszpó-

ry, pokalkowałem ostatni raz panu Tomaszowi, a nazajutrz, odbywszy spowiedź wielkonocną i pomodliwszy się z płaczem przed Panem JEZUSEM Krzywickim, zupełnie takim samym, jak Antokolski w Wilnie, odjechałem z moim opiekunem do ojca, którego znaleźliśmy ładującego strugi i wybierającego się z pierwszą wiosenną wodą do Królewca.

Gdyby nie obecność pana organisty, byłoby źle ze mną; ale on wszystko wytłómaczył i zaręczył, że jestem niewinny; kazał mi przed ojcem czytać Ewangeliczkę i Złoty Ołtarzyk dla dowodu, że darmo kaszy nie jadł. Koniec końcem stanęło na tem, że mnie ojciec postanowił zabrać z sobą na strug, a płynąc tuż około klasztoru XX. Trynitarzów Antokolskich, oddać mnie znowu księdzu Błażejowi, byłemu Prezydentowi Krzywickiemu, na dalszą naukę, choćby już nie na organistę, to przynajmniej na mądrego człowieka.

W kilka dni potem wyruszyły strugi, a na najpierwszym ja z moim ojcem, który był razem sternikiem i szafarzem spławnym Xięcia Kuchmistrza Ogińskiego, bardzo wielkiego pana, który

pięć strugów corok własnem zbożem i pienką nalożowanych do Królewca wyprawiał.—

— Takie nowe, wesole, jak rekreacya, życie, przypadło mi od razu do serca; ale też i tatulo mój kontent był ze mnie, bom mu służył ochotniej i pilniej jeszcze, jak księżom w klasztorze, a w wielu rzeczach mógł się na mnie i spuścić. Sternictwo pojmowałem należycie; a co się najbardziej ojcu podobało, to że z nim regularnie każdego ranku litanie i godzinki odmawiał, a w każdą niedzielę, zebrawszy całą żeglarską drużynę, głośno i pięknie Ewangelię świętą odczytywałem. To też gdy do Wilna podpływalismy, nie chciało mnie się bardzo porzucić ojca i powracać znowu do książki, ale powiedzieć mu tego nie śmiałem, gdy on sam, podszedłszy do mnie, — Bartku! rzekł, popłyniesz waszeć ten raz ze mną aż do Królewca, i kiedy aż do końca tak jak teraz sprawować się będziesz, kupię ci tam piękną kapotę, a wróciwszy pomyślimy, gdzie się obrócić. — Pocałowałem ojca w rękę, on mnie przeżegnał, a ja podskoczyłem z radości.

Po tej pierwszej szczęśliwie odbytej żegludze,

ojciec mój nie mógł już obejść się beze mnie; byłem mu wiernym pomocnikiem we wszystkiem, a w niektórych okolicznościach i zastępowałem go nawet. Miałem lat ośmnaście, nie czas było wracać się do książki; a po ochocie i zdolności ojciec i ja sam poznaliśmy, że mnie Bóg nie na organistę, ale na żeglarza stworzył.

Jak potem każdą wiosnę i lato na wodzie, a prawie każdą zimę to po dworach, to po klasztorach, poduczając się to tego, to owego, przepędzałem, i nie z jednego pieca jadałem chleb. Jak potem wszystkie zapasy i dostatki ojcowskie w rewolucyi przepadły; jak doczekałem się, że ostatni strug zgnił na brzegu Wilii, a ja z potrzeby i z nawyknienia nie mogąc porzucić mojej kochanej rzeki, przeszedłem na krótki i na płyty; jak ożeniłem się z córką tegoż samego organisty Krzywickiego, to wszystko inna materya; i nie czas ją opowiadać panóm, kiedy ryba gotowa — rzekł zdejmując warzący się kociołek z ognia... — Otoż to tak nauczyłem się tego nibyto rozumu, który, jak Panicze mówicie, wyższym jest nad mój stan. Proszę, rzekł znowu podając miski i łyżki.... Rybę zaś gotować po żydow-

sku nauczyłem się od Abrama, starego żyda, kupca z Kurzeńca, z którym często płynęliśmy na jednym statku, i z którym na tém samém miejscu gotowaliśmy nieraz szczupaki. A co, Mospanie, jak smakuje? —

— Wyśmienicie, kochany Bartłomieju! —

— To i na zdrowie! —

I w rzeczy samej wieczerza ta, w której rybę suszoną zastąpiła świeża dobrze ugotowana, w której chleb razowy, ale smaczny, i sér z kminem, z podróznego wydobyty jaszczka, były deserem, a woda z najczystszej krynicy napojem, posiliła nas i zabawiła razem.... O jakże rzadko to oboje na wykwintnych jednocy się balach!

Nie myśliliśmy jeszcze o śnie, do którego wyrozumiały nadspodziewanie Jakóbek przygotował rohożowe pośłanie; ale staruszek nasz, pykając lulkę, drzemać powoli zaczynał.... Nagle jakby się ocknął, przetrął sobie oczy i powstał — A pacierze? — zawołał, — a modlitwa wieczorna? Tożbym ja stary pierwszy raz w życiu spać się położył bez pacierzy? O? co nie, to nie! Pani-czóm wolno jak chcąc.... choć to, Mospanie, *z Bogiem, z tym Bóg!*... ale ja swojej modlitew-

ki nie opuszczę. Od ojca mego, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem; śpiewałem ją potem za processą w Krzywiczach, potem znowu z ojcem każdego wieczora na strugach ją odmawiałem, więc i do grobowej deski odmawiać będę.—

Przeżegnał się starzec, złożył ręce, podniósł je w górę i mówić zaczął —

— „Kto się w opiekę poda Panu swemu,

„A całym sercem szczerze ufa Jemu,

(Przerwałem złożywszy także ręce)

„Śmieie rzec może — mam obrońcą Boga;

„Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

— Jak to? rzekł zdziwiony Bartłomiej, i pan ją umiesz?—

— Od matki mojej, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem; śpiewałem ją potem za processą w Borunach, potem znowu z matką odmawiałem ją codziennie wieczorem w domu, więc i do grobowej deski odmawiać będę.

„ Ciebie on z łowczych obierzy (*) wyzuje

„ I w zaraźliwym powietrzu ratuje;

(*) Obierzy — sieci.

„ W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie ;
 „ Pod jego pióry ulężesz bezpiecznie !

Starzec powtarzał za mną, lecz coraz bardziej i coraz stałej wzrok swój we mnie zafalał. . . .

Przypomnienie dni moich dziecinnych, matki i jej gorącej wiary, z którą mi w pamięć i w serce modlitwę tę przelewała; niebo błyszczące miriadami światła; cichość powszechna, której jednotonny i nieprzerwany szum tylko Wilii uroczystym był wtórem!!! wszystko to z modlitwą razem uniosło i duszę moję do Boga, dało dobitność i życie każdemu słowu, głosowi, potęgę i siłę, której się sam oprzeć nie mogłem, i która osłupiła starca, słyszącego raz pierwszy w życiu swoją skromną modlitewkę wymawianą z zapalem, który aż jego dosięgnął, i który objawił mnie samemu nieznaną dotąd jej szczytność! Mówiłem ją bowiem jak przenikniony do głębi serca chrześcijanin, jak pełen miłości, nadziei i wiary świętej wyznawca! mamże dodać, jak religijnie natchniony poeta?... jak ją czuł i śpiewał Król Prorok i wieszcz razem, który ją na

cześć Boga ułożył? jak ja czuł nieśmiertelny tłumacz jego? i jak ja.... bodajby każdy mój czytelnik czuł i powtarzał!... gdym rzekł —

„ Słuchaj co mówi Pan — Kto mnie miłuje ,

„ A przeciwko mnie szczerze postępuje ,

„ Ja go też także w jego każdą trwogę

„ Nie zapamiętam!!! i owszem wspomogę;

„ Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony ,

„ Ja z nim w przygodzie!!!!...” —

Głos mój na tej szczytnej półwierszówce sam się zawiesił.... Zamilkłem. Starzec upadł na kolana, łzy mu ciekły po obliczu... oczy jego, na mnie zwrócone, wyzywały mnie niecierpliwie do dalszej modlitwy... Jam ust otworzyć nie mógł... Serce mi drżało!!!! Zdawało się, że echo święte z niebios mi odpowiada!...

Nie! nigdy w nikim sławne w literaturze świeckiej i górnemi uznane wyrażenia, nie sprawiły i nie sprawią takiego uczucia, nie uniosą tak wysoko duszy!... Tam człęk nad swą nieudolność wleciał na chwilę, i wnet w nią odpadł; tu Bóg!.. Bóg w całej swjej wszechmocności się objawia i bezpieczeństwo sprawiedliwego jedném JA! zaręcza!... Gdym modlitwę dokończył, czoło starca

było na ziemi; Hippolit stał zadumany o drzewo oparty... nakoniec postąpił on ku mnie, i ściskając moją rękę — Przyjacielu! rzekł, w tym jednym momencie ożywiłeś w duszy mojej dawno zaniedbane, złym przykładem czy powszechnem dziś zepsuciem stłumione uczucia; głos matki mojej, równie jak twoja bogobojnej, i zapewne równie jak twoja w niebiosach, odezwał się w mém sercu, i powtarzał za tobą pamiętną mi i ulubioną jej modlitwę. Głos ten odtąd nie umilknie ani w méj duszy, ani w mych ustach!

— „Głos twój przez JEGO nie będzie wzgardzony!” — przerwałem z nieostygłym jeszcze ogniem.

— Dzięki ci, mój drogi! rzekł wzruszony Hippolit, rzucając się w moje objęcia; dzięci ci serdeczne! O jakże mi słodko po twojej modlitwie!...—

Hippolit młodą głową (szczęście że nie sercem) był wychowancem wyobrażeń XVIII wieku, tego to bezbożnego niedowiarka, starca skonałego w zgryzotach i obłąkaniu, którego następcą XIX, jak Archanioł czarta, zwyciężył, obalił, i nogą

w piekła potrafił; który oniemiał ziemię dla Boga!!! *Bóg też z nim nie był w przygodzie!*

Nakoniec wszyscy trzej zalegliśmy rohoże, a wolne i spokojne zadumanie wszystkim trzem sklepiło powieki.



X.

NAZAJUTRZ Bartłomiej, wstawszy raniiej i przygotowawszy płyty do odbicia, powrócił na górę i obudził nas słowami — *Niech będzie pochwalony JEZUS CHRYSZTUS.* —

— *Na wieki wieków* — odpowiedzieliśmy przecierając oczy.

— Komu pora, temu i czas, Mospanie! Ruszajmy. Chcę panów na śniadanie do Żodzisek dostawić; tam się znajdzie piwo i śmietana; a tymczasem kubkiem czystej wody musicie paniczne kontentować się. Powiadają że to zdrowo. —

Rzeżwo powstailiśmy z ziemi, i spełniwszy radę Bartłomieja, wnet byliśmy na płytach. — Odbijaj! *Ulaż* — wykrzyknął starzec.

Gęsta mgła ranna, rozwlekła nad ziemią i nad rzeką, przejmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wpadały w nią z góry i tonęły, lecz przebić jej i rozproszyć nie mogły. A tak my jak w obłoku utajeni posuwaliśmy się po wodzie spokojnie i cicho, szepcząc każdy poranną modlitwę, i nie widząc ani rzeki, która nas niosła, ani jej brzegów. Kiedyniekiedy tylko rybotów szerokiém, białém i błyszczącym skrzydłem rozciął horyzontalnie jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece, i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął.

Powoli jednak ómy te wilgotne, mocniejszém słońcem dogrzane i lekkim wietrzykiem falowane, rozrzedzać się i niknąć zaczynały. Mogliśmy już postrzegać i rozróżniać brzegi, gdy Jakóbek podbiegł do mnie, i pociągnawszy za połę, — *awo!* — rzekł i pokazując palcem na zarosłą trzciną i ajerem zatokę, z której małe stadko kaczek wypływało na czyścień. Dwoje starych płynęło na przodzie, młode zaś i bojaźliwe potomstwo wychylało się z sitowia, i przelekuione płytami, nazad w gąszcz się chowało. Stare, nigdy dotąd wystrzałem z płytów nie płoszone, śmiało

za sobą wyzywały dziatwę.... Zmierzyliśmy oba z Hippolitem, i obu przyszło na myśl zapytanie, jakim sposobem dostaniemy ubitą zwierzynę? Nie odpowiadając ustnie, dał na to odpowiedź postacią swoją Jakóbek. Po téj krotofilnej figurze, stojącej za nami na jednej nodze, w krótkiej kurtce i pochylonej na wodę, a niecierpliwie oczekującej wystrzału, zgadliśmy, że wyżła potrzebować nie będziemy.

Strzeliliśmy oba, i buchnął do wody Jakóbek; po chwili zaszeleścił w trzcinie, a po drugiej był już na płycie i pięć kaczek rzucił przed nami, śmiejąc się i skacząc około nich, jak wczoraj około szczupaka.

— No, mamy rybę i zwierzynę — odezwał się Bartłomiej.

— Ryby, tatulu, niema — odpowiedział Jakóbek.

— A szczupak? —

— Ehe, szczupak! Szczupak dawno już gdzieś tam hula po rzece, a w buczu tylko dziurę zostawił. —

— Ach! głupis Jakóbku! głupis! Czemużeś nie pilnował? —

— Aha! głupiś; nie ja głupiś, ale bucz bo stary.—

— Patrzcie Panowie, rzekł śmiejąc się staruszek; my go mamy za głupca, a on przytém frant. I w bajce tak trzeci brat, miany przez dwóch starszych za głupca, jest z głupia-frant, i dla tego zawsze lepiej od obudwóch wychodzi.—

Tymczasem mgła się w górę unosiła i wzbi-
jała się w powietrze; ranek letni z cało piękno-
ścią, z całą świeżością i wdziękiem zajaśniał;
z wdziękiem tylekroć opisywanym, tylekroć ma-
lowanym, a zawsze w istocie miłszym nad wszyst-
kie opisy i malowidła. Któż bowiem wydać po-
trafi tę wesołość i świeżość orzeźwionej spoczyn-
kiem natury? Kto wyda to mnóstwo i bogactwo
jój powabów, blasku i cieniów, farb i woni, ła-
godnego szumu drzew, otrząsających rosę z gę-
stych gałęzi, i głosów płasząt w nich ukrytych,
brzęku pszczołek, pluskania rybek, mgnień mo-
tyli?... Któż to wszystko razem i w jednym wy-
da obrazie, tak, jak wszystko razem w jedno zla-
ném harmonijném uczuciem, chórem czy zdrojem,
napływa do serca, ożywia krew naszą, krąży
z nią, i też samę wesołość i świeżość przenosząc

do głębi naszego jestestwa, szczęściem, rokoszą, i uniesieniem nas poi?... —

Radośnie więc powitaliśmy odkrywające się słońce, i z dobrą myślą usiadłszy na trójnózkach obok Bartłomieja, i zapaliwszy fajki, płynęliśmy weseli, do nowej z nim zabierając się gawędki.

— Przybliżamy się, rzekł Bartłomiej, do dworku; a był to niegdyś cały dwór Pana Koniuszycy, mojego starego przyjaciela, kuma i łaskawcy. —

— Pana Tadeusza! — wykrzyknąłem; gdyż lubo świadomy okolic, zapomniałem że nam przed Żodziszkami płynąć około niego wypadnie.

— Jakto? naszego wesołego sprzymierzeńca na imieninach? wykrzyknął także Hippolit. Ach! trzeba go przecież odwiedzić. Radbym przy tej zręczności bliżej się z nim poznać. —

— Pamiętajcie Panowie o Pacu, rzekł na to Bartłomiej. Zajeżdżając po retentach, naprowadzicie mnie na biedę. —

Wtém donośny głos przerwał mu z brzegu: *séry! mléko! słonina! groch! groch!* — i echo

odbiło — *groch! groch!* — *Staubuj!* i echo powtórzyło — *Staubuj!*... Otoż i sam Pan Koniuszyc zaprasza nas na śniadanie.—

Jakoż postrzegliśmy Pana Tadeusza przechadzającego się po wysokim brzegu, na którym jego domek się wznosił, i wykrzykującego bez ustanku — *groch! słonina! Staubuj!*

— A to co? zawołał on postrzegłszy nas także; czy mi śni się? a dalibóg to Podkomorzyc i Pan Ignacy. Czy doprawdy tu jesteście?—

— My sami, jak nas widzisz, kochany Panie Tadeuszu!—

— Cóż to? czyście się nie wytrzeźwili jeszcze od onegdajszego? czy poszalawszy z miłości płyniecie do Królewca, a ztamtąd za morze?—

— Cóż nakształt tego, zacny nasz przyjacielu! odkrzyknął Hippolit; lecz przy zręczności chcielibyśmy i Pana nawiedzić, tylko że należąc do czeladzi Bartłomieja, znajomego Panu, bez jego dozwolenia nie wysiadziemy na ląd.—

— Na te słowa Hippolita — *Staubuj* — wykrzyknął Bartłomiej, a razem wrzasnął i Pan Tadeusz — Stary kumie! łysy djable! czy to mnie chcesz minąć?—

Wnet zatem przybiliśmy do brzegu i uściskaliśmy się z Panem Tadeuszem, który zszedł na dół na przyjęcie nasze.

— No, powiedźcie mi, zapytał on, co znaczy ta wasza nawigacya?—

— A najpierw, przerwał Bartłomiej, prowadź Pan Ichmościów na kawę, bo na śniadanie tylko po kubku wody wypili. Ranek był mglisty i chłodny, więc i mnie szklanka piwa grzanego nie zaszkodzi z łaski Pańskiej, a czeladzi po kieliszku wódki, o którą rozliczymy się, Mospanie, przy targu o groch i słońcę.

— Obejdzie się bez tych rozliczek, panie organisto krzywicki! odpowiedział Pan Tadeusz, znający widać dokładnie żywot Bartłomieja. Chodźmy na górę, dodał; ja będę przewodnikiem.—

— Ale darujcie mojemu rannemu ubraniu. Do nowomodnych szlafroków przywykać nie chcę, bo to hultajska sukienka; wolę moję starą kapotę, choć w nią, jak widzicie, — *łata na łacie, służa panie bracie!*— Uważam ja, mówił znowu po krótkim milczeniu, postępując przed nami, uważam ja, że teraz łaty i kapoty wychodzą z mody, i rzadko gdzie, ledwo czasem u okolicznej

naszej braci, dostrzeżesz kapotę, siostrę moją. Żal mi tego, czy wiecie Wasanowie; i może to przyczyna, że moję kapotę lubię... — *Łatano ale nie chwymano!* — odpowiadał dawniej śmiało, każdemu patrząc w oczy, poczciwy szlachcic na ogrodzie; i choć u niego *łata na łacie*, pan go wszelakoż witał — *panie bracie!* — Tym sposobem, jak mnie teraz wierszyk niespodziany, złożyło się i przysłowie. Muszę ten wierszyk zanotować, bo gładko się udał. — I licząc na palcach sylaby, składał Pan Tadeusz: — a-choć-u-nie-go, ła-ta-na-ła-cie, (to dziesięć); pan go wsze-la-koż wi-tał pa-nie bra-cie! (to jedenastie). A co Wasanowie na to? Wiersz nierówny, ale jest i kadencya i essencya; bo sens moralny zawiera się w tem, że łaty, ani poczciwości, ani klejnotu szlacheckiego dawniej nie ćmiły. Więc tedy proszę Panów mojej tabaczkowej, wytartej i łataniej kapoty nie posponować, i mnie w niej, dobrego waszego przyjaciela i sługi, a oraz Koniuszycza z antenatów. Bo chociaż mogłem, jak wielu z bractwa Skarbnikowiczów, Rotmistrzowiczów, Podstoliców i tym podobnych moich gościwych konfratrów, przedzierzgnąć się pomaleńku na Sędzie-

go, wolałem jednak jak przy starój kapocie zostać tak i przy starym honorze.— *Honores mutant mores, sed raro in meliores!* — jak niegdyś powiedział mój rodzic.—

— Przy starym tytule, chcesz powiedzieć, Panie Koniuszycu!— poprawiłem.

— Com powiedział, tom powiedział; *dixi!* rzekł uśmiechając się; przy starym honorze, powtarzam! Przycisk w wymówieniu wytłómaczył myśl dwuznacznika. — *Nic po tytule, gdy pusto w szkatule!* a właśnie tak jest u mnie, i u wielu dzisiejszych panów Sędziów... a nadto gdy Rotmistrzowicze, Skarbnikowicze, Stolnikowicze, i wszyscy tacy panicze, wymykając się powoli ze sceny świata, wynieśli na swoich grzbietach i łokciach staroświeckie łaty; ja więc na zbytek i na złość tym renegatom pocziwój szlacheckiej chudoby, zostaję się i zostanę do śmierci Koniuszycem z łatami. Co Wasanowie na to? Walnie i oryginalnie! nie prawdaż?—

Nie mieliśmy czasu do odpowiedzi, bo z tym wesołym monologiem doprowadził nas za sobą Pan Tadeusz krętą w górę ścieżką, aż do swoje-

go domku; stanął tam na ganku, obrócił się ku nam i rzekł:—

„Oto mój domek nikczemny,

„I wszystko, co w nim ujrzyecie,

„Niech wam tak będzie przyjemny,

„Jak mnie tu wasze przybycie.

Uściskaliśmy nanowo kochanego gospodarza, który tem przypomnieniem tak mile trącił nam w serce.

—Kumie! rzekł Pan Tadeusz obracając się do Bartłomieja, zastąp mnie, idź do twojej starej przyjaciółki Stalewskiej, niech prędzej zgotuje kawy dla gości, bo ja moję porcyę wypilem o pół do szóstej *praeise*. O swoim też piwie grzanem i wódeczce dla czeladzi nie zapomnij.—

Weszliśmy do środka. Para tylko małych ale wesołych pokoików składało mieszkanie starego kawalera, kochającego się, jak to od razu za wejściem poznać można było, w najściślejszym porządku, w nałogowem nawyknięciu do jednostajnego trybu życia, do spokojności nieprzeszkadzanej, a miłującego statecznem, familijnem przywiązaniem, wszelki sprzęt swój, wszelki swój fant, który każdy jak stały przyjaciel przeżył

z nim długo i służył mu wiernie do rozmaitych wygodek i zabawek codziennych. Każdy też miał naznaczoną sobie symetryczną i właściwą raz na zawsze kwaterę i pewny rodzaj względu i poszanowania od swojego pana. Kanapki, stoliki, krzesła ojcowskie jeszcze, a bodaj i dziadowskie, prawie codziennie myte, czyszczone, glansowane, nabrały politory i lustru, jakby nowo z fabryki i lakieru wyszłe. Pyłku byś na nich, równie jak na białych ścianach ani na podłodze, nie wypatrzył. W pokoiku drugim sypialnym Pana Tadeusza stał przy łóżku na stoliku, niewielki krzyżyk srebrny i zegar dawny czworograniasty, z małemi na bokach szybkami, połączany niegdyś, bijący w rozgłośny dzwonek godziny i kwadransę, z excytarzem, zdolnym obudzić najgłębszego śpiocha. Naprzeciw łóżka wisiała gitara angielska, z zatkniętym za gryfem sexterniczkiem kantyczkowej formy, z tytułem na okładce: *Texty Światowe*; a pod nią na papierowym sercu zegarek małeńki złoty, perełkami kameryzowany, z wielkim herbowym krwawnikiem i kilką jeszcze rozmaitej formy pieczętkami i dewizkami.

Nad łóżkiem na przeciwniej ścianie, na roz-

piętym dywanie, wisiął rycerski i myśliwski ryszunek Pana Koniuszycy, to jest: między pasem z ładunkami a torbą włóczkową, dwie pary pistoletów; staroświecki także ojcowski czy dziadowski pałasz z furdamentem, i kilka fuzyj, których miano i zalety rad każdemu tłumaczył Pan Tadeusz, a tem bardziej nam, których z fuzyjami w rękach na płytach widział.

— Myśliwi, jak uważałem jesteście, rzekł on; proszę więc pomalunku i kategorycznie obejrzeć mój malenki arsenał.

To ptaszynka od słomki i bekasa do cietrzewia i głuszcza; zameczek, Mości Dobrodzieju, traf! traf! jak orzechy łuszczy.

To kasselka na zające i lisy, a pomalunku i wilczka gлотkami naszpikować można; bije kupą i bez pudła; *nota bene* kto umie strzelać.

A co Panowie powiecie o tym sztuccu? *Kuchenreyter*, prawdziwy *Kuchenreyter*! Z nim w rękę i z niedźwiedziem spotkać się śmiało można, i... spotykało się nieraz. Nie trzeba nawet bestyi przypuszczać blisko. Sto kroków... pal! ręczę — Przeżegna się łapą pomalunku, i — amen! —

— Tylko trzeba, rzekłem, cierpliwie prowadzić, jak Pan owego rogala. —

— A!... tak, tak, rzekł śmiejący się Koniuszyc; czyli jak Pani Regentowa swojego męża. — A co? przyciąłem jej nieźle? —

— Prawdę mówiąc, Koniuszycu, nie tak dowcipnie, jak uszczypliwie.

— Oho! mam ja z języczkiem téj Pani dawny rozrachunek. Ona jedna nie łaskawa na mnie z całego sąsiedztwa. —

W tymże pokoiku, w kącie przy kominie, stała liczna kollekeya kijów, z rozmaitego drzewa, własną ręką Pana Koniuszyca na brzegach Wilii wycinanych, gustownemi główkami i skówkami ozdobionych, i lubo samemu właścicielowi nader upodobanych, wszakże przeznaczonych szczególnie na podarunki dla przyjaciół. Sławne też były w okolicy laseczki Koniuszyca, przy oglądaniu których, ja gibką dębinę, Hippolit gęsto sękowaną gruszkę dostaliśmy w prezencie.

Między temi niezwywotnemi ruchomościami a ich panem, jak między dwoma królestwami natury, środkiem, półżywotną istotą był stary czarny pudel, Azor, leżący przy piecu na skórzanéj po-

duszcze. Gdyśmy weszli, podjął on głowę i wyszczerzył zęby; lecz grymas ten równie za uśmiech powitalny, jak za złośliwą grozę wzięść było można. Powstał potem leniwie, strząśł kudły, wyciągnął się, spojrzął na próżną miskę w kominie, okręcił się razy kilka, i znowu legł na poduszcze.

Ta wszelakoż regularność, to natógowe zamiłowanie się w porządku, w symetrii i niezależności, nie zrobiły z Pana Tadeusza, jak to często ze starymi kawalerami się zdarza, nudnego i opryskliwego zrzędy, pedanta, samoluba, lub gnuśnego sknerę. Owszem wyborny towarzysz każdej kompanii, zapomniawszy że piąty krzyżyk przeczepił mu się na barkach, swawolił on, polował, i umizgał się jak młody, huczną piosenką lub pustym konceptem ożywił nieraz zastygłą wesołość, a jako doświadczony lis, wyrozumiały przy kobietkach prowadząc interesa, często przed nieuważnym młokosem szczęśliwą wygrywał stawkę.

W sąsiedztwie kochano Pana Tadeusza i potrzebowano go w każdym domu. Żadna ważniejsza gospodarka lub przedsejnikowa sessya: czy

ić, czy nie iść do Sęstwa? u *Jegomościa*; żadna sekretna w alkierzyku namowa: czy prosić, czy nie prosić u *Jegomościa* pieniędzy na sprawunki? u *Imości*; żadna cicha w bokówkach szeptaninka: czy pojedzie, czy nie pojedzie mama na fest lub na imieniny? u *Panienek*, nie obeszła się bez porady i pomocy Pana Tadeusza. *Jegomościa* ośmielił, dodał nadziei i męstwa do krések, a zręczną radą i pomocą do ich rozmnożenia dopomógł. Dla *Imości* upatrzył godzinę dobrego humoru *Jegomościa*, lub ją obudził i ku zamierzonym celom skierował. *Imości* mamie wniósł odpusty, i na fest z córeczkami wyprawił; i tak lub tym podobnie wszystkich ukontentował, zobowiązał, i wszystkich był powiernikiem.

W trudniejszych nawet i zawilszych sprawach, gdy szło o wybór zięcia lub synowej, on najrzęczniejszą ilość chatek pretendenta, lub posagu panienki, wyszpiegować umiał; on na przyrzeczenie lub na rekuzę zdeterminował, i on nakoniec weselił się z zaręczonemi, lub pocieszał strapiionych *kochanków*.

— Jakże tu wesoło i czysto! — odezwał się Hippolit, oglądając wokoło miłe te pokoiki.

— *Choć ubogo, ale chędogo!* Panie Dobrodzieju! *To Pan zdaniem mojem, co przestał na swojem.* Zbytku ani na lekarstwo; broń mię Boże od tej pokusy; porządeczek zaś, jaki tu widzicie, zaprowadziłem już dawno, gdy wichry młodości, które wam szumią teraz po głowie, z mojej wywiały.—

— Któż u Pana gospodynią?— zapytał znowu Hippolit.

— Rozumiem do czego zmierza pytanie. Oto odpowiedź kawę nam przynosi. — Jakoż w tym momencie weszła do pokoju czerstwa, sucha i wysoka, czysto i schludnie ubrana staruszka, w czepeczku na głowie, w materyalnym półsalopku na ramionach, i dygnawszy nam każdemu z osobna, błękitną wzorzystą serwetą nakrywała stolik.

— Rekomenduję Panóm moje gospodynię, opiekunkę i przyjaciółkę — Pani Stalewska.—

Pani Stalewska dygnęła nam znowu; my ukłoniliśmy się grzecznie.

— Ranek piękny, odezwała się ona; może Panowie będziecie woleli pić kawę na ganku?—

— Wyborny projekt, Stalesiu! rzekł gospodarz; więc tamże i zrób przygotowanie. To są

moi bardzo mili goście, więc proszę cię, aby gospodarstwu i uprzejmości naszej nie dali hańby.—

Wyszliśmy więc na ganek, za nami mały chłopczyk wyniósł nakryty stolik, a wkrótce Pani Stalewska ukazała się z tacą, na której imbryczki z kawą i garnuszczyki, smakowitemi zaciągnięte kożuszkami, przy sporym koszu sucharków, wyborne nam zapowiadały śniadanie. Gdyśmy zatem nalewając kawę do małych z błękitnej saskiej staroświeckiej porcelany filiżanek, zachwalali jej smak i aromat, oczekująca bodaj na te pochwały Stalewska dygnęła nam pokilkakrotnie, i uśmiechając się z ukontentowania i chluby, rzekła —

— Teraz nie umieją już gotować dobrej kawy; ja nauczyłam się tego od nieboszczki Pani Koniusznej, matki Panicza, która choć z łaski Boga miała sług dosyć, zawsze jednak sama naglądała kawy i śmietanki; aż kiedy już mnie dobrze wyuczyła, więc na mnie zdała kominek w kawiarni. Nie wiedzą już teraz wielu sekretów do tego potrzebnych, bo to, Mości Dobrodzieju, trzeba koniecznie jeleniego rogu do klarowania kawy; do śmietanki nie szkodzi trochę migdałów dla

zapachu i pożyty kożuszka; cykoryi bron Boże więcej jak czwarta część; taka proporcya daje kolor piękniejszy i smakowi nie szkodzi. Teraz już i połowę sypią, ale pożał się Boże, jaka to kawa!... Trzeba jeszcze wiedzieć jak palić, bo przepaliwszy...—

— Że kawa twoja wyborna, kochana Stalesiu, dowodzą nasi goście, przerwał Pan Tadeusz; bo widzę i rad jestem, że po drugiej filiżance sobie nalewają; a odkrywać im twoich sekretów i uczyć nie warto, bo pewnie nigdy gotować kawy nie będą, a jak im się zechce smacznej się napić, to do nas przyjadą.—

— Niezawodnie nigdzie tak wysmienitej nie piłiśmy.—

- Dygnęła znowu ukontentowana staruszka, do była z kieszonki pod półsalopkiem wiszącej, tabakierczkę srebrną, zażyła tabaczki i nas potraktowała; zebrała potem na tacę imbryczki, filiżanki i garnuszczyki, jeszcze raz i drugi dygnęła, i odeszła w najlepszym humorze.

— Pochwaliliście jej kawę, teraz ona wasza przyjaciółka. Jest to, mówił dalej Pan Tadeusz, wychowanica mojej matki, starsza ode mnie, ja-

kiemi dziesiątek latami. Gdym był małym jeszcze chłopcem, wyszła za mąż, owdowiała, gdym i ja stracił rodziców; a nie mając dzieci, powróciła tu, gdzie się wychowywała, i w nowej mojej gospodarce zaprowadziła staroświecki matczyzny ład domowy, zmodyfikowany naturalnie do zmodyfikowanej djabelnie substancji mojej. Odtąd razem bięde klepiem. Ona z przywiązaniem do mnie prawie macierzyńskim, nazywając mnie po dawnemu Paniczem, codzień od lat dwudziestu coraz z bogatszą żeni mnie dziewczyną. Tymczasem dziewczęta rodzą się, rosną i za mąż wychodzą, a ze mną i tak się zdarza, że jedną i tę samą do chrztu trzymałem, dzieckiem bawiłem, w dorosłej kochałem się, i cierpliwie poniosłszy grochowy wianek, wydałem za mąż, i znowu jej córkę do chrztu trzymałem, nanowo tenże sam marsz rozpoczynając. Co Wasaństwo na to?—

— Widać, odpowiedziałem, że zaloty swoje prowadzisz pomaleńku i kategorycznie.—

— A tak, tak, pomaleńku, i lubo takimidąc procederem wysłużyłem sobie pomaleńku patent na marcowika, ale mniejsza o to.— *Ten młody, kto zdrów; a ten szczęśliwy, kto spokojny! Otoż*

ja i zdrów i spokojny, nie urzekając; a któż wie czy tak byłoby, gdybym się ożenił? Któż wie czy ustałby na miejscu mój porządek? Czy usiedziałyby w swojej bokówce Stalewska? Dla tego też i ona zaprzestała już swojej codzienniej swadźby. Czasami tylko, gdy sen jaki szczególniejszy, dający się wyraźnie na wesele tłumaczyć, podochoci babulę, to mi przez dwa dni pokoju nie da.—

— No, ale dajmy temu pokój; wróćmy raczej do pytania, na któreście mnie nie odpowiedzieli: dokąd i po co płyniecie? Zkąd ta ochota do żeglugi? Tylko szczerze, bo mam w tem rzecz.—

Spórzeliliśmy po sobie, i nie wiedząc czy mamy się wypowiadać z naszych zamiarów, odpowiedziałem jakając się.—

— Ot widzisz pan, niedawno w te strony przybyły Hippolit chce poznać okolice tutejsze. Przypadkiem, polując około Wilii, napadliśmy na płyty; przyszedł projekt żeglugi, jako najdogodniejszy w takim razie. Bartłomiej dał się uprosić, przyjął nas na płyty, i cała historia.—

— Oho! ho! rzekł kręcąc palcem pan Tadeusz, chcesz mi zamydlić oczy! Sekret.... pomaleńku!

pomaleńku!... Rozumiem co się święci!... No, toż i ja mam sekret, z którym nawet miałem dziś jechać do Wasana, panie Ignacy!... Ale to nie nagli.... pomówimy o tém potem.... Sprawa domowa — cedził przez zęby pan Tadeusz — ty-cze się twojej siostrzyczki, jak ją nazywasz.... naszej kochanej.... Helusi.—

— Cóż takiego? zapytał zrywając się z miejsca Hippolit; czyliżby zaszły tam jakie odmiany? Na miłość Boga, Koniuszycu, mów!...—

— A, ptaszku! złapałem cię! Pomaleńku... pomaleńku i kategorycznie! Tak zawsze rozbie-ram wszelkie interesa i okoliczności, i dla tego wszystko idzie ładem, chwała Bogu. Nic tam nowego nie zaszło... zająć jednak może... ale poczekajcie tylko...—

Hippolit stał przed nim jak na szpilkach.

— Siadaj, Podkomorzycu! Mój projekt taki: zostańcie u mnie na szlacheckim obiadku, pogadamy o wszystkiem otwarcie a nie półgębkiem, zrozumiemy się wzajemnie, i postąpimy jak każdemu wypadnie. Płynąć? — płynąć; jechać? — jechać. A może ani płynąć, ani jechać; któż to wie? —

— Na prójekt pański uprzejmy i przyjacielski przystajemy chętnie, odpowiedział zainteresowany Hippolit; ale pierwsza kategoria, mówiąc przysłowiem pańskim, z naszym Bartłomiejem. Na jego wózku jedziemy, a on się śpieszy bardzo; wątpię więc, czy się zgodzi na nową zwłokę. —

— Ja sam z nim pogadam, rzekł Koniuszyc, i za chwilę wrócę. —

— Co myślisz? rzekł do mnie niespokojny Hippolit. Koniuszyc ma jakieś nowinki, które się pewnie naszych tyczą projektów. Czy nielepiej, nie tracąc czasu, ruszać natychmiast. Może tam kto inny?... —

— Kto inny w tak prędkim czasie... wątpię; ale być może, że Szambelan, zastraszony twoją konkurencją, stanowczo rzeczy posunął. W takim razie nie obeszło się bez rady Koniuszyca; więc od niego, choć pomaleńku i kategorycznie, dowiemy się o wszystkiem. Dla tego wypada zostać na obiedzie u Koniuszyca, a tem samem utwierdzić w nim sobie sprzymierzeńca. —

— Dziękuję ci, dziękuję, stary kumie! ode-

zwał się za drzwiami pan Tadeusz. Widzisz bo, że jest w tém rzecz!....—

— Niechże i tak będzie, rzekł wychodząc razem z gospodarzem na ganek Bartłomiej; zostanmy tu na obiad, ponieważ tak chce pan Koniuszyc dobrodziej, i powiada, że jest w tém rzecz.—

— No, teraz wiem o wszystkiém, rzekł pan Tadeusz po odejściu Bartłomieja; bo czemużście nie uprosili jego, aby kłamał razem z wami? On mi przecież całą prawdę o celu waszjej podróży wyśpiewał, którą bodaj odgadł lepiej ode mnie.—

Hippolit powstał, wziął uprzejmie za rękę pana Tadeusza, i rzekł—

— Przepraszam pana, z całego serca przepraszam; nie powinienem był panu ubliżać mego zaufania po onegdajszych dowodach jego życzliwości dla mnie. Nie zasłużywszy na przyjaźń pańską, ani na czyjąkolwiek w tych stronach, nie dziw, że w okoliczności najważniejszej bodaj w mem życiu, lękam się być nadto otwartym, lecz gdy pan interessować się zdajesz losem czy to moim, czy to raczej osoby zajmującej mię

prawdziwie, gdy z rodzicami jej i domem stałą i dawną przyjaźnią złączonym jesteś, przeto śmiało odkrywam panu serce i zamiary moje... — kocham piękną Helenę i pragnę, aby ona była moją na zawsze. —

— A!... w te mi graj, paniczku! —

— Mamy nadzieję, kochany Koniuszycu, rzekłem, że nam twą radą i wpływem u Prezydentostwa skutecznie pomożesz. —

— Trudna to rzecz dla mnie, odpowiedział, bo ja sam kocham się w Helusi. —

— Cóż znowu? czy i ją do chrztu trzymałeś? —

— Żarty na stronę, przerwał Hippolit; chciał nam raczej powiedzieć co wiesz w tym względzie, i czego się mam spodziewać? Nie zwlekaj, szanowny Panie, i nie dręcz mnie! —

— Pomaleńku! pomaleńku i katégorycznie o wszystkim się dowiedzie; a ponieważ porozumieliliśmy się szczerze, więc wszystko da Bóg pójdzie jak z płatka; a tymczasem najpierwsza katégorya obiadek dla moich gości.... — i powstawszy, perorował —

Mały obiadek, lecz smaczny,

Niewytworny, lecz obfity;

Nie zbytek da go dziwaczny,
Ale kucharz wymienity!

A co Wasanowie na to? Tym kucharzem jestem ja sam, bo trzeba wiedzieć Asaństwu...—

— Kochany Koniuszycu! przerwał Hippolit, czy nie mógłbyś starania o obiedzie zdać na swoją Stalewską, a z nami pomówić..,—

— Bądź spokojny, bądź spokojny! Pomaleńku, powiadam panu, dalej stanien; wszystko w swoim czasie. Otoż tedy dam panóm obiadek gospodarski, naprzykład taki —

Szlachecki nasz barszczyk z rurą,

Potém krucha sztuka mięska,

A potém potrawka z kurą

Do smacznego wabi kęska;

Ależ nie starą i twardą,

Kiedyż z kurą — to z pulardą.

Potém kapłon tłusty, gładki,

Do ogórka lub sałatki.

Precz biszkokty! precz mejszpezy.

Piąta babka albo pezy;

Na szóste...—

— A czy nie będzie zawiele? Koniuszycu! — zawołałem.

— Nie lękaj się, odpowiedział; szóstym frykasem nie obciążysz żołądka.

Na szóste potrawka prędką...

Z dobrym humorem gawędka.

A co Wasanowie na to? —

— Wyśmienicie! — zawołał rozweselony Hipolit, wyśmienicie, kochany gospodarzu, kucharzowi i poeto! Gdy jednak ubiliśmy dziś pięć cyranek, może więc odmienisz cokolwiek dyspozycję, i ich użyjesz.

— I owszem, i owszem — *Varietas delectat*, a właśnie pulardy i kapłon jedno po drugim... Brakłoby *varietatis* i *tėj delectacyi*, która przy smacznym obiadku dobrej myśli pomaga. Ale jakże to zrobić? Kapłona nie odstąpię, bo poznaćcie co to jest kapłon litewski, a po szlachecku ukarmiony!... Najbardziej, że trudno te wasze kaczki do wiersza złożyć... zaraz.. aha! niech sobie tak będzie, choć niebardzo gładko—

Za półmisek z pulardami,

Potrawka z kaczek...—

— Z truflami — dokończył Hippolit.

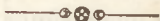
— Oho! znać panicza! A zkąd u szlachcica trufle? Raz czy dwa tylko na mojem życiu ich kosztowałem, i nic osobliwego; więc będzie

Potrawka z kaczek z grzybami!

A cóż Wasanowie na to? czy zgoda? — zapytał śmiejący się razem z nami pan Tadeusz.

— Zgoda, zgoda! — wykrzyknęliśmy, uściskając go wesoło.

— No, to i dobrze; pójde więc wszystko rozporządzić! Na ten raz zdam kuchnię Stalewskiej, z należytą wszelakoż informacją; a panowie abyście się tymczasem nie nudzili, i ponieważ, Podkomorzycu, chcesz poznać nasze pozycye, idźcie więc ścieżką po brzegu Wilii, do tego co widziecie borku. Ja wkrótce nadejdę i wytłómaczę wam ciekawe rzeczy, które tam znajdziecie. —



XI.

BOREK, do którego nam ścieżkę ukazał pan Tadeusz, przedzielał pola jego od Wilii, i na wyniosłym a płaskim jej brzegu się rozciągał. Czysty, suchy i wesoły, obdarzał pana Tadeusza mnóstwem rydzów i borowików, na zbieranie których zapraszając on czasami sąsiedztwo, miewał zręczność miłą zabawką i smacznym podwieczorkiem zalecać się płci pięknej. We środku, na niezarosłym odłogu, okazywać zdają się niejaki ślady mogiły (*). Z pod suchej darni sterczą gdzieś głęboko w ziemię wrosłe kamienie, a między temi głaz z granitu, w kształcie okrągłej

(*) Miejscowe.

kolumny, na stop dziesiątek wysokiej, i tyleż w obwodzie mieć mogącej; wyciosany, nie rodzimy, jak się nam zdawało, w tém miejscu, a trudno mniemać ażeby siła ludzka przenieść go tu mogła, zastanowił naszą ciekawość.

Wilia, na którąśmy także zwrócili oko, wre tu, pieni się i szumi po kamieniach i odłamach skalnych, któremi łożę jej gęsto narzucone; a na drugim jej brzegu szerokie, niskie i piaszczyste pole, również gęsto i podobnież kamieniami zasiane, podawało domysł, że niegdyś być mogło jej łożem. Podrywała ona teraz brzeg, na którym staliśmy, usiłując ominąć zapory, których rozepchnąć nie zdołała. Czekaliśmy więc pana Tadeusza, mającego nam wytłómaczyć ród i przeznaczenie tego kamiennego olbrzyma i jego działy, z pod ziemi i z pod wody sterczącej. Jakoż nadszedł on wkrótce.

Przemieniwszy swoją ulubioną kapotę na piękny, czysty, zgrabny bez przesady granatowy tużurek, ułożywszy przystojnie gęste swe i mało jeszcze srebrzące się włosy, z okiem czarném i żywém, z twarzą, którą wesołość, dobry humor i uprzejmość opromieniały, pan Tadeusz odmłodził

o lat dziesięć przynajmniej; szedł krokiem lekkim jeszcze, o lat dziesięć młodszym; a nie mogący podobnegoż z sobą dokazać odmłodnienia, stary Azor wlekł się za nim zdaleka, niosąc w zębach laseczkę swojego pana.

— Cóż Wasanowie tu upatrzyliście? — zapytał Koniuszyc.

— Właśnie czekamy pana, abys nam powiedział, co szczególnego o tym głazie wiedzieć możesz? —

— A o tych gromadach kamieni na drugiej stronie nic wiedzieć nie chcecie? —

— Cóżbys miał o nich powiedzieć? Leżą tu zapewne od stworzenia czy od potopu świata. —

— Otoż to że nie; bo wszystkie, które na tamtej stronie i w rzece widzicie, leżały niegdyś przy tym wielkim, a i ten tylko co się tam nie dostał. —

— Więc Wilia w tém miejscu zmieniła koryto? —

— I to nie; płynie jak płynęła, tylko że niegdyś spokojnie, a teraz z podskokiem. —

— Któż więc, rzekłem, na tamtą stronę je poprzerzucił? chyba djabeł. —

— Zgadłeś, jakbyś tam był; djabeł (*).—

— A to już rzecz bardzo ciekawa. Może i tę bryłę granitu, odezwał się Hippolit, urwał on od podpory jakiego gmachu i tu przyniósł?—

— Nie, to inna kategoria.—

— Słuchamy więc tych dziwów i sztuk szatańskich — rzekliśmy, siadając na murawie i krzesząc ognia do fajek.

— Kamień ten, mówił zatem pan Tadeusz, jak powszechne niesie mniemanie, jest zabytkiem z pogańskich jeszcze czasów (**). Czyli on tu na miejscu się znalazł, czyli z kąd sprowadzony? tego nikt nie wie. Palono na nim, jak powiadają, Bogom litewskim ofiary, albo zwłoki wodzów i rycerzy; co podobniejsza do prawdy, bo oprócz wielu innych rzeczy, ja sam wygrzebałem tu nie raz kamienne siekierki, które Wasanom pokażę, a którymi niegdyś Litwini wojowali; bo niemi tak dobrze jak żelaznemi berdysza-

(*) Miejscowe podanie.

(**) Miejsce to znajduje się nad Wilią w powiecie Zawilejskim.

mi łby rozszczepiać mogli. Słowem, było to jakieś poświęcone grobowisko. Siedzimy na kościach i czaszkach ludzkich; pełna tu ich jest ziemia. Po mogile pogańskiej, powstała tu mogiła chrześcijańska. Stare krzyże jeszcze ja tu pamiętam; lubo już daleko dawniej przedtém, po diabelskiej sztuce, i żywi i umarli wyrzekli się i boją się tego miejsca. Z czego, prawdę mówiąc, rad jestem, bo moich rydzów i borowików nikt nie kradnie.—

— Jakaż to sztuka szatańska, która tak zakłęła to miejsce?—

— To druga historya, którą wolałbym żeby wam opowiedziała moja Stalewska, bo to bardzo podobne do bajek o djabłach, upiorach i strachach, których ona umie bez liku i opowiadać lubi, byle kto słuchał. Ale że jesteśmy tu *in loco delicti*, więc opowiem te figle djabie, choć nie tak dokładnie, jakby to baba jaka lub stary dziad opowiedział.

Kiedy Jezuici, objawszy Żodziszki i inne blizkie dobra, darowane im od niejakiego Minkie-

wicza, przybyli tutaj; wybrawszy najpierw do-
godne i wesołe miejsce na kościół i klasztor,
wzięli się do murowania. Na fundamenta tak
ogromnych budowli potrzeba było wiele kamieni.
Okolica ta nie kamienista; bardzo więc suszyli
głowy, z kądy ich dostać mogli. Postrzeżono na-
koniec ten mogilnik, mnóstwem wielkich kamie-
ni nasiany. Po długim zatem Teologów *consi-*
lium, postanowiono odprawić po wszystkich w Lit-
wie kościołach exekwie za dusze pochowanych tu
umarłych, i śmiało potem użyć kamieni grobo-
wych na fundamenta.

Nie w smak zapewne to było djablóm, że Je-
zuici, najślawniejsi wtenczas exorcisci, coraz to
gęściej gnieździli się po Litwie. Złożyli więc,
jak widać, własną *konsultę*, z której wypadło,
wszelkimi sposobami przeszkadzać fabryce jezui-
ckiej. Nie mając przystępu do samych *Patrów*,
wyspiegowali, przez jakąś babę czarownicę, (bo
jak wiadomo, gdzie djabeł nie może, tam babę
podsadzi) projekt przewożenia ztąd kamieni do
Żodziszek. Więc, po swojemu do figlów.

Jednego wieczora, jakiś pobożny braciszek Je-
zuicki chodził sobie z pacierzami po nad Wilią i

zaszedł aż tutaj. Tymczasem zachmurzyło się niebo, i zciemniało zupełnie, tak, że on nie mogąc widzieć ścieżki wijącej się dołem i górą po lesie i parowach, postanowił posiedzieć czas niejaki pod tym kamieniem i doczekać wejścia xiężycy. Było to bowiem na trzeciej kwadrze, gdy xiężyc późno wschodzi. W pociemku, dla uspokojenia serca i niejakięj drżączki, która go przejmowała, tém gorliwiej trzepał pacierze... a wtem xiężyc między chmurami pokazywać się zaczął;— więc miał już wstać i wędrować do domu.... gdy nagle posłyszał blisko siebie jakieś śmiechy szalone, i wnet postrzegł dwóch djabłów. Poznał on od razu, że to diabli, po kozich nogach, po wielkich rogach, po kurtkach niemieckich i po słowach zdradzieckich....

A co Wasanowie na to? Same wiersze składają się; ale mniejsza o to. Miarkować sobie możecie, że strach objął Jezuitę; poznał nieborak, że okoliczność złego jest gatunku; przyczaił się więc jak mógł najściślej do kamienia, i tając oddech nawet, słyszał taki szatański rozhovor. Naprzód jeden diabeł, pociągawszy długim i czer-

wonym nosem powietrze— „Jakaś tu zwierzyna w nos bije— rzekł.

Drugi, wodząc i wietrząc nosem na wszystkie strony — „Ej, to zapach trupi, z mogiły— odpowiedział.

— „Oj nie! rzekł znowu pierwszy, pociągając powtórnie jak miechem kowalskim powietrze; to zapach nie dobry, coś nakształt święconej wody!—

Wietrzył znowu drugi wokoło, jak wyżeł bekasa.... a u Jezuity dusza była w piętach.

— Ej to nic! znowu odpowiedział towarzysz. Wiatr wieje od Żodzisek, to nam jezuickiego napędza śwędu. Dalej, bracie, do roboty; nie traćmy na darino czasu! Jutro mają Jezuici przewozić te kamienie na fundamenta klasztoru; niechże je wprzód przepławia, kiedy tak mądrzy. Domyślą się oni, że to nasza sprawka, ale jój tak rychło nie odrobią.—

— „Praca jednak nie lada, rzekł drugi, przetrzucić wszystkie te kamienie za rzekę!... Wiész co? Poweselmy się w tej biedzie. Będziemy grać w metę po studencku: kamienie będą nasze piłki; przeskocz na tamtą stronę, i do północy

stawać będziesz na mecie, a ja w ciebie trafiać; zaś od północy do kura, *vice versa* ja stanę na twojem miejscu.—

— „Zgoda; ale cóż po grze bez stawki? Na pacierze grać nie nasza rzecz! Więc tak: za każde trafienie sto dusz z kotła do kotła!—

— I owszem. Stawaj więc, a potem dam ci rewanż.—

Wnet zaczęła się kanonada. Djabeł porywał kamienie i ciskał na skaczącego po drugim brzegu kolegę; kamień burczał lecąc jak z procy; a za każdym razem, szatan na mecie podskoczył, krzyknął „pudło!” i, cha—cha—cha—cha.—

Tak przez kilka godzin djabeł pudlarz ciskał kamienie, a drugi skakał, wykrzykiwał „pudło” i śmiał się. Często większe bryły nie dolatywały celu i padały w rzekę; wtenczas śmiech djabelski łączył się z pluskiem wody. Nakoniec, kiedy już mnóstwo poprzerzucił przez rzekę i ponarzucał do rzeki kannieni, tam-to brzegowy szatan krzyknął: „Stój! dwunasta bije na wieżach wileńskich.”— To mi ucho, Mospanie, co o dwaście mil słyszy!

— „Jeszcze nie dobiła,— wrzasnął zniecier-

pliwiony pudlarz — „ale ja cię skałą dobiję.... — I wyciągnawszy jak mógł łapę i szpony, porwał oburącz ten ogromny kamień, a końcami pazurów łap za Jezuitę!

*A co Wasanowie na to? — Jezuita, który, jak już mówiłem, siedział cicho przy kamieniu jak kamień, albo jak skowronek w jesieni; czując się tak pochwyconym za żywota, zawołał niemym głosem: „Jezus, Marya, Józef!” a ten niespodziewany wykrzyknik, nie mniejszym nawzajem strachem przeraził zdziwionego szatana. — Opuścił więc co prędzej nieco już w górę podniesiony kamień, i chciał odeń łapy oderwać. Jakoż oderwał jedną; — ale drugą! Paznokiec, albo raczej ostry, krzywy, krogulczy pazur drugiej, zahaczył się za suknię braciszka; — ba! i gdybyż tylko za suknią! Ale co Wasanowie na to? zahaczył się za poświęconą *katnę*; to jest, za pas dróciany, który pobożny braciszek nosił zamiast włosiennicy na ciele. Ciasne jego i mocne ogniówka djabli pazur trzymały jak w sidle, a świętość jego paliła go gorzej od ognia — bo do ognia w piekle już nawykł. „Puszczaj mię, puuszczaj ty klechu!” wrzeszczał na całe gardło

chcąc oderwać się djabeł. — „Duchu nieczysty! odczep się ode mnie!” wołał niemniej głośno Jezuita, zasłaniając się brewiarzem i trzymając się mocno drugą ręką za kamień, aby go szamocący się djabeł nie pociągnął ku sobie. — „Puść mię, a zrobię co każesz!” powtarzał coraz bardziej przerażony djabeł, nie wiedząc już w końcu co począć. — Bo Wasanowie wiecie, że djabeł nie ma mocy nad rzeczą święconą; nie mógł więc rozerwać kateny, a tém samém wydobyć pazura. Jezuita, nie w ciemie bity, poznał że się djabeł go boi; nabrał więc świątobliwej odwagi, i nuż do exorcyzmów! Wielkie szczęście że to uczynił; bo właśnie djabeł z za rzeki, słysząc wołanie *gwaltu* towarzysza, śpieszył mu lotem nietoperza na pomoc; ale usłyszawszy exorcyzm, furknął nazad prędzej jeszcze niż przybył, i tylko odlatując zawołał: „A co? czy nos mój nie dobry? Terazże wiedz się z nim bratku! Do zobaczenia! cha, cha, cha” — i poleciał śmiejąc się dalej. Ale co temu drugiemu, to wcale była rzecz nie do śmiechu. Jezuita co chwila wpadał w większy entuzjazm i zapał, jak się to często po zbyt wielkim przestachu wydarza, i zamiast już, jak pier-

wej, trzymać się kamienia, sam owszem wielkim krokiem następował na djabła, żegnając go brewiarzem, a w lewej ręce podnosząc do góry różaniec, i przytém nie przestając formuł exorcyzmu. — „Każ co chcesz, a wszystko uczynię” — powtarzał cofając się djabeł. — „Znieś mi zaraz te wszystkie kamienie do Żodziszek na kościół”. — „Nie mogę, tego nie mogę; a wreszcie, cóżby na to świat mówił, że djabeł Jezuitom pomaga, jakby to już ludzie nie chcieli.” — „Dowcipnyś djabeł!” odrzekł Jezuita; — „i prawda! Żadnemu świętemu dziełu nie potrzeba pomocy szatańskiej, byleby mu szatan nie szkodził. Przysięż mi więc tylko, że nie będziesz już więcej przerzucał kamieni za rzekę, ani dopuścisz towarzyszom twoim.” — „Przysięgam” odpowiedział djabeł. — „Przysięż na Imię Boskie!” — „Nie, tego nie wymówię; — ale przysięgam *na honor*” — (bo to widzicie Wasanowie, jest to czysta przysięga djabelska zaklinać się na dumę własną). — Niech i tak będzie, rzekł wkońcu braciszek, bylebyś przysięgi dotrzymał, do czego cię w Imię Boga przysięgam.” — „Puśćże już, puszczaj mię panie!” wołał upokorzony djabeł. — „Odczep się sam ja-

keś się przyczepił!” — „Nie mogę, — pisał djabeł, — to rzecz kropiona; dopomóż mi sam swoją ręką. — Jezuita przeżegnał siebie i diabła, który aż jeknął, znać z holu, jak zbójca gdy go piętnują; potem obwinawszy rękę rozańcem, szturchnął nią nagle z dołu uwieczoną łapę, i wybił ją tym sposobem z kateny. Djabeł, nie zaśmiewszy się nawet jak zwykle, czmychnął jak oparzony i plusnął do rzeki, a kamienie tutaj zostały. A co Wasanowie na to? (**)

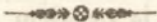
Jezuita stał jeszcze chwilę jakby skamieniały; ukląkł potem, zmówił gorliwie „*Sub tuum praesidium;*” chmury się rozrzedziły, xiężyc zaświecił, i ośmielony *Frater* powlókł się do Żodzisek.

Lud, widząc w przerzuconych kamieniach oczewisty dowód opowiadania Jezuity, nie śmiał odtąd i dotąd nie śmie nogą tu stąpać, a tém bardziej grześć swych umarłych. Z pokolenia do po-

(**) *Suum cuique*. Słowa od pierwszej gwiazdki aż dotąd, i cała zawarta w nich scena, są układu i pióra przyjaciela mego, P. A. E. Odyńca, który ją *żartem* w tém miejscu rękopismu mego dopisał, a którą ja zatrzymałem doprawdy.

(Przyp. Autora.)

kolenia przechodzi bajka, czy podanie, jak Wasiństwo chcecie, które każdy chłopiek, każde nawet małe dziecko mniej więcej dokładnie powtarza, i od mojego borku ludzi odstrasza. I ja tam byłem, miód, wino piłem.—



XII.

GDYŚMY rozmaite czynili domysły nad tém podaniem i śmieli się z pudlarstwa i przygody szatana, przybiegł chłopczyk pokojowy Pana Tadeusza z doniesieniem, że przyjechał posłaniec z listem od Pani Prezydentowej, ale nie ma czasu długo czekać, a list chce koniecznie oddać w ręce samemu Panu.

— Oho! to coś nowego, rzekł Koniuszyc. Nie bez nagłej potrzeby, Prezydentowa umyślnego wysłała, zwłaszcza wiedząc, że w tych dniach przybyć do nich miałem.—

Wzbudziła się więc nanowo ciekawość i niepokojność Hippolita.

— Proszę cię, rzekł on, kochany Koniuszycu, racz mię zaspokoić; tak długo już czekam...—

— Dobrze, odrzekł Pan Tadeusz, dobrze; nie będę cię dłużej dręczył; wszakże z tem i do boru przyszedłem.

Otoż pamiętacie, że po odjeździe waszym od Prezydentowstwa, ja zostałem jeszcze... — Albo wiesz co? zacny Podkomorzycu!...— (zamyslił się Pan Tadeusz)... — Tak! zaczekaj jeszcze chwilę. Pomalenku... i kategorycznie... Przeczytamy pierwój list od Prezydentowej. Któż wie, czy potem wzajemne nasze komunikacye potrzebnymi będą? Daruj, Podkomorzycu! ale człek nie jest panem ani woli swojej, ani języka, kiedy idzie rzecz o trzeciego, a tem bardziej o trzecią. Niedługo czekać będziesz; wraz będziemy w domu.—
akoż wkrótce tam stanęliśmy.

— Jak się masz? Janie! i co u was słychać? czy wszyscy zdrowi?— zapytał Pan Tadeusz sługę Państwa Prezydentowstwa, spotykającego nas z listem w ręku.

— Zdrowi, Mospanie, wszyscy, i kłaniają Panu. Mnie tu Imość wysłała — mówił Jan zcicha, nachylając się do ucha Panu Tadeuszowi; — Je-

gomość o tem nie wie; i kazała wracać co najrychlej, aby się i nie postrzegł.—

—Dobrze; nie zabawię cię długo.— Przebiegł potem list i rzekł — Krótko, Janie, niema odpowiedzi na pismie. Jedź i powiedz pani, że jutro będę na obiedzie; możesz nawet dodać, że będę z gośćmi, których tu widzisz, to jest, z Panem Ignacym i Panem Podkomorzycem, rozumiesz?—

Jan skinął głową raz na znak wyrozumienia, a drugi raz niżej na znak pożegnania; siadł na konia i pojechał kłusem.

— Teraz — rzekł Pan Tadeusz, zapraszając nas siedzieć na ganku — teraz mam rozwiązane, to jest, nie zawiązane usta; zaczynam więc po-maleńku od tego, na czem stanąłem.—

— Tegoż samego dnia, kiedyście wyjechali, a ja zostałem, Pan Szambelan przysłał posłańca z listem do Prezydenta. Czytaj głośno ten list, Panie Ignacy! Wziąłem go z sobą dla pewnych przyczyn, do których kategorycznie przyjdzie-
my.— Czytałem więc jak następuje:—

„Prezydencie Dobrodzieju! Akkomodując się
 „obligacyom pańskim, uczyniłem przed dwoma
 „laty dogodność Panu, pożyczając mu wiadomą
 „sumkę, od której dwuletni nawet procent zale-
 „ga. Nie uprzykrzałem się WPanu Dobrodziejo-
 „wi dopominkiem, ceniąc sąsiedzką przyjaźń
 „WWPaństwa Dobrodziejów, i w nadziei, że
 „względy Państwa skłónnemi będą w dopełnie-
 „niu zamiarów moich, mogących powiększyć o-
 „bowiązki mojej dla ich domu życzliwości. Lecz
 „gdy widoki te, jak uważać mogłem, omylone-
 „mi zostają, przeto przyciśnięty nagłą potrzebą,
 „upraszam Pana Dobrodzieja o zapłacenie mi sum-
 „my kapitałnej z zaległemi procentami. W przeci-
 „wnym razie będę zmuszony udać się do środków
 „prawnych; co by nie było dla mnie przyjemnem,
 „jako dla zostającego z wysoką weneracją” etc.

— Niegodny! — krzyknąłem, rzucając list z po-
 gardą; — niegodny! Chce więc kupić Helenkę. —

— A tak, tak; mimo filogronowy układ tego
 listu, odezwał się Pan Tadeusz, zawsze jednak
 sens moralny jego taki:

Mieniać o to:

Oddaj córkę albo złoto! —

— Cóż na to Prezydent? co na to Panna Helena?— zapytał Hippolit.

— Z początku Panna Helena nic o tém nie wiedziała. Prezydent cisnął list na ziemię, chodził po pokoju, gryzł palce, łajał i przeklinał Szambelana. Prezydentowa weszła, i postrzegłszy gniew męża, podjęła list, przeczytała i z płaczem zawołała: „Do czegoż doszliśmy, gdy tak poniżającym sposobem o córki nasze starać się mają?”— To jeszcze bardziej rozdąsało Prezydenta. Weszła nakoniec i Helusia, a widząc gniew ojca i łzy matki, zapytała o przyczynę.— „Na, masz, czytaj! rzekł ojciec, podając jej ten list fatalny; patrz jakiego mądrego dostałaś konkurenta!”...— Przebiegła pismo Helenka; oczy jej zaszyły łzami, i wyszła z pokoju.

— Każdą jej łezkę, rzekł z zapamiętłym przy-ciskiem Hippolit, krwią mi on swoją zapłaci.—

— Pomaleńku, pomaleńku, nie dokążesz tego.—

— Jakto?—

— A tak, bo on nie głupi: wyźwij go sto razy, ani razu nie wyjdzie; i cóż zrobisz? Ale nie przyjdzie do tego, jak mi się zdaje.

Otoż gdy wyszła Helenka, ja, rozważywszy

wszystko pomalenku i kategorycznie... — Uspokojcie się, rzekłem do Prezydentowstwa, i posłuchajcie. Pierwsza kategoria, czy myślicie wydać córkę za Szambelana? —

— A czemu nie? odpowiedział Prezydent, gdyby nie tak głupio zaczynał swoje konkury; gdyby Helence zapisał darem sto tysięcy i dożywocie przynajmniej na połowie swojej fortuny... —

— I gdybym była pewną, że z nim będzie szczęśliwą — dodała matka.

— A już ciż przy stu tysiącach i jakich półtora-stu chatach, (bo Szambelan ma ich ze trzystą), niedaleko i do szczęścia. —

— Najważniejsze *gdyby* opuściłeś, Prezydencie! — rzekłem.

— A to jakie?

— Oto, gdyby się on Pannie Helenie podobał. —

— Rozumię się... rozumię się... któż córkę zmuszać będzie? Wszelakoż perswazyja rodziców... —

— Otoż najlepiej zawołać Pannę Helenę, rzekłem, i łagodnym rodzicielskim słowem zapytać, co ona myśli o Szambelanie i jego projektach. —

— Sprawiedliwie mówi nasz kochany Koniuszyc, powiedziała Prezydentowa; niech ona podług swojego serca i woli Boga, powie nam, co mamy czynić i jak sobie postąpić.—

Posłano po Helenkę.

— A choćby nawet Helusia i zgodziła się wyjść za Szambelana, mówił dalej Prezydent, to jednak trzeba mu dać *ad intende* że niedorzecznie bardzo poradził sobie, łącząc razem propozycye o pieniądze i o córkę; nie daruję ja tego ani panu zięciowi potem.—

— Ach! potem będzie po czasie — rzekła żona, której łzy nie osychały.

Nadeszła i Helenka, także płacząca; uścisnęli ją czule oboje rodzice; matka sobie i jej łzy ocierała, a ojciec tak mówił —

— Moje kochane dziecię! Z listu Szambelana wyrozumiałaś zapewne o co mu idzie; jakoż i nieraz dawał on mi poznać, że chce ożenić się z tobą. Bogiem świadczym się, że nie myślimy zmuszać cię do postanowienia przeciwnego twemu sercu i woli. Dla tego nim odpiszę do Szambelana, chcemy abyś nam szczerze wyznała, jakie tve są o nim myśli, i czy byłabyś determinowaną oddać

mu twoją rękę. Ale nie myśl także, broń Boże! abym dla tego nędznego długu miał cię poświęcać. Znajdę jeszcze przyjaciół, którzy mnie pomogą i zaufają. Owszem takie nieprzystojne dopomnienie się byłoby przyczyną zerwania zupełnego z Panem Szambelanem..... Ale on jest bogatym; widać że cię kocha; bo wie, że posagu stosownego do jego fortuny dać ci nie możemy, a przecież stara się o ciebie. On ci może los tak piękny zapewnić, że cieszylibyśmy się na starość, widząc ciebie szczęśliwą, a nawet mogącą dopomódz losowi siostr twoich. To wszystko jest przyczyną, że nie odrzucamy jego konkurencyi, lecz oddajemy to do twojej woli.—

Podczas tej ojcowskiej perory, Helenka uspokoiła się cokolwiek. — Kochani rodzice! odpowiedziała ona, macie zupełne prawo rozrządzenia moją ręką i osobą; a choćbym, broń Boże i nieszczęśliwą była, pocieszać mnie będzie przez całe życie to, że wam była posłuszną.—

— Bądź szczerą moje dziecię, tak, jak my szczerze chcemy twojego szczęścia i szczerego twojego wyznania — mówiła matka.

— Czyż rozumiecie, że nieszczerze mówię,

oddając się zupełnie waszej woli i waszemu błogosławieństwu? Ach! nigdybym ja nie chciała ani was, ani domku naszego porzucić...— To mówiąc, rzuciła się znowu ku matce, i znowu nastąpiły łzy i pieszczoty, że ledwom się sam nie rozbeczała.—

— Ale cóż nam powiesz o Szambelanie?— za-
pytał znowu Prezydent.

— Szczerze wyznaję, że żadnej doń nie mam i nie miałam nigdy skłonności.... Teraz list ten jego....—

— Rozumiem, przerwał ojciec. W piekle będzie, kto mu go poradził. Mówiłem ci, że list ten nas prawdziwie obraził, choć zawsze jest on dowodem, że cię Szambelan kocha...—

— Słowem, moi najdrożsi rodzice, mówiła Helenka znowu płacząc rzewnie; jeżeli w tém upatrujecie moje i własne dobro, jeżeli dla waszej spokojności o mój los, a nawet dla pomocy memu kochanemu rodzeństwu, potrzeba abym się poświęciła... zgadzam się...—

— O ja nieszczęśliwy!— wykrzyknął Hippolit.

— Pomaleńku! pomaleńku! czekaj końca; bo Helenka dodała jeszcze:— ale proszę was, aby

Szambelan nie wiedział jeszcze o tém; abym przynajmniej miała czas, kiedy nie do namyslenia się, to do wyblągania u Boga łaski i miłosierdzia nade mną!... — Nie dokończyła biedna dziewczyna, i wyszła z matką, zachodząc się od płaczu.

— Cóż tu robić? Panie Tadeuszu! — zapytał mię Prezydent, ocierając także z łez oczy.

— Potrzeba odpisać Szambelanowi. —

— Ale jak i co? w tém sęk!... Widzisz, dodał on po krótkim zastanowieniu się, że ja nie jestem teraz w stanie rozmyślać nad tém. U Wasana głowa nie dla proporcji; znasz wszystkie okoliczności. Nie trzeba mu przyrzekać, kiedy ta biedna nie może się jeszcze na to zdeterminować; ale nie trzeba mu i odmawiać, bo może ją Bóg natchnie... Przytém trzeba mu, jakem to mówił, dać *ad intende*, że głupio sobie poradził. Pomyśl, kochany Panie Tadeuszu, i napisz terminkę, a ja przepiszę. —

— Zgoda — rzekłem; poszedłem do drugiego pokoju i poprosiłem, aby mi nie przeszkadzano.

No, Panie Szambelanie! myślałem sobie gryząc pióro, zażyłeś nas z mańki; ale i nas nie w ciemie bito... nie pocieszysz się z naszego re-

sponsu. Pomalenku więc i kategorycznie odpisałem tak;— terminkę zachowałem, a będę ją wam czytał *punctatim* i *commatim*, bo przez to właśnie zalałem mu gorącego bigosu za skórę.—

„Szambelanie Dobrodzieju! Odbieram list Pański i dziwię się. (*punctum*) gdyż konjunkeya w nim interesu i sentimentu: (*duopunctum*) o pieniądze i tam dalej. (*punctum*) sprzeczn! (*exclamationis nota*) Do uiszczenia się tak nie spodziewanemu dopominkowi, (*comma*) suplikuję, (*comma*) o prolongatę czasu. (*punctum*) który tak dla mnie jako też i; (*media nota*) dla wszelkich zamiarów ludzkich. (*punctum*) pomysłną influencję miewa? (*signum interrogationis* i *finis*). Mam honor zostawać...” to już jak zwyczajnie.—

Pan Tadeusz przeczytawszy, patrzył nam w oczy, oczekując naszego zdania, a raczej pochwały.

Śmieliśmy się serdecznie. — I na cóż na końcu ten znak zapytania?— odezwałem się.

— A jakże? to właśnie jakbym po przeczytaniu zapytał kochanego Szambelana — a co Wasan na to?— tak, jak was pytam — co Wasanowie na to?—

— Wyśmienicie ! wybornie !—

— Nie prawdaż ? mówił ukontentowany autor, i jest tu coś, i niema tu nic. Puściłem i kapitał jego, i konkury na *prolongatę ad tempus bene visum*. Prezydent upodobał także moję terminkę, przepisał ją *manu propria*, i posłaliśmy.—

— A terazniejszy list od Prezydentowej możnaż wiedzieć co zawiera ?— zapytał Hippolit. Może nanowo Szambelan nagli o pieniądze ? Odpowiedz, Koniuszycu, że masz gotowe, bez żadnych szczególniejszych obowiązków.—

— O ! znowu niecierpliwość. Kategorycznie przyjdziemy i do tego, bo nie koniec jeszcze na moim *responsie*, po wysłaniu którego byliśmy w dobrym humorze. Prezydentowa przyprawiła nam wybornego pończyku na zimno z syropem i malinowym soczkiem ; popijaliśmy więc sobie szczęśliwie aż do wieczora siedząc na ganku. Nadszedł w końcu ekonom. Prezydent zaczął z nim gospodarską sessyę, a mnie Imość zawołała z sobą do apteczki na radę.

Usiedliśmy tam, i Prezydentowa mówiła do mnie:— Co z tego będzie, Panie Tadeuszu ? Zgubim my naszą Helenkę, wydając za Szambelana

Wszakże pójdzie ona za niego, kiedy tego zechcemy; ale ona jego nienawidzi. Przed ojcem nie śmiała nieboraczka wypowiadać się zupełnie, ale przede mną, gdyście z moim Jegomościem na ganku siedzieli, powiedziała wszystko najszczerzej. Osiarowałam się do Borun; pójdziemy tam piechotą. Może cudowna Matka Boska odmieni jej serce. Inaczej nieszczęśliwa i ona i ja; bo ani te bogactwa, ani te spodziewane zapisy, nie pocieszą jej przy takim mężu...

Jeszcze lichy nadało tego Podkomorzycy! Przy stojny, młody, grzeczny; i czy bałamucił, (co niech mu Pan Bóg odpuści), czy i doprawdy zakochał się w Helusi? bo przysiadł się do niej nieodstępnie, i przy pierwszej wizycie dni ze cztery tu gościł. Może i ona jego upodobała; więc tem bardziej brzydzi się starym Szambelanem. Pan Ignacy powiadał mi, że to godny i zacny kawaler, że i nie ubogi nawet, choć nie ma tyle co ten sknera; ale mniejsza o to, jeżeliby on szczerze o niej myślał... Ale jak się tego dowiedzieć? Gdyby to obaczyć się z panem Ignacym...—Widziałem i ja wasana koperczaki, panie Podkomorzyco! więc skonkludowałem, że

Prezydentowa w takich okolicznościach ma rację, chcąc coś o wasanu dowiedzieć się; i dla tego postanowiłem i odpowiedziałem jej, że wnet odjeżdżam do domu, i nie zwlekając długo, pojedę do wasana, panie Ignacy! Uradziliśmy nic o tem ani Prezydentowi, ani Helence nie mówić, a po powrocie moim złożyć znowu ciche *consilium* w apteczce, i postępować jak wypadnie z wiadomości, które posięgnę od wasana... Zabrałem więc list Szambelana i naszą odpowiedź, i dziś miałem już ruszać, gdy szczęśliwe *fata* was tu przyniosły. Otóż więcie teraz całą historję, dodając na zakończenie, co znaczy list dzisiejszy. Szanowny ksiądz Przeor dobrodziej, który tobie, Podkomorzycu, tak niespodzianie przyrzekł onegdaj błogosławieństwo małżeńskie, a który jednak chce stale to błogosławieństwo dla Szambelana zachować, zaprasza się na jutro, jako na piątek, na szczupaka z Wilii do prezydentowstwa na obiad, ale nie sam jeden. Widać że po moim liście zakręciło panu Szambelanowi w nosie, i zaczyna gorętsze już ataki, a ksiądz Przeor na swata się kieruje. Biedna więc Prezydentowa wzywa mnie do rady wojennej, a nie wiedzą że

przyprowadzę sukurs, który, za pomocą Bożą, uwolni ich od tej napaści.

Hippolit, uściskając pana Tadeusza, — dziękuję, rzekł, dziękuję panu za udzielenie tych wiadomości; wzywam pomocy pańskiej, a wzywam śmiało, bo zamiary moje, jakem to panu oświadczył, są czyste i prawe; miłość moja dla drogiej Heleny, dla tego anioła, najprawdziwsza; a jeżeli nie jestem tak bogatym jak Szambelan, mam jednak tyle, że mi wystarczy na utrzymanie mojej żony stosowne do mojego i jej urodzenia i stopnia. Ponieważ zaś pan Szambelan jutro, jak widać, stanowczo ma się oświadczyć, nie mamy więc ani chwili do stracenia....—

— Pomaleńku! pomaleńku! Możemy śmiało zjeść wesoło kawalerski obiad, i potem rozważymy wszystko kategorycznie... a wola Pana Boga!... Ja ci z duszy pomogę, bo nie lubię tego dusigrosza i kutwy. Co on lepszego ode mnie? Starszy pewnie o jakich lat kilka, a myśli o ożenieniu z młodą dziewczyną!.. Waryat!... Kilka-set chat? wielka feneberya!... Nakoniec mam jakąś sympatią do wasana, panie Podkomorzycu!—

Pocziwego ojca pocziwy syn!—powiedział onegdaj Podkomorzy—i tak z oczu patrzy.—

Wtém excytarz zadzwonił mocno.

— Pół do dwunastej, zawołał pan Tadeusz; zegar na wódeczkę dzwoni.—Jakoż nie ściągając ani minuty, dygnęła we drzwiach pani Stalewska, niosąc w ręku tacę, na której stało z półtuzina flaszeczek rozmaitym likworem napełnionych.

— Z którejże skosztujemy dla konkokeyi?—

— To ajerówka, Mości dobrodzieje, to pomarańczówka, a to kmienkówka, Mości dobrodzieje!—recytowała Stalewska.

— A wszystkie mojej własnej fabryki i dystylacyi—przerwał pan Tadeusz.

— Prócz anyżówki, Mości dobrodzieju, odrzekła ona; bo choć teraz anyż zupełnie wyszedł z mody, wszelak ja zawsze zasiewam, i proszę skosztować.—

— A może wola będzie na wódeczkę najślawniejszego na świecie fabrykanta?—rzekł znowu pan Tadeusz.

— Któż on taki? —

— Czas! moi Mościpanowie, czas! Ta wódka, mówił Koniuszyc, wskazując na flaszeczkę udzielnej formy, jest moją równienniczką. Postawił ją mój ojciec w roku mojego urodzenia, wypaliwszy datę na beczce, na beczce więc tej, moja najpierwsza metryka. W czasach rewolucyjnych, najpierw on myślał o przechowaniu Tadeuszkówki, bo powiadał — „*Omnia si perdas, fumam servare memento*” — to jest: gdy wszystko stracisz, dobry trunek zachowaj na frasunek. Tłumaczenie choć nie tak bardzo dosłowne, ale w praktyce lepsze od oryginału; bo przyznacie wasaństwo sami, że w nieszczęściu lepsza *pociecha* niż *stawa*. Jakoż idąc za tą mądrą maxymą, stracił wprawdzie dwie trzecie szlacheckiej fortunki, ale udało mu się zawsze ochronić nietylko kufkę moję równienniczkę ale i dobry zapas z sukcesyi po Żodziskich Jezuitach, z ich sklepów zaczerpnięty. Ale o tem potem i w swoim czasie.

Zakończyliśmy więc anyżówki pani Stalewskiej, i za sprawiedliwe pochwały odebraliśmy kilka uprzejmych dygów.

— Właśnie w czas przybywasz, Bartłomieju,

rzekł pan Tadeusz do podnoszącego się ku nam z pod góry starca. Do waszeci z moją staruszką, którą znasz podobno. —

— Jakże nie znam? odpowiedział; nieraz ja z rąk pańskich przyjmowałem, jako i teraz przyjmuję. —

— Ale gdzież tak długo siedziałeś? — zapytaliśmy.

— Przyznam się panom, że zasnąłem na zapas; bo czas, który tu bawim, potrzeba będzie nocami nagradzać. Ale cóż robić, kiedy, jakmy z panem Koniuszycem wiemy, dodał mrugając na pana Tadeusza, jest w tém rzecz? —

— Tak, tak, jest w tém rzecz, i teraz odkryta rzecz! odpowiedział pan Tadeusz. Dowiesz się o wszystkim. —

— Niech Bóg daje jak najszczęśliwiej! byle z dobrem panny Heleny... i panicza rozumie się. —

Stalewska odeszła, a wkrótce zegar bić zaczął. — Dwunasta *præcise*, rzekł pan Tadeusz, waza na stole, proszę. — Weszliśmy.

— Dla czego na trzy tylko osoby nakryto? Zapewne nie pogniewacie się, że starego Bartłomieja i moję Stalewską posadzimy z sobą? —

— I owszem gniewalibyśmy się, gdybyś ich dla nas usuwał.—

Lecz dosłyszawszy nas, ukazała się we drzwiach Stalewska, i dygając za każdym słowem— *Przez respekt i estymę* powinna... my z Bartłomiejem w moim alkierzyku obiadować będziemy. Proszę bardzo panicza zezwolić na to.—

Ponowiliśmy nasze prośby do staruszki, ale napróżno; bo obok upartej a dygającej Stalewskiej, ukazał łysinę Bartłomiej i odezwał się.— Niechże panowie siadają; barszcz stygnie i nam jeść chce się.—

— Cóż mamy robić z upartemi? siadajmy — rzekł gospodarz.

Gdyśmy ruszyli krzesel, Azor powstał na swém legowisku, na którym po przechadzce do borku z trudu odpoczywał, i usiadł poważnie na przednich łapach, zaspalym wzrokiem patrząc na swego pana.

— Azor! pomalenku, pomalenku! wiesz swój czas.—

Azor podkurczył nogi, położył i wyciągnął ku nam głowę... Niegdyś warować umiał.

Odkrył gospodarz wazę i zawołał—

— Szlachecki nasz barszczyk z rurą! —

Szły dalej zadysponowane wierszem potrawy. Wybornego kapłona sama pani Stalewska wniosła. Dygnawszy on nam w jej rękę, stanął na stole; a dzięki znajomości sztuki kucharskiej i dobremu humorowi gospodarza, smaczno i wesoło uchodziły dania.

Krotofilne anegdoty, wierszyki i koncepta dowcipne i dworskie, jakich teraz w płaczącej i wzdychającej poezji naszej modnej, nikt nie składa, i których razem z dawną wesołością zaniechano i zapomniano; kłamstwa myśliwskie śmieszne a niewinne, które przy potrawce z kaczek, jako przy zwierzynie, posypały się u pana Tadeusza jak z rękawa; na koniec własne historyjki miłosne: wszystko to przemieszane informacjami sosów, przypraw rozmaitych i sekretów kucharskich, szło jedno po drugim i bez ustanku. A lubo rozwlekła i nieprzerwana taka legenda wyznawała piąty krzyżyk pana Tadeusza i nieprzymuszoną jego bezzeńską swobodę, darować mu jednak to trzeba było, równie jak nudną trochę, metodyczną we wszystkiem regularność, pomnąc, że największa liczba jego wieku i sta-

nu ludzi, nie tylko nudzą, ale jeszcze naprzykrzają się i zrzędzą; kiedy poczciwy Koniuszyc, rozweselać tylko zawsze starał się, i najczęściej dokazał swego.—

Po babce, godnej wielkonocnego stołu, rzekł pan Tadeusz —

— A teraz potrawka prędką,
Z dobrym humorem gawędka.—

— Trwa ona i przez cały obiad — odezwał się Hippolit.

— Tak, lecz by żywszą była,

Przy niej winka flaszek parę;
Mało! ale wino stare!
Czwartego pamięta przodka.
Nektar w ustach, w woni myszka.
Oliwą płynię z kieliszka,
Kolor topionego złotka.

A co Wasanowie na to? —

— Znowu poezya! a dalibóg jesteś Poetą, panie Tadeuszu! —

— Poetą? gdzież znowu! ale tak *ad casum*, czasem coś się uda; to się i zatrzymuje w pamięci dla cytacyi w potrzebie.

Podaj co znajdziesz w drugim pokoju na ko-

minku, rzekł on do chłopca. Stalewska musiała tam nagotować com rozkazał.

Jakoż wyniósł chłopiec z drugiego pokoiku dwie butelki i hlaczek.

— A hlaczek co znaczy?— zapytałem.

— To, rzekł pan Tadeusz, z zapątem podnosząc hlaczek w górę,

To wyprobowanej cnoty
Medycyna staroświecka!
To na febrę i na poty,
Jakby dryakiew wenecka!

Bo trzeba abyście wiedzieli,

Że czasami dla odmiany,
Gdy gość miły i kochany,

(a takimi wy u mnie jesteście)

Dobynam słodki trojniaczek:
Mało! tylko jeden hlaczek!
Lecz trojniaczek nie od Ieki;
Stary miodek jezuicki,
Który z okowanych beczek,
I ze złożonych lampeczek,
Niegdyś synowie Lojoli,
Na fest swojego patrona,
Odśpiewawszy huczne *chorum*,
Ciągnęli skromnie, powoli,

I tylko najmędrsi z grona,
Patres quatuor volorum (*).

A co Wasanowie na to? — i nie dając nam czasu do odpowiedzi, — bo trzeba wiedzieć, że Jezuici, jak Farmazoni, na różne dzielili się stopnie, i nie każdy bywał dopuszczonym do tajemnic Zakonu i do najstarszego trojniaku, którego taka historia... Ale wprzód nalejmy. Na co wola? —

— Ha! kiedy tak, odpowiedzieliśmy zgodnie, więc po kieliszku miodu. —

— Nie po kieliszku, byłoby to *contra bonos mores*; po lampeczce, i to po jednej tylko. Na młodą krew niebezpieczno więcej; a to — rzekł, odsuwając butelki z winem:

Za zdrowie téj, której imię
 Przy kielichu powiem w rymie!

A co Wasanowie na to? to *ex promptu*! Trzeba będzie zanotować. —

— My na to odpowiadamy, rzekłem, wzajemnem zapytaniem; czy nie będzie za wiele? i czy dobrze mięsząc trunki? —

(*) Był to najwyższy stopień zakonny u Jezuitów.

— A ja odpowiadam kategorycznie: *Primo*. Znam miarę, do jakiej sobie pozwolić możemy, bo znam cnotę moich trunków; *experto credite*. *Secundo*. Mięszać złe z dobrem, złe, bo się dobre popsuje; mięszać złe ze złem, będzie najgorsze; ale pomięszać dobre z dobrém, nigdy nie szkodziło, bo się robi najlepsze. „*Addimus aurum auro*” powiedział jakimś Niemcowi nasz Skarbek; więc i my śmiało mieszajmy dary Boskie, ale pomalenku i kategorycznie, to jest: ponieważ trojniaczku, który wybornym jest na potuszenie obiadku, duszkiem pić nie godzi się, więc go, jak Jezuici, skromnie i powoli, rozlewając po podniebieniu, ciągnąć będziemy; a w drugiej kategorii: ponieważ zdrowie kochanki duszkiem aż do kropelki pić należy, więc na to mamy osobny zapas.—

Nalewając zatem miód do pięknych staroświeckich, niskich a szerokich lampek, zawołał pan Tadeusz Bartłomieja, i wchodzącemu czwartą podając: „to, rzekł, szczególnie dla waści, żyjącego na wodzie, posłuży; to miodek Jezuicki; na febrę, kto ją ma, i przeciw febrze, kto jej nie ma, lekarstwo.—

— Oh! oh! znać po zapachu — mówił kręcąc głową i usiadłszy przy osobnym stoliku Bartłomiej.

— Historia zaś tego miodu, rzekł pan Tadeusz, jest taka (*). Kiedy fundował się gdziekolwiek w Litwie zakon *Societatis*, i gdy już zmurowano kościół i klasztor, naznaczony bywał dzień na poświęcenie i wprowadzenie nabożeństwa do kościoła, oraz na poświęcenie także i zaludnienie celek klasztornych. Na ten dzień uroczysty przybywała z Połocka beczka *Batorynu*, to jest, miodu syconego w roku założenia tam przez Króla Batorego bogatego *Collegium* Jezuickiego; którego miodu ogromna pipa, wisiała na łańcuchach w sklepach tego klasztoru. Przybyła beczka była kamieniem węgielnym dalszych zapasów sklepowych, i przyjęta z należytą rewerencyą, udzieliła się raz pierwszy w dniu tym uroczystym; potem na każdej onego rocznicy, a także na imieniny Zakonu, to jest, w dniu Ś. Ignacego Lojoli, i nakoniec dla chorych na febrę fundatorów, ich potomków, i szczególnych

(*) Wiadomość miejscowa prawdziwa.

przyjaciół klasztoru. Rozumie się, że co się wybrało, to się wnet dolewało najstarszym z kolei trojniakiem, i takim sposobem Batoryn trwałby w klasztorach litewskich *in saecula saeculorum*, gdyby same klasztory dotrwały.

Gdy przyszło do kassaty, żywili się sąsiedzi z rozmaitych zapasów klasztornych. Mój ojciec nieboszczyk, który, jako dyscypuł szkoły Żodzińskiej i najbliższy sąsiad, a zatem codzienny gość w klasztorze, kochanym był od wszystkich wyższego i niższego choru *Patrów* i *Fratrów*, dobrał się łatwo do Batorynu, i samą oryginalną beczkę, prawie pełną, otoczoną butelkami wybornego wina, jakby harmatę, ostawioną moździerzami, do swojego sklepu szczęśliwie przeprowadził.

Pamiętam dobrze, jak siedząc niekiedy na gan-ku domu, którego już niema, a sklepy tylko z niejakiem zapasem pozostały, ojciec mój pociągał z dobrými kilku przyjaciółmi jezuicki miodek, a rozmyślając nad upadkiem tak potężnego zakonu, którego był wielbicielem, kiwał głową smutnie, i wypróżniwszy hlaczek, z westchnieniem wołał: „*Vanitas vanitatis, et omnia vanitas!*” Próżność próżności, i wszystko próżność!

— Ojcie Bartłomieju! jeszcze jedną! —

— Smaczny! wyśmienity! ale, Mospanie, to nie lampeczka wody z jeziora Batorymi; więc lękam się.—

— Jak to z jeziora? — ktoś z nas zapytał.

— A tak, bo o kilka mil ztąd jest jezioro zwane Batoryno.—

— Jakaż przyczyna takiego nazwania?—

— Oto dla tego...—

— Odłóż na potem, stary gaduło, twoję legendę o wodzie, a nie lękaj się, i na moje słowo pij śmiało miodek — rzekł pan Tadeusz.

Kiedyśmy się uśmiechali, mrugnął na nas pan Tadeusz, i nalał staruszkowi drugą lampeczkę; a że i my swoje skończyliśmy, więc odkorkował butelkę wina, z której zapowiedziana woń myszki rozeszła się po pokoju. Nie dając nam czasu do wymówek, nalawszy kieliszki, podniósł własny w górę i rzekł wesoło i dobitnie:

No, Panowie!

Za tej zdrowie,

Z którą w parze

Przed ołtarze

Stań Hippolicie!..

I bądź szczęśliwy na całe życie!

Haust najszczerzy do kropelki
Za zdrowie...

— Aj! Helenki nie rymuje do kropelki!... to
ten miód przeklęty!.. Zaraz...—

— Owszem, podchwycił Hippolit:

Za zdrowie nadobnej Helki!—

— Wiwat! brawo! Za zdrowie nadobnej Hel-
ki!— I dodał znowu —

Niech będzie zdrowa
Podkomorzycowa!

Tém *ex promptu* podreperowałem się; i co
Wasanowie na to?—

Spełniony toast był odpowiedzią.

— A ty, stary przyjacielu, mówił Koniuszyc
do Bartłomieja, nie wypijesz tego zdrowia? Tyl-
ko ci doleję trojniaczku, abyś z pełnej zaczął, a
pij sobie pomaleńku.—

Posłuszny Bartłomiej rozpoczął dolaną lampe-
czkę zdrowiem panny Heleny.

Za zdrowie gospodarza spełniliśmy po drugim
kieliszku, gospodarz za zdrowie nasze; i gdy-
śmy wstawali od stołu, pan Koniuszyc, idąc za
powszechnym wtenczas zwyczajem: „Przepra-
szam, rzekł, panów za obiadek; lecz zresztą.

jeżeliście nie dojedli, to i tćm lepiej.— „*Pinguis venter non studet libenter*” — powiadał mój ojciec, wyprawując mnie do szkół; a ja powiadam, że i *non gaudet libenter*; bo człek, jak wóz obładowany, ciężko i powoli toczyć się musi....

Ach! już po waszćj dzisiejśzćj żegludze! rzekł znowu pan Tadeusz, spójrzawszy na Bartłomieja; sternika do łóżka sterować trzeba.— Jakoż drzemał w krześle starzec, postawiwszy niedopitą szklankę na stoliku; ocknął się wszakże na głos pana Tadeusza, chciał powstać, lecz nogi mu nie służyły i język się splątał. Wzięliśmy go więc pod ręce...— *Ułaż! Ułaż!* kochany Bartłomieju! — rzekłćm prowadząc go do alkierzyka na łóżko pani Stalewskićj. I szedł bez oporu, wymawiając tylko niewyraźnie:

— Pa-nie Ko-niu-szy-cu! je-zu-ic-ka sztu-ka! —

— Udał mi się wyśmieniecie figiel, rzekł pan Tadeusz, gdyśmy Bartłomieja położyli; wiedziałćm że po dwóch lampeczkach stary zaśnie, a za to jutro rzeźwiejszym będzie, jakbyś mu lat z dzieiątek ujął. —

— Aleś pomięszał nasze plany. Chyba że zaraz każesz zakładać konie i ruszymy lądem; bo

jutro Szambelan nas uprzedzić może — rzekł niepokojny Hipolit.

— Owszem naprostowałem plany, odpowiedział Koniuszyc. Uparty starzec gwałtemby się dziś wyrывał, nie dając nam się naradzić. Teraz zaś przenocujecie tutaj. Pomalenku i kategorycznie ułożymy plan regularny, i popłyniemy lub pojedziemy razem, czy osobno, jak wypadnie.—

Wkrótce rozmarzenie jakieś i nas obejmować zaczynało. Skarżyliśmy się na pana Tadeusza, że nas upoił...

— Nie lękajcie się, rzekł on, nie jesteście pijani, lecz tylko, równie jako i ja sam, senni. Przewidziałem dobrze co z nami po jezuickim trojniaczku nastąpić musi. Chodźcie na mój stary lamus; tam stary miodek wytrawim. Stalewska przygotowała już tam łóżka; bo i ona wie dobrze, co się zwykle z gośćmi memi po Batorynie, dzieje.—

Nakarmiony Azor po naszym obiedzie, znając powinność wiernego strażnika, powlókł się za nami, i ociężałym swoim korpusem drzwi lamusu zawałił.



XIII.

DZWONEK z wieży Żodziskiego kościoła zabrzmiał nam nazajutrz w uszach, gdyśmy odbijali na płytach od gościnnego domku Pana Tadeusza. Sta-
nęło na tem, że popłyniemy razem do Niestan-
szek, i ztamtąd także razem pojedziemy do Pań-
stwa Prezydentowstwa. Dla rozweselenia, jak
powiadał, żeglugi, Pan Tadeusz, z gitarą angiel-
ską pod pachą, wszedł z nami na płyty.— *Ułaż!*
Ułaż! krzyknął Bartłomiej; pośpieszajmy na mszę
do Żodziszek.

— Będzie późno — rzekł Hippolit niecierpli-
wy — do celu naszej podróży.

— „*Msza nie opóźni, jałmużna nie zuboży*” —
mówił Xiądz Błażej, Trynitarz Krzywicki, o któ-
rym wczora Panom wspomniałem; a doświad-

czyłem tej prawdy nieraz w mojem życiu i w moich włóczęgach. Wczora straciliśmy wiele czasu na bankiecie, a przespaliśmy jeszcze więcej, bo aż do białego dnia po bankiecie. Jest za co przeprosić Pana Boga, a zatem trzeba mszy wysłuchać, to i wszystko pójdzie pomyślniej... Niedługo, Mospanie, Żodziszki były naszą konieczną stacją żeglarską, mówił dalej Bartłomiej. Tu przypływaliśmy wszyscy i *staubowaliśmy* się pod kościołem. Najlepiej i najczęściej się zdarzało, bo miarkowaliśmy z miejsca, żeby tu stanąć w sobotę w wieczór, lub w niedzielę przed nabożeństwem. Każdy zatem sternik ze swoją czeladzią szedł na przód do kościoła na mszę śpiewaną z suplikacją i litanią do Wszystkich Świętych; każdy pomodliwszy się i odśpiewawszy gorliwie „*Święty Boże! Święty Mocny! Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!*” pewnym był, że mu Bóg po drodze poszczęści. Potem celebrujący, włożywszy na siebie bogatą kapę i zaintonowawszy po łacinie, szedł z processją i z krzyżem w rękę, otoczony assystencyą xięży i bractwem z chorągwiami, na strugi. Sypał się lud z kościoła, a nawet panowie i panie szli aż do brzegu, albo i na stru-

gi; bo każdy tak pięknie deskami przymoszczony był do brzegu, że processya bezpiecznie wejść nań mogła. Na pokładach przygotowano stoliki, białemi serwetami chłodogo przykryte, a na nich chleb, sól i woda do poświęcenia (*). Koleją wchodziła processya na każdy strug, cisnęło się pospólstwo, statek kołysał się na wezbranėj i głębokiej wodzie. Kapłan, odmówiwszy modlitwy, poświęcał naprzód wodę, potem tąż samą wodą poświęcił strugi, zładowane na nich zboże, i sternika, klęczącego z czeladzią, poświęcił także i pobłogosławił. Tak przeszedłszy wszystkie strugi, wychodził na brzeg, i jeszcze złamład krzyżem świętym nas zegnał. Natenczas odbijano od brzegu; razem na wszystkich statkach zaśpiewano pobożne pieśni, które sternik zaczynał, a czeladź chórem dopomagała.

Jeżeli wiosna była wczesną, a Wielkanoc późną, wtenczas każdy śpiewał co mu Bóg na myśl dał. Jedni „*Boże w dobroci nigdy nieprzebrany!*” drudzy: „*Zawitaj ranna jutrzeńko!*” inni znowu pieśń do którego świętego patrona, jak na przykład:

(*) Miejscowa wiadomość.

„*Xiążę Niebieski Święty Michale! Co ludzkie sprawy wazysz na szale*” i tym podobnie. Lecz gdy zaraz po Wielkiejnocy spław się zaczynał, natenczas po poświęceniu strugów, na wszystkich razem zaśpiewano: „*Wesoły nam dziś dzień nastal!*” i *Alleluja! Alleluja! Alleluja!* rozległo się na wszystkie strony... Aż miło było patrzeć i słuchać, aż dusza rosła, Mospanie, jak po szerokiej i bystrzej wodzie szły statki z rozpuszczonymi żaglami na wyprzodki, a wesoła pieśń Zmartwychwstania Pańskiego brzmiała wszędy; bo lud wracający z kościoła ciągnął obu brzegami rzeki i śpiewał razem z nami. A tak cała Wilia, na obu brzegach i środkiem, huczno i radośnie aż do wieczora śpiewała *Alleluja*; a nawet w nocy, na strugach i po okolicznych siołach, odzywało się jeszcze *Alleluja! Alleluja!*

— Oj!... tak, tak było dawniej!... dodał starszek, smutnie kiwając głową; było dobrze i wesoło na świecie!... a teraz!... pożał się Boże!... pożał się Boże!... Otoż i Żodziszki.—

Otoczony ciemnym jodłowym lasem, na wyniosłym brzegu Wilii, wznosi się frontem głównym ku niej zwrócony, obszerny i wysoki klasztor, nie-

gdys jezuicki, w kształt potrójnego krzyża zmurowany. Po skassowaniu zakonu (*), przeszedł on razem z dobrami doń należącemi w dziedzictwo Hrabiów Laskaryssów, ostatnich podobno potomków niegdys monarchicznej greckiej familii. Dwór ich liczny zajął jezuickie celki i komnaty; pękły klauzury, i po ciemnych kurytarzach, niedawno cichemi xięży rozmiarzanych stopami, przebiegały gładkie i młode dziewice, lub wesołych i swarliwych dworzan cisnęły się hurmy. Na rozłożystej kuchni trwał gęsty i nieustanny płomień po dawnemu; ale w obszernym refektarzu, zamiast skromnego zakonnego przy pożywaniu darów Bożych milczenia, przerywanego tylko uroczystym i poważnym głosem czytelnika Xiąg Świętych, brzmiały ochocze gwary, śmiechy i wiwaty wesołych rzeszy, zgromadzających się prawie codziennie do gościnnego domu Laskaryssów. Po brzegach nawet Wilii, gdzie niedawno między ponuremi jodły snuli się, jak cienie, ascetycznie i głęboko zadumani synowie Lojoli, teraz powiewały pióra i wstęgi, lub błyskały drogie ozdoby

(*) Historyczne.

pięknych głów i łabędzich szyi kobiet, świetnemi gronami falujących się nad rzeką i w rzece.

Lecz i to przeszło!... Gmach klasztorny, przetrwawszy te dwie ostateczności, stał się własnością, mniej dostatnich dziedziców. Pustki i ruina obejmowały go powoli; opuszczał się on i chylił ku upadkowi, jak starzec, który przeżył swoje potomstwo, i nie miał już troskliwej ręki, czuwającej około siebie. Zapadała jedna po drugiej celka; wiatr przez pokruszone okna i kominy wciskał się wewnątrz gmachu, i pogrzebowym tonem wył po pustych kurytarzach. Nocnice i nietoperze zajęły w siedlisko sklepy i poddasza; a nakoniec runął środek dachu, i rozbiwszy sklepienia, zasypał gruzami wielką okrągłą salę, niegdyś bibliotekę klasztorną, zaczynając zupełne zniszczenie od najszlachetniejszej części budowy.

W takim stanie półruiny, ujrzelśmy ten klasztor wpływając do boru, który go otaczał, a na przeciwnym brzegu, długą i głęboką ścianą przegradzał niegdyś i hamował wzrok Jezuitów, jeżeliby przeciw powołaniu swemu w świat odleglejszy zajrzeć chcieli. Ciekawość następnych po nich dziedziców, nie ścierpiała tej zasłony, i dłu-

gim, prostym a szerokim przerębem, naprzeciw klasztornego nad Wilią ganku, przedarła ją na połowę. Oko przezeń sięgając daleko, o milę dostrzega podróżnego z Wilna; i wzajemnie podróżny z Wilna, o milę powitać może białe mury klasztoru. Teraz też same białe mury, odbijając się od ciemnych jodeł, między którymi się wznoszą, żalobną oblekały się barwą, a przez kilkanaście spustoszałych okien i przez szerokie szczeliny w murze, zdawało się, że smutne jakieś widma, po starych zwykle włóczące się gmachach, urzekającym wzrokiem zajrzały nam w oczy, oniemiały nas, i przykuły do płytów, na których przesuwając się u spodu klasztoru, staliśmy niewzruszeni.

Stary Bartłomiej kiwał zawsze głową, powtarzając swoje—„Pożal się Boże!...Pożal się Boże!”.. Pan Tadeusz, po długim namyśle, naśladując Bartłomieja, kiwał także głową i niepomyślnie mówił proroctwo — „Pomaleńku, pomaleńku i kategorycznie... wszystko zapadnie!”...— Czeladź nawet cała, odjawszy ręce od rudla, obróciła się ku klasztorowi i osłupiały weń wzrok wlepiła, a płyty niesterowane same się po spokojnej rzece

niosły... Przerwał nakoniec powszechne milczenie nasze Pan Tadeusz, i rzekł:

— Mówiłem wam, że ojciec mój był uczniem i serdecznym przyjacielem Jezuitów! nie mógł on zapomnieć ich upadku.

— Na pamiątkę to zapewne, przerwałem, i beczkę Batorynu z ich sklepu dostał.

— A co Wasan rozumiesz? Przy każdym też zakosztowaniu z niej rozpamiętywał dzieje jezuickie, rozповідаł rozmaite o nich zdarzenia, a przy końcu hłaczka płakał nawet niekiedy.

— Jakąż przyczynę upadku ich naznaczał?

— Ot zwyczajnie złość i zazdrość ludzka, i nie więcej, jak mój tatulo dowodził, nie wdając się w dalekie rozważanie innych przyczyn, a których i ja po dziś dzień nie wiem. Czy nie pamiętacie nazwiska Papieża, który ich skassował?

— Klemens XIV, po nazwisku Ganganelli.

— A tak; tak go i mój ojciec nazywał. Otoż gdy Ganganelli myślał, rozważał i radził się ze swemi Kardynałami, jak ma z Jezuitami postąpić? gdy modlił się nieborak, błagając Boga, aby go w tym trudnym razie natchnąć i oświecić raczył; przyszło mu na myśl postanowienie, nie skasso-

wania zupełnego, lecz zreformowania Zakonu. Napisał więc projekt reformy, i z tym projektem posłał Kardynała jakiegoś do Jenerała jezuickiego, przemieszkującego zawsze w Rzymie, aby go do przyjęcia bez szemrania woli papieżkiej skłonił. Ale Jenerał przeczytać nawet nie chciał pisma tego; odsunął dumnie rękę Kardynała, podając mu projekt, i rzekł: „*Sint quasi sunt!*... *aut non sint!*”(*)—Zasmucony Kardynał odniósł papier i te słowa Ganganellemu, a ten powtórzył tylko ostatnie: „*non sint!*”... To „*non sint!*” padło piorunem na Jezuitów i odbiło się po całym świecie.

— Ha! więc własna ich дума zgubiła; i tego uporu chrześcijańskiego zakonnika nie mógł zapewne i ojciec pański pochwalić — rzekł Hippolit.

— Tak jest w rzeczy saméj; nie ma co tu chwalić; ale prostoduszny tatulek mój nazywał to wspaniałością animuszu, a Ganganellemu nigdy darować nie mógł, że taki *luminarz* w Chrześcijaństwie zagasił... Teraz gdy obaczę gdzie dawniejszy klasztor jezuicki, zdaje mi się zawsze,

(*) Historyczne — Życie Klemensa XIV przez *Carra-cioni*.

że widzę na facyacie *grandibus literis* napisane fatalne: „*non sint!*” i przypatrzmy się dobrze, czy i tu ich nie ma?

— Są, rzekłem, są, jako i nad każdą ruiną! jako i nad każdą mogiłą! jako i nad każdym dziełem ludzkim, które czas, lub sami ludzie, podniósłszy wprzód, obalili potem; jako nakoniec i nad nami samemi niezawodnie się wypiszą!...

— I dla tego — rzekł przerywając moje filozofię Pan Tadeusz, — trzeba mszy wysłuchać. *Staubuj* pod kościół, Panie Bartłomieju!

— Właśnie w czas świece gasić, gdy ludzie z kościoła wychodzą.

— To jednak rzekłem, zmówimy choć na progu naszą modlitwę, Panie Bartłomieju! „*Kto się w opiekę poda Panu swemu*”...

— Całem sercem, Panoczku, zmówimy! Oh! wczorajszego wieczora póki życia nie zapomnę! —

Zgadł Bartłomiej. Wyszedłszy na brzeg, znaleźliśmy kościół zamknięty. W dniu powszednim nie przedłużało się nabożeństwo; lud jednak z miasteczka zachował nałóg codziennego mszy słuchania, za Jezuitów jeszcze wkorzeniony, i dla tego widzieliśmy z daleka, jakby w uroczystość

lub w niedzielę, tłum płci obojęd wychodzący z kościoła. A więc my u progu nasze zmówiwszy modlitwy, na sam kościół rzuciliśmy okiem.

Różnica czasu i ręki budowniczej klasztoru i kościoła uderza tu wyraźnie. Pierwszy, jednocząc w sobie klasztorne razem i pałacowe formy, wydał epokę francuzkiego po całej Europie, a u nas saskiego budownictwa. Są to, a raczej były, trzy kształtne z podwojnemi wysokimi dachami pałacyki, niższemi kurytarzami połączone. Budowniczy myślał i znał, że pomieścić ma mężów, pobożnością i powołaniem z życiem zakonnem, a nauką, dostatkami i znaczeniem, ze światem połączonych; dał więc razem klasztor i pałace, spoił *utile dulci*. Pobożny zaś mularz kościoła, który pierwszego przynajmniej o wiek cały poprzedził, samą tylko trwałość domu Bożego mając na względzie, zmurował grube, fundamentalne, bez najmniejszej ozdoby, czworoboczne ściany; na nich z tyłu osadził i wzniosł kwadratową, basztę raczej niż wieżę. W strzelnicach pozawieszał dzwony; prostym jedno i drugie nakrył dachem, i żelazne na szczytach utkwivszy krzyże, otworzył wiernym dom modlitwy, którego poczernione mu-

ry zapowiadać zdają się, że pod tym znakiem świętej naszej wiary w późne przetrwają wieki. „*In hoc signo vinces*”.

Domysły nasze utwierdził Pan Tadeusz. On bowiem od ojca swego wiedział, że Żodziszki były jedną z najpóźniejszych w Litwie dla Jezuitów fundacją; że kościół i plebania świecka, dawno przed tém już tu istniały; że Jezuici, mając w klasztorze kaplicę do codziennego nabożeństwa, a uroczystości odprawując w parafialnym kościele, nie śpieszyli się z murowaniem własnego, którego budowa im dłużej się ściągała, tém wspanialszą być miała; że nakoniec już materiały przygotowywać poczęto, gdy owe nieszczęśliwe: „*non sint*” położyło koniec wszystkiemu.

XIV.

NIEDEŁUGĄ już miała być żegluga nasza. Gdyśmy zeszedli na płyty i odbili od brzegu, Hippolit dobywał zegarka, patrzył pokilkakrotnie godziny, okazywał mnie oną w milczeniu, a Panu Tadeuszowi powtarzał: „Spóźnimy się, Koniuszycu, spóźnimy się. Szambelan nas uprzedzi.

— A choćby i uprzedził, odpowiadał Koniuszyc, to nic nie szkodzi. Prezydentowa wie, że będziemy na obiad.—

Niecierpliwy jednak Hippolit nieustannie prosił Bartłomieja, aby pośpieszał. — *Ułaż! ułaż!* — krzyczał staruszek; lecz nakoniec znecierpliwiony także: „Proś Pan, rzekł, Wilii, aby szybciej płynęła; bo ja jój nie popędzę. — Skonwinkowany tym argumentem zakochany, usiadł spo-

kojnie na trójnożku i zapalił fajkę. Siedział już podobnie Koniuszyc i stroił gitarę; usiadłem i ja obok z Hippolitem, i także zapaliłem fajkę; a rzeka w tem miejscu zachylając się ku południowi i okrążając las, za którym zostają i nikną Żodziszki, na szczere wypływa pola. Przejmuje tu ją druga jej družba, czysta i piękna Oszmiana, którą Wilia przyjąwszy w siebie, nową wspomożona siłą, żywszym nas, gwoli życzeniom zakochanego Hippolita, unosiła nurtem.

— Wczora, ojcze Bartłomieju, rzekłem przerwając milczenie Hippolita i bzdrynganie na gitarze Pana Tadeusza, wspomniłeś nam przy trojniku Batorynie o jeziorze *Batoryno*; powiedziałeś nam historią o Pacu; powiedzże jeszcze i o Batorym. To nazwanie jeziora od niego musi pochodzić; gdzież ono się znajduje?

— Czy co o tém wspomniałem? Nie pamiętam. Ale musiałem wspomnieć, gdy dziś Pan mi przypominasz.

— Jezioro to może być ztąd odległe o mil sześć. Bywam ja na niem niekiedy, kupując sielawki i stynki na post wielki. Okolicznie tam starzy lu-

dzie powiadają, że niegdyś, a bardzo dawno, Panowie może lepiej wiecie kiedy, Król Batory był tu w Litwie z wielkiem wojskiem; a było to zimną. Noc miesięczna, księżyc świecił jasno, i rybacy na jeziorze, dociągając tonie pod wieczór zarzucone, zebrali się w jedno miejsce, gdzie niewód z pod lodu wychodził. Nagle od strony Miadziola postrzegli oni migające zdala błyski, które coraz się przybliżały i szły rzędem, jakby pochodnie przy kondukcie. Nie długo rozpoznali, że to pancerni maszerują przez jezioro, że to ich zbroje błyskają, i że zbłąkani, lub ośmieleni tęgiemi mrozami i grubością lodu, chcą dla skrócenia drogi przejść w poprzek jeziora. — Święty Justynie Miadziolski! ratuj ich! — krzyknęli rybacy przelęknięci; I o wiedzieli, że właśnie w tamtej stronie, jezioro głębokie i oparzyste nigdy mocno nie zamarza. Najmłodszy i najzwawszy pobiegli naprzeciw pancernych; ale jedni od drugich bardzo byli daleko. Na zamarzłym jeziorze o pół mili widać jak na dłoni. Krzyczeli także z całej siły, machali rękoma; ale chociaż noc była światłuteńka, nie to wszystko nie pomagało: pancerni w szeregu posuwali się na przed... Na-

gle jeden ogromny przeraźliwy wrzask, przerwany, jakbyś uciał, rozległ się po jeziorze... Pancernych już nie było!!! Z hukiem piorunowym pękał lód potem, i po całym jeziorze rysowały się szczeliny, a osłupieni rybacy stanęli jak wryci... Krzyknęli znowu, lecz postępować musieli powolniej i ostrożniej, bo szczeliny lodu coraz szersze aż do nich dobiegały. Nakoniec nadeszli do miejsca, gdzie obszerny przestwór wody, pływającymi bryłami lodu pokryty, jakby staw wielki, burzył się i szumiał wśród zamrzłego jeziora... Była to głębina, gdzie kilkadziesiąt konnych Króla Batorego pancernych załamało się... i w mgnieniu oka utonęło.

Rankiem mróz się wzmógł, obłami zaciągnął się lodem, i gdyby nie naoczni świadkowie, rybacy, niktby nie wiedział, gdzie się podzieli żołnierze, których wieczorem przez Miadzioł przechodzących widziano (*). Odtąd jezioro zowie się *Batoryno*; a długo potem nikt na niem ryb nie łapał, bo powiadano, że karmiły się ciałem topielców; co mogło być i prawdą, bo na wiosnę

(*) Miejscowa wiadomość i podanie prawdziwe.

ani jeden trup nie spłynął na wierzch, jak to pospolicie bywa; każdego bowiem żelazna zbroja z koniem do ziemi przyciskała.

Z czasem jednak zapomniano o wszystkiem. Nazwisko tylko jeziora przypominało to zdarzenie. Aż przed laty kilkunastu, jakby dla utwierdzenia, Mospanie, téj wiadomości, wyciągnięto w niewodzie wielki miecz zardzewiały, czarny jak rozeń, i kawał zbroi podobny do żelaznego garnka; a jakiś pan z sąsiedztwa, zbierający staroświeckie rzeczy, dobrze rybakom za te graty zapłacił. . . .

Na stos! na stos! Zagawędziłem się, Mospanie, i tylkom-co płytów na mieliznę nie osadził. Na stos! Ułaż!

—Niemają po Litwie jest pamiątek Batorego, odezwał się Pan Tadeusz. Mój ojciec wziął był dziedzictwem po stryju zastaw na dwóch majątkach w powiecie Borysowskim *sytnowanych*. Jeden zowie się *Stańkról*, a drugi *Milcz!* a oba winne swoje te szczególniejsze nazwiska Batoremu.

—Słuchajmy téj nowój historyi — rzekłem.

—A oto tak było. Król ciągnął z wojskiem i

szérokie drogi roztrzebiał przez lasy, w które i teraz Borysowski powiat obfity, a któremi natenczas prawie cały był zarosły. Groble krąglakami wyściełane po rojstach i trzęsawiskach, i studnie po lasach, Batorowskimi zwane, i teraz jeszcze tam okazują. Raz więc wojska stanęły noclegiem blisko folwarku jakiegoś szlachcica, i zatoczono obozy na polach i łąkach biednego chudopacholka. Swawolne, a może i głodne żołnierstwo, nie miało uwagi na krzyki, skargi i płacze jego; wyrznęło krówki i barany, dobyło się do spiżarni i spichrzów, i oczyściło je należycie; słowem, nazajutrz szlachcic mógł śmiało iść za wojskiem, bo w domu pustym nie było co robić. Wziąwszy więc żonę i drobne dziatki pod ręce, poszedł na gościniec przejmować Króla, którego przy wojsku natenczas nie było. Jakoż go doczekał (*)

Jechał konno Batory, otoczony świetnym orszakiem rycerstwa... Szlachcic powstał, zaszedł mu drogę, i zatrzymując konia — *Stać Królu!* — zawołał.

(*) Historyczne — miejscowe.

Król zdziwiony zapytał, czego by chciał? Natenczas szlachcic przełożył swoją krzywdę i zniszczenie. Żona i dzieci szlochały; szlachcic z płaczem powtarzał skargi i obliczał straty...

— Czémże cię mam nagrodzić i uspokoić?— zapytał Batory.

Szlachcic pomyślał trochę, i rzekł: „Ziemią, na której stoisz, Królu! boć twoja; to starostwo...—

— Bierz i *milcz*!— rzekł wspaniały Monarcha, zakreślając ręką w powietrzu jakby granicę darowizny.

— *Vivat Rex!*— wykrzyknął szlachcic uszczęśliwiony. — *Vivat Rex!*— powtórzyło rycerstwo.

Szlachcic zatem na darowanej mu ziemi założył w miejscu, gdzie Króla zatrzymał, jeden folwark, i nazwał go: *Stankról*; drugi zaś główniejszy, w dogodnej gospodarskiej pozycji, nazwał wyrazem królewskim: *Milcz*. Obadwa trwają aż dotąd.

Nie powtórzyłby zapewne treści tych historyj Hippolit, chociaż mu je nad uchem rozpowiadano; tak był zadumany i smutny. Kiedyniekiedy tylko dobywał zegarka, i spójrzawszy nań, kiwał

głową i wzdychał. Niespokojna wyobraźnia przedstawiała mu Szambelana przybyłego już do rodziców Heleny, oświadczającego się im... Helenę z płaczem i udręczeniem zgadzającą się na wszystko. Nakoniec Książdz Przeor stał mu w oczach jak mara.

Widząc stan ten jego, skinąłem na Pana Tadeusza i rzekłem: — No, kochany Koniuszycu, dajże nam dowód twego talentu, i przerwij dumanie Hippolita jaką wesołą piosenką.

— Dobrze. Na tom przecie wziął gitarę. Ale porzuć, Podkomorzycu, tę minę utrapioną. Ożenię cię z Helenką. Daję ci na to *verbum nobile*. Szambelanowi, jeżeliby był uparty, pokazemy nasze *Kuchenrejtery*.

— Wszakżeś sam mówił, że Szambelan nie wyjdzie, choćby sto razy wyzywany.

— A po diableż temu pokazywać, który wyjdzie? Tego wyzywaj, który uciecze; to rostopnie! Bądź jednak spokojny. Pomalenku i kategorycznie dojdziemy swego. „*Amor probatur in adversis*, to jest: *pieczone gołąbki nie lecą do gołąbki*. A tymczasem zaśpiewam wam piosenkę na pochwałę stanu małżeńskiego. To jednego utwierdzi, drugiego zachęci.

— A Pana samego?

— *Praeteritum plus quam perfectum*, jakem to już wam powiedział — rzekł marszcząc brwi Pan Koniuszyc: i nakoniec przeprobował w kilku akordach gitarę, mocnym, czystym i męzkim tenorem zaczął piosenkę:—

„Póki myśli w pustém sercu

„Świszeją jak wiatr w pustym domu,

„Póty słowa o kobiercu

„Człowiek wspomnieć nie da komu;

„Póty śpiewa *vivat* ja!

„*Vivat* główka ty moja!

„Lecz gdy rozum doświadczony

„Siądzie jak gospodarz w głowie,

„Trzeba żony! trzeba żony!

„Trzeba żony! on ci powie,

„I zaśpiewa *vivat* ja!

„*Vivat* żonka ty moja! (*)—

Nóta tej piosnki jest prawdziwie rodowitą litewską: tony długie, pełne, mało z początku rozmaite, oktavami tylko odpowiadające sobie nawzajem, wzmagają się coraz i zlewają dobitniej ku końcowi sztrofki; a cała moc głosu, cała siła męzkich piersi, jednoczy się na ostatnie dwa wier-

(*) Dawny *text* światowy.

sze składane, jak widać, do chóru swobodnej drużyny. Wesoły kompozytor miał na myśli „*hukniem razem*” gdy nótę do tego „*Vivat ja*” układał... i dla tego ono wypadło z ust Koniuszycza jak wystrzał rakiety, ognistym szlakiem wylatając w górę... tam na drobniejsze rozpierzchało się tony, i spadało potem echem na rzekę i brzegi ją lasy i jary... Dla tego gdy drugą sztrofkę zaczął Pan Tadeusz, to „*hukniem razem*” warzyło się już nam w piersiach, i na drugim „*Vivat ja*” wybuchnęło z zapalem i połączyło się do chóru. Tak za jednym wesołym wykrzykiem znikł smutek Hippolita; Bartłomiej na każdy *vivat* uderzył rudlem po wodzie i szumem Wilii nam wtórował; Jakóbek nawet, stojąc za nami na jednej nodze, śmiał się sam nie wiedząc z czego, ale jednak serdecznie.

Taką wesołą i głośną kalwakatą posuwaliśmy się między malowniczymi brzegami Wilii, na któreśmy znowu minawszy pola wpłynęli. Pan Tadeusz w coraz lepszy wpadając humor, i skończywszy apologią małżeńskiego stanu,— teraz, rzekł, zaśpiewam wam pochwałę wieśniaczek naszych. —

Puszczając zatem niedbale wszystkie razem palce po strónach gitary, luczny akordem wtórował skocznej piosence —

„ Jeśli rajem jest Warszawa ,
 „ Ja wieś nazwę niebem :
 „ Tam nie dają darmo wody ,
 „ Tu częstują chlebem .
 „ Tam serwatkę drożej płacą ,
 „ Niżli tu śmietana .”

*Tu Helunia gdyby róża
 Nie dla Szambelana !*

A co Wasanowie na to? *Ad casum i ex promptu!* —

— Prawda; bo w oryginale jest, jak mi się zdaje — „*Tu dziewczyna gdyby róża, a lam malowana.*”

— A tak, tak; ale wierszyk jak proroctwo wymknął się dla Podkomorzycy. —

Dalej rozochociwszy się Pan Tadeusz i podszedząc się do podskoku, a tupając nogą, śpiewał —

„ Odrzuciwszy wszystkie względy
 „ Światowe na stronę ,
 „ Wolę zmlódu w mieście bujać ,
 „ A na wsi brać żonę .”

Gitara brzęczała głośno, a Jakóbek skakał za Panem Tadeuszem, bijąc rękoma po piętach.

— Otoż i Niestaniszki! zawołał Bartłomiej, przerywając muzykę, śpiewy, śmiechy i skoki. Aż mi żal, że się z kochanemi Panoczkami memi rozstać muszę... A któż wie czy już się zobaczymy? Ja stary... Gdy posłyszycie, że umarłem, to przynajmniej pamiętajcie o duszy Bartłomieja sternika..—Uścisnęliśmy serdecznie pocziwego starca.

— Co tam pleciesz o śmierci? To mi w czas, kiedy my o weselu zamyślamy! Owszem powracaj zdrów z Królewca, nie opóźniaj się, abyś trafił przed weselem, na które cię zapraszamy.

— Przed niewodem rybę łowisz, Panie Koniuszycu Dobrodzieju! Wszelakoż i ja mam dobrą nadzieję... Niech wam Bóg szczęści i błogosławi... *Staubuj! Staubuj!*—

Jeszcze więc raz podbiliśmy się pod parów przerynający gaj dorodnych sosen, z których jedna najstarsza, siedząc na najwyższym i najwęższym cyplu parowu, jak stara stuletnia babka otaczającej ją dziatwy, podrywana ze spodu, dawnoby zeschła i runęła, gdyby poplątane familijuemi ogniwami liczne jej potomstwo, i oczepione za jej nogi, nie utrzymywało ją na brzegu i nie karmiło ją na starość z własnych alimentów.

Pod tę weterankę lasów nadwilejskich wysiedliśmy na brzeg, i pięknemi ścieżkami, któremi właściciel parów ten ozdobił, przeprowadzani przez Bartłomieja, i Jakóbka postępującego na czele całej żeglarskiej drużyny, doszliśmy do miejsca, gdzie nas pojazd Hippolita i służba oczekiwały. Jakóbek i towarzysze odeszli z pół drogi uradowani naszym gościńcem. Bartłomiej szedł dalej, i na samą wzmiankę podarunku, jaki mu uczynić chcieliśmy, odstąpił w tył i rzekł wzruszony — Jakto? Panicze i na moję starą głowę nie pamiętacie?... Chcecie mnie kilką rublami z waszjej łaski i z waszjej pamięci skwitować! Nic z tego nie będzie, kiedym ja na to już nie zasłużył... — Nie daliśmy dokończyć staremu, ponowiliśmy nasze uściśnienia. Starzec się rozrzewnił.

— Zapewne jeszcze się dziś zobaczymy, rzekł Pan Tadeusz. Nie możesz minąć domu Prezydenta.

— Owszem, muszę minąć; bo raz tam zaszedłszy, nie mógłbym prędko porzucić. Nazad idąc, nie minę moich dobrodziejów. Teraz przepływając przeżegnam ich tylko, i westchnę do Boga na waszę intencję.



XV.

Już była godzina dwunasta; nie mieliśmy więc czasu do stracenia. Co najrychlej zatem zmieniliśmy toaletę, i wnet lecieliśmy po gościńcu, wiodącym do celu naszej podróży. Milczeliśmy wszyscy. Pan Tadeusz szczególnie był zadumany.

— O czem?— zapytałem.

— Widzisz Wasan, odpowiedział, przemysliwam, jakby nam pomaleńku a gładko pozbyć się kochanego Szambelana, i zostać panami placu.

— To będzie zatrudno, zwłaszcza w rychłym czasie.

— Pomaleńku... i kategorycznie.

— Jakimże sposobem? zmiłuj się, kochany Koniuszycu!— zapytał Hippolit.

— Zbliżamy się, nie czas więc rozpowiadać. Na swoim miejscu obaczemy.

Pół mili w krótkim czasie przebyte: cztery dzielne kasztany niosły nas pędem wiatru;... lecz wjeżdżając w brzozową ulicę, postrzegliśmy sześć siwych z tamtej strony Wilii, któremi Pan Szambelan z Księdzem Przeorem do brzegu dojeżdżali. My tymczasem stanęliśmy pod gankiem.

Wysiadając, rzekł zcicha Pan Tadeusz do Hipolita:— Podkomorzycu! pamiętaj, że „*Audaces fortuna juvat*”; toż samo po polsku: *dobra mina to grunt!*—

Spotkał nas w sieniach Pan Prezydent, wychodzący bodaj na spotkanie Szambelana; bo zdziwiony, gdy nas ujrzął,— niespodziani goście!— zawołał. Z czego poznaliśmy także, że Prezydentowa nie powiedziała o przybyciu naszym.

Weszliśmy do pokojów i nie znaleźliśmy ani Prezydentowej, ani Helusi.

—Wjeżdżając w ulicę, widzieliśmy odezwał się Pan Tadeusz, dojeżdżający do promu jakiś piękny ekwipaż: sześć siwych koni i kocz.

—To pewnie Szambelan, odpowiedział Prezy-

dent; bo ma tu dziś być na obiedzie z Księdzem Przeorem.

—Czy znowu względem interesu?..—

—Nie, nie, przerwał Prezydent z niejakim przymusem; owszem... to się jakoś ułoży... Nie-ma co o tem wspominać.

—A jednakowoż miałbym słów kilka pomyślnych powiedzieć Panu w tym interesie — mówił Koniuszyc, spójrzawszy na nas z ukosa. Zrozumiano.

—A więc Panowie, rzekłem, gadajcie sobie o interesie, a my nie przeszkadzając pójdziemy dam poszukać.

—Nie, Koniuszycu, to i potem... Proszę Panów...— jąkał się niespokojny Prezydent; ale my już byliśmy w ogrodzie.

—Cóż tam za pomyślność mnie przywozisz? Panie Tadeuszu!— zapytał Prezydent.

—Nic nadto osobliwego; tylko chcę uwolnić Pana od natrętnego kredytora. W każdym czasie możesz mieć pieniądze na zaspokojenie Szambelana; a zatem... w dalszych jego projektach...—

—Obaczemy... obaczemy... mówił Prezydent,

patrzac ciągle w okno. A zkadze te pieniadze? Moze wpadne z deszczu pod rynę?—

— Nie lekaj się. Wydasz oblig na moje czy na Pana Ignacego imię. Zda się, że obu nas masz za prawdziwych swoich przyjaciół.—

— Cóż znowu? Obadwaście goli. Zkadze te kapitały? Domyślam się... Nie wiem... nie wiem... Słuchaj Koniuszycu, powiedz mi, tylko szczerze, zkad wam przyszła dzisiejsza tu wizyta?—

Patrzył w oczy Panu Tadeuszowi Prezydent, oczekując odpowiedzi. Pan Tadeusz spuścił oczy.

— Pomalenku... pomalenku i kategorycznie... A gdybym zapytał Pana wzajemnie: zkad dziś przyszła wizyta Szambelana? A co Wasan na to?—

Teraz Pan Tadeusz patrzył w oczy Prezydentowi, a Prezydent spuścił oczy.

Oba milczeli. Prezydent znowu zwrócił się do okna, a Pan Tadeusz wyszedł.

My weszliśmy do ogrodu.— Cóż nas bardzo zimno przyjął gospodarz — rzekł Hippolit.

— Nic dziwnego. Obaczył niespodzianych i niewczesnych gości.—

Wtem na zawrocie ulicy postrzegliśmy Helene z małemi siostrzyczkami. Hippolit wstrząsł się,

jak iskrą elektryczną uderzony. Podeszliśmy prędkiej. Dziewczyna miała oczy podbrzękłe i spłakane, lica blade, które za zbliżeniem się naszym żywym oblały się rumieńcem. Hippolit z uniesieniem całował jęj rękę; siostrzyczki skakały i czepiały się koło mnie; szliśmy tak szeroką ulicą ku fórtce ogrodowej, otwierającej się na łąkę, którą czytelnik przypomni.

Byliśmy o dziesięć kroków od fórtki. Hippolit z Heleną poprzedzali nas, i on, ujawszy rękę kochanki i podnosząc ją do serca,— dziś, rzekł, droga Heleno, ma się los mój...—

Wtém nagle fórtka się otworzyła, i Pan Szambelan z Księdzem Przeorem zjawili się przed nami.

Helena odjęła rękę swą z rąk Hippolita. Dzieci krzyknęły, a wszyscy stanęliśmy niewzruszeni.

— *Malum signum!* rzekł Ksiądz Przeor, zdawało mu się że zcicha, i pokręcał głową. Pan Szambelan dobył złotej tabakiery, a ja podszedłem do przywitania gości.

— A! witamy Panów. Nie spodziewałem się prawdziwie...—

— I ja nie spodziewałem się prawdziwie... — przerwał Pan Szambelan, pociągając kilkakrotnie

tabakę, i patrząc na Helenę i Hippolita... Wtém żywo postąpił na przód; więc obejrzałem się, i postrzegłem Prezydentowstwo oboje z Koniuszycem zbliżających się ku nam. Wszyscyśmy się więc obrócili i zaszli im drogę.

Prezydent powitał najuprzejmiej Szambelana i Księdza Przeora; o Hippolicie i o nas jakby zapomniał. Natomiast Prezydentowa uścisnęła mnie jak syna, a Hippolitowi kilka słów przychylnych powiedziała. A tak wszyscyśmy się poprawili na humorach. Nawet Szambelan zapominać zdawał się o *malum signum*.

— Wyglądałem kochanego Szambelana od godziny, rzekł Prezydent, tém bardziej, że ci Panowie, którzy tu niespodziewani tylko co przybyli...—

— I nie proszeni — szepnął mi na ucho Koniuszyc.

— Powiedzieli mnie, że widzieli jakiś piękny ekwipaż, zbliżający się do promu. Rozumiałem więc, że to Pan przybywasz, i dziwiłem się, że się tak późnisz. Aż tu nam Pan przyjacielską siurpryzę uczyniłeś.—

— Ale jako żywo? Właśnie to mój ekwipaż

Ichmość widzieli: sześć koni siwych, których z własnego stada wybrałem, i ujeżdżać kazałem do karety, a dziś pierwszy raz poszły w regularnym zaprzęgu, w kocz.—

— A więc zapewne rozswawoliły się na promie. —

— Jako żywo? Imajnujcie sobie Państwo, to awantura! Kiedy podjechalśmy do rzeki, ukazały się na niej zdaleka płyty. Nim prom nam podano, nim konie i kocz na nim umieszczono, płyty tak się zbliżyły, że trzeba było koniecznie pozwolić im przejść pierwój. Nie kontent byłem z tej mitręgi i krzyczałem na sternika, stojącego na przodzie, aby pośpieszał. Podjął on łysą swoją głowę i przypatrywał się nam ciekawie; potem krzyknął po razy kilka — *Na stos! na stos!*— i sam silnie rudlem robić począł. Płyty, na prawo się zwracając, szybczej popłynęły. Pomysłiliśmy więc, że sternik rychło i zdaleka chciał nas obminąć, ale wnet przewoźnik krzyknął nań z promu — Panie Bartłomieju! nie bierz tak *na stos*, bo zbijesz przypromek i sam siądziesz na piasku;— a ledwo to wymówił, już się tak i stało. Niezgrabiasz ten uderzył swoim płytą w ca-

łym pędzie o przypromek, zbił go i przewrócił, a sam zarył się na mieliznie; ja ledwo nie pękłem ze złości...—

Spójrzeliśmy po sobie z Hippolitem i Panem, Tadeuszem, bo poznaliśmy przysługę Bartłomieja. On pamiętał, że Hippolit lękał się być uprzedzonym przez Szambelana...

— Łajałem od czci i od wiary niegodnego starca; a tymczasem przewoźnik nasz przepłynął na czółnie. Rozumiałem, że się pobiją; ale gdzież tam? Jak na złość nam ścisnąć się zaczęli, a przewoźnik ani myśląc o prędkiej reparacyi przypromku, odwrócił się do nas, oświadczył, że nażądzenie przewozu aż do wieczora potrwać musi, i że radzi nam zwrócić się na Niestaniszkę, gdzie także jest prom wysmienity. Rady sobie dać nie mogłem, bo i niecierpliwość, i złość, i mitręga. Przecię Ksiądz Przeor poradził, abyśmy czółnem sami przejechali, a kocz i konie odesłali na Niestaniszkę. Zgodziłem się tém chętniej, że chciało mi się rozmówić z Panem Bartłomiejem i nauczyć go sternikowstwa. Ale widać domyślił się stary, że to nieprzeliwki; bo nim my zwrócili konie i do czółna weszli, on łatwiutenko ze-

pchnął swój płyt z piasku, krzyknął — *Ułaż!* — obrócił się potem ku domowi Państwa, nie wiem dla czego przeżegnał go, i usiadłszy na stołeczku, zapalił fajkę i popłynął sobie szczęśliwie; a gdym mu choć zdaleka trzciną groził, jakiś drażgał kłaniał nam się niezgrabnie, a razem skakał i śmiał się. —

Znowu spojrzeliśmy na siebie, bo odgadliśmy Jakóbka.

— Imajnujcie sobie Państwo taką awanturę! Jak namówieni. Chyba ja ich nigdy nie złapię! —

Weszliśmy do sali, gdzie nas już waza czekała.

Zasiedliśmy więc do obiadu: stół był podłużny. Gospodyni zajęła pierwsze miejsce. Prezydent posadził przy niej Szambelana; a tak główny bok stołu został zajęty. Posuwając i pociągając nieznacznie Helenkę, Prezydent umieścił ją na początku linii drugiej od strony Szambelana, to jest, przy nim, przedzieloną tylko rogiem stołu; przy niej z kolei Księżdz Przeora, sam usiadł obok, a dalej dziatwa. Naprzeciw tego manewru zręczne także wybraliśmy pozycye; bo z drugiej stro-

ny przy Prezydentowój, Koniuszyc zrozumiałwszy taktykę Prezydenta, umieścił Hippolita; przy nim sam usiadł, ja obok Koniuszyca, za mną druga partya dziatwy. Hippolit więc był naprzeciw Heleny, i żadne jój wejrzenie nie było mu straconém; wzrok jego owszem mógł razem pieścić kochankę i drażnić ukosem rywala. Roskosz równa podobno, choć z przeciwnych źródeł płynąca. Koniuszyc Przeorowi patrzył w oczy. Ja miałem na baczości wzrok gospodarza.

— Dziwna to jednak rzecz, odezwał się Prezydent, że Bartłomiej, który od lat kilkudziesiąt sternikiem, i który niegdyś strugi bez przypadku aż do Królewca przeprowadzał, dziś z prostemi płytami tak niezgrabnie się znalazł; i wątpię nawet czy to on był? bo to stara nasza znajomość. On nas nigdy nie mija.—

— Że on rzeczywiście, odpowiedziałem, to my najlepszymi świadkami, bośmy cały dzień zawczorajszy z nim razem płynęli, z nim nocowali, z nim wczora do Pana Koniuszyca przybyli, a dziś i Koniuszyc, dotrzymując nam kompanii, płynął razem aż do Niestaniszek, gdzieśmę Bartłomieja pożegnali. Możemy też zaświadczyć o jego prawdzi-

węj wdzięczności i przywiązaniu dla Państwa, za dobrodziejstwa, w jego chorobie mu wyświadczone. —

— Nie może on zapomnieć i ze łzami nam rozповідаł, rzekł Hippolit do Prezydentowej, z jaką troskliwością zajmowałaś się Pani leczeniem jego, i z jaką anielską dobrocią Pani, (zwracając słowa do Heleny), pocieszałaś go. —

Wejrzenie Helusi zapłacało Hippolitowi.

— Cóż to było? i dla czegoście Panowie plynęli z Bartłomiejem? — zapytał znowu Prezydent.

— Polując nad brzegiem Wilii, ujrzelśmy go na płytach. Chęć rozrywki i chęć Hippolita obejżenia pięknych brzegów Wilii, podały nam projekt wproszenia się doń i płynienia razem, a konie wysłaliśmy do Niestaniszek. —

— To wielka determinacya Ichmościów, odezwał się Szambelan, płynąc z takim niezgrabnym sternikiem. Chybaście Ichmość ufali w przysłówie: „co ma...” —

— Co? — przerwał Hippolit. I tém jednym — co? — przeciął mowę i przyciął usta Szambelanowi. Oh! wieleż to w tych dwóch literach było niewiści, grozy, poniewierki i zapachu!

• — Pomaleńku, rzekł zeicha Pan Tadeusz do Hippolita, pomaleńku!—

— A wiesz, Szambelanie, mówił on, że przyszłowie, któreś miał na ustach, nie tak tych młodych Paniczów, jak bliżej nas z Panem się tycze?—

— A to jak?— zapytał zaambarasowany Szambelan.

— Oto tak. Chciałeś powiedzieć: „*co ma wisieć nie utonie.*” Ale może nie wiesz, że to jest pierwszy wierszyk piosenki takiej—

„Co ma wisieć nie utonie.

„Los się z ostrożności śmieje.

„Nie dodawaj stróżów żonie,

„Bo i stróże są złodzieje!”

— A któż stróżów dodaje żonom? — naturalnie stare marcowiki, tacy jak ja i Pan, gdy ich napadnie chęćka żenienia się z młodem dziewczętami. Druga sztrefka jeszcze gorzej nam przy-
mawia —

„Z szklanką nie trzeba żartować,

„Bo się stłucze, gdy upadnie.

„Młodej żony nie probować,

„Bo któż przyszłe skutki zgadnie? (*)—

(*) Dawna piosenka.

— Mogę to Panu zaśpiewać po obiedzie, bo mam z sobą i moję gitarę.—

Tu wzroki krzyżowały się, jak strzały: Prezydenta i Szambelana, podwójnym a ciężkim grotem uderzyły się w Koniuszyca, ale odbiły się od jego czoła, jak od stalowej tarczy; Hippolita ostrzy i szyderczy utopił się w Szambelanie; Panna Tadeusza rozstrzelił się na wszystkie strony, jak szrót z rozsypującej broni; mój uderzył w sufit, a Księdza Przeora, który mało dosłyszał, a mniej podobno zrozumiał, padł na ogromnego szczupaka, którego właśnie wniesiono.

— *Magnificus! Magnificus!* — wykrzyknął Przeor.

— Zaczynajże go, *Reverendissime!* — rzekł Prezydent, zwracając blat ku niemu, ukontentowany sam, że niechętnie domówki wzięły koniec.

— „*Lucionem a cauda, carpionem a capite lauda!*” — rzekł na to Przeor, zatapiając nóż w szczupaku i krając sobie porcyę podług przyśłowia.

— Tak, tak, mówił gospodarz; i po tém przyśłowiu idzie wraz drugie, które wypełniać należy—

„Post pisces, vinum mices.

„Si non mices, ingemices.”—

— Wczora i jednego i drugiego przysłowia, rzekł znowu Przeor, probowaliśmy na karpriu i na węgrzynie u Szambelana, a dziś tu wypróbujemy na szczupaku.—

— I na francuzkiem wprawdzie, ale niemłodem winku, rzekł nalewając Prezydent; a tak doświadczenie będzie zupełne.—

— W moich kanałach mam mnóstwo karpów; nietrudne więc obiady na piątki i soboty, odezwał się Szambelan. Jeżeli Prezydentowa Dobrodzika pozwoli, to rad będę żywemi karpiami przed każdym postem przysłużyć się.—

Prezydentowa skinęła grzecznie głową. Tą gospodarską wygodką Szambelana nagle zaskoczony Koniuszyc, nie mógł się od razu złożyć; ale niedługo wszakże bił na odwrót; uśmiechnął się wnet, złapawszy plan odporny, i rzekł — Podkomorzyc kochany, zimą zasypie nas sławną trocką sielawą, której zapewne we własnych jeziorach ma dostatek.—

Szczęściem Hippolit mógł bez kłamstwa potwierdzić wyzwanie Koniuszycy.

— W Trockim, rzekł on, tak wielka jest liczba jezior, że przysługa moja Państwu byłaby nader dla mnie łatwą.—

— At, dla wszystkiego zapytam się, pomyślił Prezydent, i zapytał— Pan ma własne jezioro?—

— Mam ich kilka — odpowiedział Hippolit.

— To Pan musisz mieć wielkie dobra w Trockim?— dodał Szambelan z niejaką ironią.—

— Mniejsze daleko od Pańskich tutaj.—

Na tém się utarczka przerwała, i do końca obiadu obojętną rozmowę przeciągali jakkolwiek Przeor z Panem Tadeuszem. Wprawdzie Szambelan odezwał się razy kilka do Helusi, ale odebrał parę *tak, tak*, niewartych ani jednego rzutu jej oka, które przypadkiem zapewne padały na Hippolita.

Nakoniec dał się słyszeć turkot pojazdu na dziedzińcu, i my wstaliśmy od stołu.

— To zapewne moje konie nadeszły — mówił Szambelan.

— Każde szanowny Panie, odejść im do stajni.—

— Z ochotą. Lecz może Państwo Dobrodzieje raczycie obejrzeć moje sześciórkę? Każę objechać po dziedzińcu.—

— Dobrze, rzekł Prezydent, pójdziemy.— Ale sam tylko on wyszedł z Szambelanem i z Przeorem na ganek. Damy poszły do pokojów, Hippolit za niemi, a Koniuszyc skinął na mnie, i wyszliśmy do ogrodu.

— No! rzekł on, nie daliśmy się pokonać w małych potyczkach.—

— Owszem, rzekłem, wyszliśmy zwycięzko; stałaś dzielnie, i dałaś odrazę nieprzyjacielowi.—

— Tak, ale to jeszcze nie przykładu się do zupełnej wygranej. Nieprzyjaciół stoi jak za murem, za ojcem, i ten go do ostatka bronić będzie. Czas nagli; pomalenku więc i kategorycznie opowiem ci moje plany, które wraz wykonywać potrzeba, bo na palcu Szambelana niedarmo błyska diament. On, nie uważając wcale na nas, i ośmielony tak widoczną preferencyą dlań Prezydenta, lada chwila oświadczy się.

— Musielibyśmy więc i my wystąpić.—

— Miałem ja, gdyście wyszli do ogrodu, konferencyą z Prezydentową. Ona jest całém sercem za Podkomorzycem, i powiedziała mi nadto, że Helusia wyznała jej dlań swoje skłonność. Jednak biedna dziewczyna gotowa pójść za wolą ro-

dziców, i starać się będzie zapomnieć jego, kiedy taka będzie wola Boża. Jeżeli więc podwójne nastąpią oświadczenia, wszyscy będą w kłopotcie, a w największym Helusia. Ten głupiec jak znacznie sypać zapisami, brylantami, folwarkami, może aż do inwentarzów przyjdzie; bo jak ja z gitarą, tak on wozi się zawsze z tabelką swojej intraty, i pewny jestem, że i teraz ma ją za nadrą; a Prezydent, zakładając szczęście córki na bogactwie, gdy tylko odkryje swe życzenie w obecności Szambelana, to on na nic nie zważając, potraktuje pannę pierścieniem. Matka będzie płakać, ale naprzeciw mężowi nie wystąpi; i kiedy najlepiej wykierujemy się, to wyjdą obie strony na odkład, a z odkładu *niema ładu*! A co Wasan na to?—

— Nie, Koniuszycu! Znam Hippolita. Prędzejby odszedł w milczeniu i wyzwał potem Szambelana, niżeliby narażał Helenę i jej rodziców na takie przykre koleje.—

— No, to znowu awantura, i nic potem. Więc w tém cała nasza nadzieja, aby Szambelana nie dopuścić do oświadczenia się, i aby on sam wyrzekłszy się wszystkiego, *proprio motu* zrejtero-

wał się sobie szczęśliwie; a wtenczas nikt, spodziewam się, nie popędzi się za nim. Otoż cała *sapientia* mojego planu, do którego wypełnienia masz należeć natychmiast.—

Tu mi wytłómaczył dokładnie wszystko, co miałem czynić i mówić, ukazując topograficznie po ogrodzie ścieżki, po których postępować byłem powinien.

— A Pan sam?— zapytałem.

— Co Wasanu do tego? Dość ci wiedzieć, że fałszu w moim planie ani trochę niema. Resztę liczę na głuchocie szanownego Przeora. Wracajmy. Szepnij Podkomorzycowi, aby był cierpliwym, i zajął przez jakie półgodziny Prezydenta opowiadaniem o swoim gospodarstwie w Trockim.—

Gdyśmy weszli do sali, znaleźliśmy w niej Szambelana, odbywającego tajemną konferencję z Przeorem. Szambelan szeptał mu na ucho.

— Dożywocie! krzyknął Przeor; rozumiem!...—

— Cicho, *Reverendissime*, cicho!

— A jaż cicho i mówię.—

— Słyszysz? szepnął do mnie Koniuszyc. Ani chwili do stracenia, bo wypali... Bierz go na konfessatę.—

Weszliśmy jednak razem do pokojów. Tam matce i córce, siedzącym razem, łączy się w oczach zwiły. Prezydent milczał, a Hippolit roztargniony rzucał słowa bez związku i bez myśli... Chwila stanowcza widocznie się zbliżała... Wstał on, gdyśmy weszli, i na skinienie moje poszedł za mną do drugiego pokoju.

— Na miłość Boga! co będzie? dla czego mnie opuszczacie?— rzekł cały wzruszony.

— Gdy ja i Koniuszyc wyjdziemy z pokojów, zajmij na półgodziny Prezydenta jakakolwiek interesowaną dlań rozmową, na przykład o gospodarstwie; bądź cierpliwy, a reszta... jak Bóg da.—

Wyrwałem rękę zatrzymującemu mnie Hippolitowi, zwłaszcza że Koniuszyc rzucił na mnie bystrym okiem, i wyszedłem do sali; a zebrawszy całą wyśł na instrukcyę Pana Tadeusza, przystąpiłem do Szambelana.

— Pozwoli Szambelan Dobrodzięż o kilka chwil czasu. Mam do Pana trochę interesu.—

— Prawdziwie czy nie możnaby odłożyć. Właśnie potrzebujemy wejść do pokojów i... zabawić damy.—

— Wszakże nie są same jedne, a mój interes

jest razem i Pańskim. Wreszcie długo Pana nie zatrudnię.—

— Cóż mam robić kiedy tak koniecznie? Wraz powrócę;— i głośniej dodał — *Reverendissime!* zaczekaj tu na mnie.—

Wyszliśmy więc do ogrodu z Panem Szambelanem.

Ogród staroświecki Państwa Prezydentów zarosły był kilką długimi i gęstymi szpalerami z lip starożytnych, około których po obu stronach szły drożki, i kilka ławek drewnianych do odpoczynku. Na prawą stronę jednego z tych szpalerów zwróciłem Pana Szambelana, tak, że się nam zakrył szpalerem dom i wejście z sali do ogrodu.

— Cóż tedy masz mi Pan powiedzieć? — zapytał niecierpliwie Szambelan.

— Usiądźmy, rzekłem, na ławeczce. — Usiedliśmy.

— Proszę nie zwlekać — rzekł on znowu.

— Bynajmniej.—

Myślałem jednak, że mi czas przedłużać trzeba

jak nauważniej, nim Koniuszyc nie da jakiego hasła, bo nie wiedziałem jego roli.

— Pan masz kilka tysięcy rubli u pana Prezydenta? —

— A panu co do tego? —

— Niech się pan nie gniewa. Czy pan się zgadza na przelew tego kapitału? —

— Dziwna propozycja! —

— Nie tak bardzo, Mości Szambelanie! pan przed kilką dniami upominałeś się o ten kapitał u Prezydenta. On szukał przyjaciół, którzyby go wspomogli. Ja mam honor liczyć się w ich rzędzie, a zatem... —

— Ależ ja nie myślę handlować obligami, Mości dobrodzieju, i otwarcie mówiąc, wolę mieć oblig Prezydenta niż pański. —

— Ja też nie myślę takiego handlu panu proponować; a przypomnienie pańskie, żem niebogaty, przypisuję niewyrozumieniu się naszemu. Nie papierem za papier, ale gotowemi pieniędzmi zapłacę panu oblig Prezydenta.

— A dobrodzieju! zkadże flota zawinęła? —

— Tak, tak, przy płynęliśmy aż do Niestaniszek — ozwał się z drugiej strony szpaleru głos Ko-

nieszcyca. Odetchnąłem wolniej, posłyszawszy su-
kurs.—

— Ale mniejsza o to. Siadajmy tu na ławecz-
ce, *Reverendissime*, bo ja mam z jegomościem
trochę pod sekretem pomówić.

— Jakaż jest pańska determinacya? Panie
Szambelanie dobrodzieju! —

— *Reverendissime* tu w swaty przyjechałeś?—

— To jest tak.... niby!— krzyknął Przeor.

— Moja determinacya?.... Pan pytasz?—

Szambelan ambarassował się i cicho się ku
szpalerowi nachylał.

— A wiesz, *Reverendissime*, że godząc na
wesele...—

Tu cicho szeptał pan Tadeusz, a dosłyszeli-
śmy tylko — *pogrzebu!*—

— Mów głośniej, wrzasnął Przeor, bo wła-
śnie na prawe ucho gorzej głuchy jestem.—

— Podobno są i zaległe procenta?—

— Tak... tak... są.—

— Powiadam, *Reverendissime*, że godząc na
wesele, mówił głośniej i dobitniej pan Tadeusz,
możesz stać się przyczyną nie jednego pogrzebu.—

— Jakiego pogrzebu? Co pleciesz?—

—Matki, córki, Szambelana, a może i Podkomorzyca; bo któż to zgadnie? —

— Nie rozumiem. Ale mów prędzej. Chyba żartujesz! —

— Wcale nie żartuję, i w tém właśnie miałem przestrzedz jegomościa pod sekretem. —

— Ja nikomu nie powiem. —

— Pod sekretem, to się znaczy, aby nas tu kto nie podsłuchiwał; bo owszem będziesz mógł pan, a nawet i powinienes, przestrzedz kogo należy. —

Zrozumiałem teraz wyraźniej moję powinność. Potrzeba mi było wrzucać słowa interesu o kapitał między rozhovor za szpalerem, aby utrzymywać na miejscu Szambelana, tak jednak, aby mię Przeor nie posłyszał. Trudnoby mi to przyszło, gdyby sam Szambelan nie zainteresował się tym rozhoworem, pobudzany nadto w ciekawości umyślném zniżaniem niekiedy głosu Koniuszycy.

— Podkomorzyc jest tu w nieodmienném postanowieniu... Szambelana... —

— Co Szambelana? —

— Wyzwać na pojedynek, powiadam. —

Szambelan się wzruszył, ale pilniej natężył uwagę.—

— A za co?—

— Cóż myślisz? Panie Szambelanie! o kapitale? — rzekłem.

— Potém o tém, potém o tém. Pozwól pan dosłuchać téj szczególniejszej rozmowy. Wszakże powiedział pan Koniuszyc, że dla mnie nie ma sekretu.—

— Jak wola pańska. —

— Dziwna kwestya, za co? Czyż *Reverendissime* nie poznałeś tego, że obadwa... z panną Heleną...—

— Co z panną Heleną? nie dosłyszałem.—

— Obadwa chcą się żenić z panną Heleną, która nienawidzi Szambelana a kocha Podkomorzycę.—

Szambelan zerwał się z ławki... i posunął się iść.

— A zkądże ta wiadomość, wrzasnął Przeor, że ona nienawidzi Szambelana?—

Szambelan usiadł znowu, ciekawy także zkąd ta wiadomość?

— Z ust własnej jej matki, mówił tu znowu

głośno dobitnie pan Tadeusz, która poleciła mi, abym tobie, *Reverendissime*, pomaleńku i kategorycznie oświadczył: *Primo*. Że będziesz miał na sumieniu, jako kapłan, jeżeli przyłożysz się do nieszczęścia dziewczyny, która przez posłuszeństwo dla ojca może wprawdzie oddać rękę Szambelanowi, ale przymus ten robi ją na całe życie nieszczęśliwą, a może i o śmierć przyprowadzić. Otoż masz po weselu jeden pogrzeb, *Reverendissime! Secundo...*—

— Szambelan spuścił głowę i zamyslił się.

Secundo. A pamiętaj, *Reverendissime*, że to nie moje słowa, ale matki, która i dotąd napłakała się dosyć, a resztę zdrowia zrujnuje patrząc na niefortunne życie córki. Bronź Boże zaś na nią śmierć, to przy podeszłym wieku Prezydentowej pewny drugi pogrzeb; a obadwa padną na głowę i sumienie jegomościa dobrodzieja...—

— Jezus! Marya! Józef! zawołał Przeor. *Averte Domine oculos meos!* Umywam ręce.,—

— Dziękuję, księżce Przeorze! Miałem po co przywozić? — mruknął Szambelan.

Tak wypada i tak należy, *Reverendissime!* A to jeszcze nie koniec. Może być i trzeci pogrzeb,

bo jak to panu mówiłem..... proszony jest przez Podkomorzyca..... piśnie..... na pistolety.—

— Ha! co? kto piśnie na pistolety? Mów z łaski swojej głośniej i wyraźniej, bo *periculum grave*; trzeba rychło zaradzać.—

— Otoż powtarzam, że pan Ignacy, mówił głośno Koniuszyc, uproszonym jest przez Podkomorzyca, aby Szambelana, jak tylko on piśnie słówko z oświadczeniem się o rękę Panny Heleny, wyzwał na pistolety. Ot masz i trzeci pogrzeb, *Reverendissime!* —

— Ach! ty nic dobrego — pomyślałem.

— Jak to? krzyknął Szambelan odskakując ode mnie; pan mnie masz wyzywać, i na toś mnie tu wyprowadził? —

— Wcale nie na to, panie Szambelanie! Prawdziwy mój interes powiedziałem panu, i czekam jego determinacyi; lecz...— mówiłem dalej biorąc go za rękę.

A otoż oni obadwa za szpalerem odzywają się...—

— Cicho, *Reverendissime!* Czekajmy na czem się skończy.—

— Lecz jeżelibyś pan, nadużywając przewagi,

jaka bogactwem swoim zjednałeś u Prezydenta, chciał żądać w małżeństwo niechętną dla pana, a przychylną przyjacielowi memu panny Heleny, to jest: jeżelibyś chciał uczynić nieszczęśliwą ją samą, jej matkę i przywiązanego do niej młodzieńca, w takim razie miłość, rozpacz i sprawiedliwa zemsta... powodując Podkomorzycem, sprawić może... że przy oświadczeniu pańskim.... będę musiał... Ale się pan upamiętaj! Czyż postępki pański, mogący być przyczyną takich nieszczęść, będzie szlachetnym, honorowym i sumiennym? —

Szambelan patrzył w ziemię, stał milczący; nakoniec wyrwał ode mnie rękę, i rzekł, odwracając się nagle —

— Pojedynku Waćpanów nie lękam się, bo na to jest prawo... —

— Prawo honoru przerwałem.

— A gwałtem nikogo na kobierzec ciągnąć nie myślę... — I poszedł spiesznym krokiem do pokoju.

Szedłem za nim, ale pot mi wystąpił na czoło; bo tak ciężką odegrałem rolę, chociaż i słowa jednego niesprawiedliwego nie powiedziałem.

Wyszedszy z za szpaleru, postrzegłem Przeora i Koniuszycę, postępujących drugim bokiem szpaleru także ku budynkowi.

— Czy widzisz, *Reverendissime*, jak zmyka Szambelan? mówił Koniuszycę. Pewnie ten paliwoda, (wskazując na mnie), nie wytrzymał i wyzwał go przed czasem; a całego tego kłopotu jegomość przyczyną.—

— Jak? za co? Czy mogłem przewidzieć, że staranie moje *circa connubium*, Prezydentówny za takiego bogacza, jak Szambelan, skończyć się mogą na takiej katastrofie? Dla tegoż do niczego już się nie wmięszam.—

— I najlepiej zrobisz, *Reverendissime*! Więć radziłbym jegomości nie wchodzić nawet teraz do pokoju i przejść się nieco po ogrodzie, nim się tam rzeczy ukartują.—

— Dobrze mówisz. Robcie tam święty pokój. Ja tymczasem odmówię nieszpory i na cały wieczór wolnym będę.—

Tymczasem Szambelan przebiegł salę, wpadł do sieni, i znalazłszy tam swego lokaja— zakła-

dać konie natychmiast! — rzekł. Lokaj poleciał do stajni, a Szambelan wrócił do sali i spotkał się ze mną wchodzącym z ogrodu.

— Piękna intryga, Panie dobrodziej! —

Wszedł pan Tadeusz i przerwał rozmowę. Wszyscy trzej weszliśmy do pokojów.

— A gdzieżście to tak długo bawili? odezwał się Prezydent. Już miałem iść szukać kochanego Szambelana. Tu mnie ten pan, (ukazując na Hippolita), przekonywał, że bardzo pożytecznym jest dla gospodarza trzymać owczarnie merynosów, jak on nazywa, o czém u nas ani sły-chać. Jak pan o tém sądzisz? Panie Szambelanie! Jesteś gospodarzem zawołanym. Młodość zwy-czajnie chwyta się nowości; ale my starzy... do-świadczeni chcę mówić...—

— Tak, tak, Panie dobrodziej! — odpo-wiadał na to usiadając, to wstając, to pod-chodząc do okna, a kręcąc w ręku tabakierę Szambelan.

— Jak to? i pan jesteś za merynosami? —

— I owszem... nie, nie, Panie dobrodziej, to jest podług tego jak wypada... Panie dobro-dziej!...—

Prezydent, zdziwiony bezzwiązkowemi odpowiedziami Szambelana, spójrzał nań uważniej i łatwo dostrzegł zmiany jego na twarzy i niespokojności w oczach.

— Co to jest panu? zapytał. Może nie domagasz? —

— Owszem nie, wcale nie, Panie dobrodzieju! —

Prezydent więc, ściskając go za rękę— Szambelanie kochany! rzekł, bądźmy dobrej myśli. Żono! każ podać wina. Pokropim jeszcze tego szczupaka. Gdzież nasz ojciec duchowny? —

— Mówi pacierze w ogrodzie, odpowiedział Koniuszyc. Powiadał mi, że jak odmówi teraz nieszpory, to będzie wolny na cały wieczór. —

Prezydentowa wyszła aby spełnić polecenie męża; a twarz Helusi dotąd pogodna zachmurzyła się nanowo.

— A cóż to znaczy? Szambelanie! — odezwał się Prezydent, przechodząc około okna, w które bez ustanku zaglądał Szambelan. — Zdaje mi się, że Pańskie konie zakładają? —

— Tak... tak... Panie dobrodzieju! —

— Zkąd ta nagła odmiana? i co za niespo-

dziany pośpiech? Proszę, kochany Szambelanie, każ odłożyć konie, i jeżeli to jest tylko prosta ceremonia, to między przyjaciółmi niepotrzebna.—

— Nie, nie, Panie dobrodziej! Muszę... muszę, Panie dobrodziej!...

— Dziwi mnie to bardzo. Czyby ktokolwiek w moim domu panu ubliżył? patrząc na nas dodał Prezydent. Proszę pana wytłómaczyć się raczej otwarcie, niżeli ubliżać mnie takim odjazdem bez przyczyny.—

Helenka wyszła, rzucając na mnie wzywającym okiem.

— Nie... nie... i owszem, Prezydencie dobrodziej, i owszem... Wszakóż, mimo łaskawych względów pańskich, intryga...—

— Już pan drugi raz powtarzasz to słowo, a nie życzyłbym sobie usłyszeć go raz trzeci, przerwałem, bo ono jest niesprawiedliwem, i tembardziej obraża, że pan sam wiesz o tem dobrze.—

— Co to wszystko znaczy? Mości panowie! Jakie to zagadki? Nikogo z panów nie wypuszczę, nim nie będę wiedział o wszystkim.—

— Pomalenku i kategorycznie...—

Wtém Szambelan, postrzegłszy swoje konie pod gankiem, chwycił za czapkę, i — do nóg się uniżam Prezydenta dobrodzieja, rzekł, do nóg się uniżam. —

— Sfiksował się czy co u licha? Panie Szambelanie! — wołał Prezydent, idąc za nim; a za Prezydentem my wszyscy postępowaliśmy. — Panie Szambelanie! zaczekaj! chwilkę tylko zaczekaj! —

— Tak, tak, Panie dobrodzieju, żadną miarą, żadną miarą; do nóg się uniżam, Prezydencie dobrodzieju!... — Siadł do kocz i ruszył.

Gdy już był pod bramą, pan Tadeusz, jakby przypomniawszy, zawołał, niebardzo jednak głośno — Czekaj, Szambelanie! Zapomniałeś socyusza! Ale gdzież tam? Widać gniewa się i na niego; rwie z kopyta! Z Panem BOGIEM. —

„A jeśli odjeżdżasz, bądźże zdrów!”

Wtém ukazał się i ksiądz Przeor.

— Cóż to znaczy? *Quid significat? Camera-rius ubi?* —

— *Ibi*, odpowiedział pan Tadeusz, wskazując na kocz w ulicy brzozowej; ale bądź spokojny,

Szanowny Przeorze; odwiozę cię sam mojemikarem aż do klasztoru.—

— Dla czegoż uciekł?—

— Zrozumieć nie mogę, rzekł Prezydent zachmurzony. Domyślać się muszę, że jest przyczyna, przede mną dotąd ukryta, którą gdybym wiedział...—

— To cóż? przerwał Koniuszyc; tobyś się pan popędził za uciekającym z pańskiego domu, w którym najuprzejmiejszych doznał względów, a większych jeszcze mógł się spodziewać?... Prawdziwie byłoby to prosić go jak o największą łaskę, aby się...—

— Dość tego, panie Koniuszycu! — przerwał niecierpliwie Prezydent.

I ja tak mówię, że dość. Idźmy skosztować wina, którego Szambelan pić nie chciał; a po-malenku i kategorycznie dowiesz się, Prezydencie, o wszystkiem.—

Wracając do pokojów, Hippolit ścisnął mnie za rękę; wskazałem mu nieznacznie Koniuszycę, który z tryumfalną miną patrzył na nas i uśmiechał się wesoło.

Nie zapominając skinienia Helusi, poszedłem

jój szukać, i znalazłem matkę i córkę w apteczce, rozmyślające nad tem, co się stało, i co się stać mogło. Wyłómaczyłem więc im przeszłość, przygotowałem do zbliżającej się tuż przyszłości. Jakoż słońce nim zaszło, szczęśliwy Hipolit obrączkę ślubną swój matki, którą zawsze na ręku nosił, ujrzał na palcu Helenki; a ksiądz Przeor, wypróżniwszy kielich za zdrowie zaręczonej pary, odchylając głowę, — i po-bło-go-sła-wię — powiedział.

K O N I E C.

*1842 roku
w Dziewiętniach.*

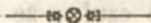
RANEK PRZED ŚLUBEM.

— Marysia! czy jeszcze wiesz, gdzie spiąż —
pytało młode i ładne dziewczę, leżące w łóżku,
a wychylając się paluchem sfingę.

— Spie wiesz, w odpowiednia Marysia, ale
czemu pytasz o nie-ciebie? Tak spie, wiesz.

RAINEK ERZED SLUBENI

RANEK PRZED SLUBEM.



„..... a gdy jest ten zwyczaj.....

„Że się posag naznacza, intercyza pisze,

„I gdy o formalnościach tych od pana słyszę,

„Najprzód więc proszę wyznać otwartemi słowy:

„Jak wielki będzie posag i czyli gotowy?

Komedia P. P.

I.

—**M**ARYSIU! czy jeszcze wszyscy śpią?— za-
pytało młode i ładne dziewczę, leżące w łóżku,
u wchodzącej na palcach sługi.

— Śpią wszyscy, odpowiedziała Marysia; ale
czemu panienka nie zaśnie? Tak późno wczora

poszli spać. Dziewiczy wieczór panienki długo wszyscy pamiętać będziemy. Na folwarku nawet wyskakaliśmy się, że aż nogi bolą. Ja weszłam, bo posłyszałam, że panienka nie śpi. Czy nie chora broń Boże panienka?—

— Nie, moja kochana, zdrowa jestem.—

— A czegoż panienka płaczesz?— Marysia bowiem postrzegła u swojej panienki pełne łez oczy.

— Płaczę? Czyż ja płaczę?— I w rzeczy samej dziewczyna nie czuła, że łzy płynęły jej po jagodach; lecz otarłszy ręką oczy, poznała, że prawdę mówiła Marysia.

— Ej, moja kochana panienko, po co płakać, smucić się i zdrowie psuć? Pan Hippolit taki dobry, taki piękny, młody panicz; tak panienkę kocha!!!—

— Ale czy zawsze tak będzie?— pomyślała dziewczyna, która dziś wianek mirtowy na czepek zamienić miała.

— Obróć się Panienka na drugą stronę i zasnij jeszcze. Co się przyśni, to przyciśnij. Raz—dwa—trzy—cztery—ach! wszak to czwarta biła; jeszcze bardzo rano!....—Odeszła więc Ma-

rysia, chcąc sama spełnić swą radę, której końca nie słyszała nawet narzeczona.

Uderzona godzina ponawiała w jej duszy myśl smętną, kilkakrotnie już tej nocy dźwiękiem zegaru obudzaną, że oto godziną bliżej do stanowczej w jej losie chwili... do szlubu! Nim ta chwila jest daleka, dziewczyna żąda jej usilnie; roi sobie życie szczęśliwe mężatki, gospodyni domu, pani uwolnionej z pod uległości, do jakiej ją stan dziewiczy nachyla. Rozrywa ją, zajmuje i cieszy zatrudnienie około wyprawy; na jej żywej wyobraźni tysiąc powabnych maluje się obrazów, na których ona samą siebie wieniec z kwiatów otoczoną w perspektywie postrzega. Ale gdy już nadchodzi zbliżka moment porzucania rodzinnej strzechy, serce bierze górę nad wyobraźnią; w sercu skład miłych jej wspomnień; one się obudzają wszystkie, i serce tkliwie się z niemi na rozstaniu żegna... Żal dziewczynie swojego pokoiku, żal małego kąta, w którym się tak spokojnie i mile zasypiało; żal ogródka, w którym tyle kwiatów jej ręką zasianych rozkwita; żal pieśzcot codziennych tak kochanej i tak kochającej matki; żal dobrotliwych utuleni ojca; żal nawet sług fa-

worytek, z którymi wieczorami przy kominku poufała prowadziła się pogadanka, tak, że w dniu tym, w którym zakochany młodzieniec, upragniony celu najgorętszych swych życzeń, leci doń gwałtownie jak podróżny na ostatniej mili, to narzeczona dziewczica, ten cel jego życzeń, nie zbliża się doń wzajemnie; owszem w nieokreślonych jakichciś uczuciach niepewności, trwogi, tęsknoty, gniewu nawet, podaje zapaleńcowi drżącą i niechętną rękę, z postacią, z jaką podług Milтона pierwsza na świecie narzeczona przyjęła pierwszego na świecie kochanka, ojca naszego Adama.

Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
Co tém bardziej pociąga, że trochę odpyeha.

Czyż serca czułe moich czytelniczek, cofnięte ku takim chwilóm, lub jój oczekujące, nie przyświadczą moim wyrazóm?...

W takiém rozrzewnieniu i obłądzie, piękna Helenka przebyła bezsennie noc całą; nakoniec po odejściu Marysi natura przemogła troskę, i usnęła dziewczica na kilka godzin.

Już słońce dobrze się w górę wzniosło, i z okna do okna przechodząc, budziło rozespanych gości, gdy przepędziwszy noc równie bezsenłą

pocziwa a przywiązana do córki matka, weszła do jej pokoju. Postrzegłszy ją śpiącą jeszcze, zbliżyła się cicho i stanęła nad łóżkiem!!!

Sen uspokoił zburzoną krew dziewicy, i ta krążąc swobodnie, miłym rumieńcem krasila jej lica; piers oddychała wolnie, a cała postać spoczywała w niewymównym wdzięku, jakim Bóg młodość i niewinność ozdobić raczył.

Przez kilka chwil matka patrzyła z upojeniem na tę najdroższą sobie istotę!!! Oh! jakże głęboką jest miłość matki ku swemu dziecięciu!... Ono jest częścią jej własnego życia! Związek ich jestestw po urodzeniu nawet nie osłabia się; owszem trwa mocniejszy jeszcze, bo zwiększony wolą i miłością, gdy przed urodzeniem jest tylko mimowolnym wypełnieniem praw natury. Miłość ta przenika w najskrytsze tajniki serca matki, zalewa go roskoszą, lub targa okrutnie na szczęście lub niedolę jej dziecka! I czegożby za to szczęście dziecka swego nie dała ona? jakiejże poręki, jakich cnot, doskonałości, dostatków wymaga ona i życzy temu, od którego to szczęście ma zależeć? i jakże drogo ocenia ona skarb, który mu powierza!!! — Moje kochane dziecię! — wyrzekła na-

reszcie pocichu najtkliwszym głosem stojąca nad łóżkiem matka uszpionej dziewczicy. Przebudza się ona; dosłyszała jej bardziej uczuciem niż słuchem, i rzuca się w objęcia matki... Długo ta spójnia ustami, sercem i łzami sklejona rozdjęła się na koniec!...

—Moja droga Heluniu! rzekła matka, od Boga zaczynamy dzień, dla ciebie i dla mnie najważniejszy w życiu. Uklękniemy przed tym obrazem Matki Boskiej. Jam go w dniu mego szluby od mojej matki dostała; zawiesiłam go potem, gdyś się urodziła, nad twoją kołyską; przed nim nauczyłam cię pacierza; i teraz więc zmówmy modlitwę, prosząc o Jej świętą nad tobą opiekę.—

Zarzuciła na się szlafroczek dziewczyna, uklękła obok matki, i obie rozpoczęły *Litanie do Najświętszej Panny*. „*Ucieczko grzesznych! Nadziejo utrapionych!*” z jakimże głębokiem błaganiem i czuciem przez obie wymawianem i pokilkakrotnie powtarzanem było! Nakoniec matce i córce łyzy polały się potokiem, gdy modlitwę ofiarowania: „*Pod Twoję obronę uciekamy się*” mówić zaczęły! Modlitwa ta wszędzie domowa i codzienna, opiekunka i orędowniczka wszelkich prośb,

potrzeb i nadziei, przerwała się łzami i zakończyła się nowemi uściskami i nowem wzajemnem wyrażaniem się miłości macierzyńskiej i dziecięcej.

Tu gromada młodziutkich i ładnych rówieśniczek panny młodej, družek na dzień jej szluby zebranych, wpadła z głośniejąco wesołością do pokoiku, niosąc kosze pełne kwiatów, bujnymi perłami ranej rosy odświeżonych. Pokoik napełnił się wonią róż, bzów i jażminów, i zaczęła się toaleta panny młodej, której my assistować nie będziemy.



II.

TYMCZASEM w jednym z pokojów bawialnych siedział od rana za stolikiem jeden z gości: podżyty i łysy jegomość. Gryzł on pióro, grezmolił, mazał; znowu grezmolił i znowu mazał; nakoniec zapisany cały arkusz schował za nadrę, wstał i przechadzał się po pokoju, jakby oczekując na kogoś.

Jakoż drzwi się otworzyły nie bawiając, i wszedł gospodarz domu, ojciec panny młodej, prowadząc za sobą przystojnego młodzieńca, ubranego wy-

twornie, jak przystało na dzień weselny, a postępującego niedbale i niechętnie, nócąc wesołą jakąś piosenkę.

Pan Prezydent, (czytelnikom nie obce są już niektóre osoby tego obrazu) postawił przyprowadzonego i czekającego, ichmościów jednego przed drugim i rzekł—To Pan Podstoli, mój dawny i dobry przyjaciel—*Rekomenduję!* To Pan Regent, kuzyn i przyjaciel mojego przyszłego zięcia—*Rekomenduję!*...—

—No, pogadajcież tu Asanstwo z sobą rozumnie, i ułatwcie wszystko jak należy finalnie; rozumie się czarno na białem. Wiecie o co rzecz idzie, i kwita. Nie bałamućcie tylko długo, bo za godzinę szlub.—

Po tej krótkiej ale zwięzłej przemowie, wyszedł pan prezydent i zostawił obu ichmościów, stojących naprzeciw sobie tak, jak do rekomendacyi postawił... Oba więc zmierzyli siebie oczyma... Wzrok pana podstolego, starego jurysty, był jakby koka przemierzającego z pogardą pacuka, który się ośmielał z nim mierzyć.... Wzrok młodego pana regenta pół-szydny, pół-przenikliwy, mógłby się porównać do wzroku lisa, poglą-

dającego z nad jamy na charta, którego się nie boi... Spotkawszy się tak oko na oko, obadwa spuścili oczy.... Nastąpiło kilka chwil milczenia!!! Nakoniec pan podstoli, nie doczekawszy się zaczepki, wyjął z zanadry srebrną tabakierę, postukał nią w dłoń, otworzył poważnie, pociągnął długą szczyptę do nosa, i podniósł ją przeciwnikowi.—Holenderka... iż tak rzekę!...—Ten wziął delikatną szczypteczkę i ukłonił się grzecznie. Znowu milczenie... więc przerwał je nakoniec pan podstoli, i klaskając w dłoń ręką tabakiery, rozpoczął konferencyę miódopłynną z uśmiechem i pomaluténku.

—Jesteśmy tedy użyci, Mości Regencie Dobrodzieju, jako wspólni łączącej się pary, iż tak rzekę... (tu zażycie znowu holenderki) przyjaciele, abyśmy ułożyli, jak to zwyczajnie bywa i koniecznie być musi w takich okolicznościach, pewne, iż tak rzekę, przedślubne zabezpieczenie funduszu dla panny, która los swój powierza zacnemu ze wszech miar i godnemu Podkomorzycowi, kuzynowi i przyjacielowi pańskiemu, a którego ja prawdziwie kocham, i, iż tak rzekę.... weneruję.... Uproszonym ja będąc przez Pana Prezyden-

ta, to jest, przez ojca rodzonego panny młodej, abym napisał formalne, jak to Panu nader wiadomém być musi... iż tak rzekę... tranzakta ku temu celowi służyć mające..... (tu znowu nastąpiło długie wygładzanie tabakiery, stukanie po niej palcami i zażycie holenderki) a na myśli, młody Paniczu, im bardziej cię znudzę i zniecierpliwię, tem prędzej zgodzisz się na wszystko, nie czytając nawet do końca dokumentu.—

— Otoż tedy ułożyłem, Mości Regencie Dobrodzieju, dokumencik, iż tak rzekę... *ad casum* stosowny... jak mi się zdaje, i jak mi się to nie raz już wydarzało, który Asyndziejowi zakomunikuję.... Nie jest to *reforma*, (mówił dalej wyciągając z za nadry papier); bo widzi Pan *reforma*, jak to sprawiedliwie powiadają, jest tylko, iż tak rzekę... *forma*... ale ja widząc i pojmując afekt Podkomorzycy prawdziwy i gorący... iż tak rzekę... dla Prezydentówny, podaję mu z ręczność okazania tego w dowodzie... równie jako też zjednania dla siebie zaraz na wstępie przychyłności rodziców przez uległość i zupełne, iż tak rzekę... wypełnienie ich troskliwości, z czego wróżyć naturalnie będą....—

—*Ad rem*, Panie Podstoli Dobrodzieju, *ad rem*, przerwał Regent; słucham samego dokumentu.—

—Aha! nie dotrzymałeś! pomyślał stary. A właśnie *ad rem* oto i zaczynam.—

„Hippolit etc. pod wszystkie niżej wyrażone „*vadia*, warunki i *ligamenta*, *libere ac benevole* „*submitujący się*...—

—Oh! oh! tak, Panie Podstoli Dobrodzieju, przerwał znowu Regent, jest to ciężkie *ligamentum* ten stan małżeński; i sam Jegomość możebyś *libere ac benevole*....—

Zarwany nagle w najdotkliwszym punkcie, zapomniał się Podstoli, upuścił papier, ręce i oczy podniósł w górę i wykrzyknął:—Oh! oh! oh! tak, tak, szalone *ligamentum*!!! Niech jój Bóg nie pamięta!... iż tak rzekę... Daj Boże rozum przed szkodą!!!—

Rozśmiał się pusto Regent, a postrzegł się stary jurysta, że wcale niewczesną przed nieznanym rozpoczął małżeńską skargę; zmieszał się więc i zamilkł; przetaił potem tabakierę, postukał w dłoń...—No, to co innego, Regencie Dobrodzieju, rzekł nakoniec, to co innego.—

—Tak, aktualnie co innego, odpowiedział Regent; ale ja też chciałem tylko napomknąć, że ktokolwiek ma coś *libere ac benevole* postanowić, powinien wprzód dobrze się namyslić; co gdybyś i Pan był uczynił, ta fatalność małżeńska, na którą się Pan uskarżać zdajesz.... może i niesłusznie....—

Ale stary lis dwa razy złapać się nie dał; pociągnął mocno tabaki, i patrząc przenikliwie w oczy Regentowi—Oho! myślał, młody ale szpak! Jak mnie zręcznie z drogi sprowadził! Trzeba się mieć na ostrożności.

—No, po co tam, zacny Panie Regencie Dobrodzieju, te obce *circumstantiae*? *Ad rem*, jak sam powiadasz, przystąpić potrzeba; bo i czas nagli, i, iż tak rzekę.... A zatem czytam dalej dokument—*„libere ac benevole submitujący się, czynię wiadomo niniejszym doracyjno-assekuracyjno-obligacyjno-inekwitacyjno-dożywotnio-zastawnym prawa zapisem, tenoris ut sequitur.”* „Iż ja, pojmując w stan święty małżeński Jaśnie Wielmożną Helenę... Prezydentównę, i konsyderując w tém szczególniejsze dla mnie względy jej, rodziców, oraz w rekompensę afektu ku mnie sa-

„mej mojej przyszłej żony i osobliwszej dobro-
 „dziki, postanowiłem *mea ex parte* dać jej i da-
 „rować summę złotych polskich *sto tysięcy!!!*” —

— Sto tysięcy w rekompensę afektu! — pomru-
 knął Regent i skąsił usta; a Pan Podstoli, spoj-
 rzawszy nań z podejba, zażył holenderki.

„Którą-to summę, jako dług rękodajny, spo-
 „sobem i prawem zastawy na majątku moim....”
etc. — Szło dalej dożywocie, ewikcya, poręki, i że-
 lazne jak obuchem zaklinowanie końca dokumentu.

— A więc, Mości Regencie Dobrodzieju, rzekł
 doczytawszy Podstoli, nie pozostaje teraz, jak prze-
 pisać na papier stosownej *waluty*, który mam oto
 przygotowany.... —

— A *de quibus?* przerwał żywo Pan Regent;
 wiele *de quibus?* —

— Co to ma znaczyć *de quibus?* —

— Jak to? Pan nie wie co to znaczy? Prze-
 cież od tego zacząć należało. —

— Mości Regencie! nie rozumiem. Znam aryn-
 gę wszelkich tranzaktów i spodziewam się.... iż
 tak rzekę.... —

— Nie idzie o arynę, Mości Podstoli! Na tém
 owszem treść rzeczy! *De quibus* wyraz technicz-

ny, znaczy toż samo co dawniej *pod poduszką*, a *pod poduszką* wiesz Pan co znaczy? oto...—Tu pokazał wyrazisty i nader znajomy gest liczenia pieniędzy, i zatrzymawszy palce nad dłonią, czekał odpowiedzi.

—Rozumiem, a raczej, iż tak rzekę, dorozumiéwam się. Pan chcesz wiedzieć o posagu panny młodej?—

Regent kiwnął głową, powtórzył pantominę na rękę i znowu czekał....

—Prawdziwie, mój szanowny Panie, nie spodzian byłem, iż tak rzekę, kwestyi; zwłaszcza przy takiem skoli gaceniu się i szczęściu, którego tak bardzo pragnął Podkomorzyc, nie wypadałoby... iż tak rzekę... wprowadzać materyi mogącej wszystko zepsuć..... Wszelakoż mogę *praeter propter* opowiedzieć memu Dobrodziejowi *status rei* co do posagu Prezydentówny. Oprócz bogatej wyprawy *w pretiozach mobiliach* i rozmaitych kobięcych ochędóstawach, oszacowanych przeze mnie samego jak najtaniej, (że nie wspomnę.... iż tak rzekę.... wiana), wiedzieć nadto potrzeba, że babka dzisiejszej panny młodej, przez głowę matki z domu *Kosieleckich*, *primo voto* Baranowska,

secundo Kozłowska a *tertio* Sarnicka, wniosła znakomitą summę w posagu; lecz przechodząc przez trzy, iż tak rzekę, gniazda, w każdym zostawiła *progeniturę*; ztąd *post fata* téj pani wyniknął proces pomiędzy konsukcessorami, w którym przy sprawiedliwości, iż tak rzekę... i staraniu... teść przyszły Podkomorzycy, w stopniu żony swojej a matki dzisiejszój panny młodej, uzyskał już rozmaite *judicata*, z których *eventa* pomyślne dla naturalnej sukcessorki... wróżyć mogą z macierzystości... i wróżą, iż tak rzekę... w swoim czasie...—

—Ależ mój Panie Podstoli, przerwał Regent, nie mówmy o ewentach, wróżbach, nadziejach i processach. Znowu muszę Panu powtórzyć *de quibus; in paratis* co?..—(i znowu znajoma pantomina na rękę).

—Dziwi mnie mocno, odpowiedział zamiast zniecierpliwienia sam zniecierpliwiony jurysta, dziwi mnie to, iż tak rzekę, że w rzeczy tak ważnej używasz Pan żartu, zwłaszcza ze starszym towarzyszem jednej broni.—

—A więc bez żartu, Mości Podstoli, odpowiem Panu, rzekł młodzieniec, zmieniawszy ton i posta-

wę, bez żartu! Tak Panie! Jesteśmy wprawdzie, jak Pan powiadasz, towarzyszami jednej broni; i to prawda; ale broń Pańska stara, zardzewiała, poszczerbiona, piłuje a nie przecina; nie służy na zaczepkę, bo starym wykrętem, jak starym rapierem, twardej zbroi zdrowego rozsądku nie przebijesz; nic nie warta do odporu, bo nie dotrzyma pierwszego ciosu ostrego rozumu i zdruzgocze się na szczątki. A tak widzisz, Mości Podstoli Dobrodzieju, że choć jedną bronią wojujemy, ale gatunek jój odmienił się zupełnie.—

—Komparacye te, Mości Regencie, do czego, iż tak rzekę, mają zmierzać?—

—Czyż mię Pan nie rozumie? Oto znaczą one, że wyobrażenia zdrowsze, prostsze i sprawiedliwsze, wynikły z czasem i w zatargach procesowych i we wszystkich umowach i układach; że wyszło z mody łapanie fortuny fartuszkiem; że małżeństwa łączyć się powinny wzajemną skłonnością, wzajemnym szacunkiem, i taką jest właśnie para łącząca się dzisiaj; a zatem, Panie Podstoli Dobrodzieju, projekt pański jako dawnego *autoramentu*.....—

—W młodej dziecinie nauka słynie!—przerwał

kręcąc głową i pociągając holenderkę Pan Podstoli.—Wszelakoż, Mości Regencie, ostrzegam Pana, że gdy niema zgody na ten projekt dawnego *autoramentu*, konkluzya może być taka, że z *tego piwa nie będzie i kwasu*, i że od kobierca nawet się wracają częstokroć, jeżeli *pignus sufficiens*, iż tak rzekę, dla zapewnienia losu panny nie jest dostateczny, lub gdy go zupełnie pan młody odmawia, jak oto właśnie tu się zdarza.—

—Zapewnienie losu i spokojności ukochanej od nas i nam się zupełnie powierzającej osoby jest bez wątpienia sumienną powinnością dla każdego, kto związkiem małżeńskim życie swe podwoić pragnie; i tego miłego dlań obowiązku krewny mój, pewny jestem, że nie uchybi; ale żona nie powinna brać z góry od przyszłego swego męża pieniędzy, jakby na zastawę i ewikcyę przyszłego szczęścia, ani też kupować to szczęście u obojętnego sobie i dla siebie mężczyzny bogatą gotówką, także z góry przed szlubem upewnioną. Uszczęśliwiający jest zwykle uszczęśliwianym nawzajem; ale kupiony tak lub owak jest zawsze niewolnikiem.—

—Remonstracye te moralne, Mości Regencie

Dobrodzieju, które prawisz mi Jegomość jak z partesu, iż tak rzekę, mogą być poniekąd i słuszne, ale się nie kwadrują z postanowieniem Prezydentostwa względem ich córki. Suplikuję więc Jegomością, abys się nad tem zastanowił, póki jeszcze choć trochę mamy czasu; abys się skomunikował z zacnym Podkomorzym: niechby on się dowiedział o co idzie, od czego zależeć może tak pożądaný dlań *sukcess*? *Tandem*, Mości Regencie Dobrodzieju, pewnym być mogę i zapewniam mego Dobrodzieja, dodał po krótkiej pauzie zcicha i pociągając mocno holenderki, że gdy układ proponowany przeze mnie dojdzie szczęśliwie..... zwykłe, iż tak rzekę.... *honorarium*... od Prezydenta, *cum duplice* nawet, dla nas obu traktujących ten interes...—

—Zrzekam się, przerwał z gniewem Regent, na Pana i *honorariów* i *honoru* z traktacyi.—

Wtém trzaski wielokrotne z biczów i turkot licznych pojazdów, zajeżdżających przed ganek, rozległy się na dziedzińcu. Ruch nadzwyczajny dał się słyszeć i postrzegać w całym domu.—Na miłość Boga, Mości Regencie, krzyknął Podstoli, upamiętaj się! Oto zachodzą pojazdy do szluby, a

my nic jeszcze nie zrobiliśmy! Czy zwarjowałeś?
Respice finem!!! Możnaby zresztą uczynić nie-
 które, iż tak rzekę, modyfikacye w dokumencie...
 Wiesz co? Odstępuję tytułu zastawy!...—

Uśmiechnął się Regent, lecz uprzedził odpo-
 wiedź jego wchodzący żwawym krokiem ojciec
 panny młodej.

—A cóż? zapytał on, skończyście tu swoje?

—Nic dotąd... iż tak rzekę...

—Jako nic? Przecież przyrzekłeś mi, stary
 ciemiego, że dokument gotowym będzie!

—Gotowy! gotowiutenki! Idzie tylko o prze-
 pisanie na czysto i podpis; coby także już dotąd
 dopełnionem było, gdyby ze strony pana młode-
 go nie zaszła... iż tak rzekę, *protestacya!*

—Jaka *protestacya?* o co *protestacya?*

—O wszystko... iż tak rzekę!

—Co to ma znaczyć? Panie Regencie!—rzekł
 obracając się doń Prezydent.—Czy kuzyn Pański,
 a mój przyszły zięć, nie chce zapewnić funduszu
 dla mojej córki?

—Zapewnienie funduszu dla córki należy, zda
 mi się, Panie Dobrodzieju, do jej rodziców.

—Filozofia!—rzekł z gniewem Prezydent.—

Krótko a wężłowato: czy Pan Hippolit nie zapisuje sta tysięcy Helusi?

— Nie.

— Nie?

— Nie!

— Przyczyna?

— Powiedziałem ją Panu Podstolemu.—

Uklonił się Pan Regent i wyszedł.

— Cóż on Wasanu powiedział? — odezwał się Prezydent.

— Co powiedział? A djabeł nam tu nadał tego fraczkowego sensata! Prawił on mnie tu perory i kazania, iż tak rzekę, moralne o wzajemnych skłonnościach, o szablach, o rapierach!

— Co? wyzywał Wasana na pojedynek?

— Na pojedynek? a broń Boże! Lubo, gdym mu remonstrował konsekwencye z uporu pana młodego, czy jego własnego, przeciw woli Pańskiej, a nawet gdym mu dał *ad intende*, że przy dopełnieniu żądanych układów czeka nas z *municipalcenci* Pańskiej *certum quantum*. ... iż tak rzekę.... lubo, mówię, zamiast wdzięczności młodziak ten okazał pewny rodzaj *pospozyty* dla mnie, i mogłoby zajść na kłótnię, wsze-

lakoż ja dla świętego pokoju wołałem znieść wszystko z temperamentem, abym tylko doprowadził rzecz do końca. Napróżno jednak! napróżno!

— Otoż nie napróżno! — krzyknął rozgniewany Prezydent. — Coż to? chce mnie Panicz na dudka wystrychnąć? Bierze dziewczynę jak malinę, której Szambelan krocieby zapisał, a on nic nie chce? Hola, hola, panie młody, jeszcze nie po ślubie!

— Ależ konie zaszły do ślubu, Mości Prezydencie!

— Konie zaszły, to i odejdą! Nic z tego nie będzie, powiadam Wasanu, nic! nic!... —

Mówiąc to Prezydent, szerokim i szybkim krokiem rozmierzał pokój, gryzł palce, tupał nogami, niecierpliwił się i złował. Za nim chodził Podstoli i uspakajał rozgniewanego. — *Temperament*, Mości Prezydencie, *temperament*!... iż tak rzekę...

— Idź do stu djabłów z swoim *temperamentem*! Nie masz zapisów, nie masz i wesela! Na tém stoje i na tém koniec! Niech konie odcho-
dzą!!! —

Zbliżającemu się do drzwi z porywczym tym rozkazem Prezydentowi zastępował zawsze drogę Podstoli, traktując holenderką powtarzając—*Temperament*, Mości Prezydencie, *temperament*! Poradzić się wypadałoby Imości...

— Po co tu babskie rady? Moja Imość, to nie twoja Imość, która ciebie sławnego jurystę wodzi za nos jak... jak... małe dziecko! A nareście moja żona równie kocha córkę i dba o jej los, jako i ja; a zatem...

Odsunął Prezydent stawającego naprzeciw sobie jurystę i zbliżał się znowu do drzwi w zamiarze wydania rozkazów stosownych do wziętego postanowienia; ode drzwi jednak zwrócił się raz jeszcze. Nie szło mu o zdanie żony, bo w rzeczy samej umiał on być panem może i zanadto samowładnym w swoim domu, a takowemu panowaniu łagodna i dobra żona jego ulegała bez szemrania; lecz kochał on szczerze i matkę i córkę, a znając, że wybrany młodzieniec na zięcia posiada i serce córki, i wszelkie przymioty, rokujące dla niej szczęście, niełatwo się odważał na krok porywczy, mający zachwiać, a może i zniszczyć, tak dobrze upewnione nadzieje obu-

dwóch i własne nawet, zasadzane równie na przy-
miotach osobistych, jako i na stu chatach pana
młodego. Chciał on rady mądrej, któraby pogo-
dziła dwa przeciwne sobie interesa i widoki; czuł
potrzebę prędkiej determinacyi, bo coraz głośniej-
sze i tłumne zebrania się w przyległych pokojach
nagliły stanowczą chwilę. Dałby był wiele za to,
gdyby ktokolwiek mocnym argumentem na tę lub
ową stronę go nakłonił i skończył niecierpliwą
jego niepewność!...

III.

TYMCZASEM weselna a wesola kompania, zebrana
od niejakiego czasu w pokojach, czekała na uka-
zanie się panny młodej. Uprzedziło ją dwoje anioł-
ków, zwiastujących jakoby szczęście i wesołość
dnia tego, to jest: dwie małe i miłutkie jej sio-
strzyczki wbiegły i wyniosły na tacy mnóstwo
związek z mirtu i rozmarynu, a przypinając je
wszystkim nieżonatym, życzyły każdemu rychłe-
go ożenienia. Nie jeden, odbierając z ich pię-
knych i drobnych rączek weselny ten podarunek,

na życzenia odpowiedział lub pomyślał: poczekam aż ty wyrośniesz. Z próżną tacą wróciły się one potem za drzwi zawarte, które za chwilę otworzyły się znowu na wścieżaj, i weszła ubrana do ślubu panna młoda... Prowadził ją brat starszy i Pan Tadeusz, jako swat i kawaler, a szły za nią też same dwie siostrzyczki, które wprzód bukiety, a teraz wianeczek mirtowy na tacy niosły.

Szmer uwielbienia, podziwiania wdzięków i powszechnej życzliwości, przyjął ją w zgromadzeniu!...—Ach! jakże ładna! Jakżeś szczęśliwy!—powtarzano nad uchem panu młodemu. Rzucił on okiem najżywszej miłości na swoją ulubioną i spotkał jej źrenice, w których łzy błyszczące oczekiwały, zda się, pobudzającego wzroku kochanka... Potoczyły się więc jak brylantowe ziarna po jagodach dziewicy, a uniesiony Hippolit rzekł żywo do stojącego obok swego krewnego, Pana Regenta, którego już znamy: — Władysławie! zgubiłeś mnie! Nie mogłem zgadnąć twego postanowienia ani uporu... Idź! zapisz moj cały majątek. Niech ojciec nie truje spokojności tego anioła, dziecka swojego, i mojego szczęścia!...

Ach! mój drogi! mógłżebyś ją utracić? Idź, zaklinam cię, idź! nie zwlekaj ani chwili!...

— Bądź spokojny, mój kochany, odpowiedział Władysław — za godzinę będziesz jej mężem. Wyprawiłem ja kogoś, który lepiej ode mnie i bez zapisów przemówi do chciwego na nasze sto tysięcy tatulka.—

Pan Władysław bowiem, opuściwszy, jakeśmy to widzieli, Prezydenta i swego kolegę jednej bronii, Podstolego, wyprowadził Koniuszyca z kompanii, i oba razem udali się do matki, wywołali ją z pokoju, w którym ona córkę ubierała, i po krótkiej z nią konferencyi, w której niespokojność na twarzy matki, a łagodne i szlachetne przekładania w poruszeniach i wyrazach Pana Władysława, wspomagane kategoryczną perswazją Koniuszyca, postrzegać i słyszeć można było, wrócili oba do kompanii. Matka wróciła także do córki, kończącej się ubierać, i przyzwawszy syna i Pana Tadeusza, poleciła im prowadzić Helenę po błogosławieństwo rodzicielskie; sama zaś osobnym przejściem udała się do męża. A tak w jednej i tejże samej chwili panna młoda do

zgromadzenia weselnego, a matka jej do pokoju, gdzie się jej mąż znajdował, wchodziły

W najgorętszym właśnie paroxyzmie był Prezydent.

— Moja duszo! gdzie jesteś? i *razem* gdzie Wasani siedzisz?

— Gdzież miałam być? Ubierałam córkę naszą kochaną do ślubu.

— Nie będzie ślubu, moja Pani, nie będzie! Nasz pan zięć mianowany, nie kocha naszej córki, a zatem i mężem jej być nie może! Nie chce zapewnić jej losu, nie chce zapisać jej nędznych tam sta tysięcy! A jakaż to miłość? jakież to przywiązanie? czego tu czekać? i czego się spodziewać? Młody chłopiec, jak mu wierzyć? Sprzykrzy się mu żona, ot i po wszystkim! wypędzi ją, i powróci do nas bez kawałka chleba, a może jeszcze i z dziatkami... Nie mogę więc zezwolić na ślub, póki nie będę miał podpisu kawalera na tym papierze (trzymał bowiem w ręku ów fatalny Pana Podstolego dokument). Ty sama kochasz twoje dziecko, a zatem powiedz jej...

— Nie, mój mężu! ja jej tego nie powiem!... ja jej tego nie powiem... Wychowałam ją w bo-

jażni Boskiej, w miłości cnoty, w uległości dziecięcej, w skromności i dobroci anielskiej; ufam w Boga, że ją pobłogosławi, że będzie ona dobrą, łagodną, przywiązaną żoną; a dobrą, łagodną, przywiązaną, bogobojną żonę żaden mąż jeszcze nie wypędził z domu swego... Ja jej tego nie powiem! kończyła płacząc rzewnie. Ty sam idź, powiedz jej twoją wolę. Nie sprzeciwi się ona biedna tobie; ale pamiętaj, że odbierając jej kołnierzyk i małżeńskie łożo, gotuj dla twojego dziecka całun i trumnę!... bo nie przeżyje ona rozłączenia się z tym, którego za naszym zezwoleniem ukochała, i wstydu, jaki na nas i na nią spadnie z tak gorszącego twego postępuku!... A ja nieszczęśliwa matka! ja nieszczęśliwa cóż pocznę? cóż poradzę? Rozpacz mojej Helusi zabije i mnie bez czasu!!! — Załamała ręce i zachodziła się z płaczu strapiona niewiasta... Stał jak wryty ojciec, uderzony taką niespodzianą a energiczną i czułą apostrofą żony swojej; wzruszyła ona go do głębi, bledniał i czerwieniał się na przemiany... a w tej chwili drzwi się otworzyły, i weszła córka... za nią pan młody między mną i Panem Władysławem, a za nami wszyscy.

Na ukazanie się w całej ozdobie wdzięków, niewinności i czułego rozrzewnienia ukochanego dziecięcia, serce ojca gwałtownie bić poczęło, uparte osłupienie jego mimowolnie we łzach topniało!!! Nagle wyobrażenie szybkie, jak błyskawica, powtórzyło mu przed oczyma świeżą przepowiednię żony, i też samą postać anielską dziecięcia jego na całunach i w trumnie przed nim złożyło... Wstrząst się przerażony! Znikła, przepadła, jakby jej nigdy nie było, myśl o zyskach i o zapisach. Upuścił z rąk papier. Miłość rodzicielska najczystsza, najżywsza zalała serce jego, owładnęła duszą!... Moje najmilsze dziecię! moja Helusiu!... pociecho moja droga!— wykrzyknął on, lejąc łez potoki... Matka, upadając do nóg swoich córkę zwróciła ku ojcu; a tak razem u nog obojga rodziców znalazła się ona, i gdy całowała je najgorętszemi oblewając łzami, ojciec podniósł ręce swoje ku niebu i rzekł: Boże! błogosław jej! błogosław drogiemu dziecięciu mojemu! Daj mu szczęście! zdrowie!...— Ojcze! przerwał klękając obok swój ulubionej młodzieniec, niech błogosławieństwo twoje spłynie razem i na twojego przybranego syna, który przysięga ci najuroczy-

ściej, że córka twoja wtenczas chyba dozna złej doli, gdy mi Bóg nie tylko mienie, ale zdrowie i życie odbierze...—

Nie mógł już więcej wymówić Prezydent; płakał tylko, całował i żegnał córkę i zięcia. Tymczasem matka, również płacząc rzewnie, całując i błogosławiąc, wzięła wianek mirtowy z tacy, i klęcząc z nachyleniem czołem dziewicy na głowie przypięta, a dukat z obrazem Bogarodzicy za sukienkę na pierś zasunęła.

Natenczas podnieśli, a raczej oderwali od nóg rodzicielskich Helenę. Powstał młodzieniec... Całe zgromadzenie jednym głosem „*Niech was Bóg błogosławi!*” zabrzmiało; i tak serdeczną życliwością wszystkich przeprowadzeni, siedli państwo młodzi do pojazdów i pojechali do kościoła...

Gdy nowe małżeństwo wśród powszechnej radości wróciło z kościoła, wszedł za nim Ksiądz Przeor, i kłaniając się uprzejmie całej kompanii, — i *po-bło-go-sła-wi-łem!* — rzekł. Jam się zbliżył do Hippolita, i dobitnie mu nad uchem wymówiłem: „*Głos twój przez Jego nie został wzgardzonym!*” (*) — Tak! rzekł on, z zapalem ści-

(*) Nocleg nad Wilią, patrz wyżej.

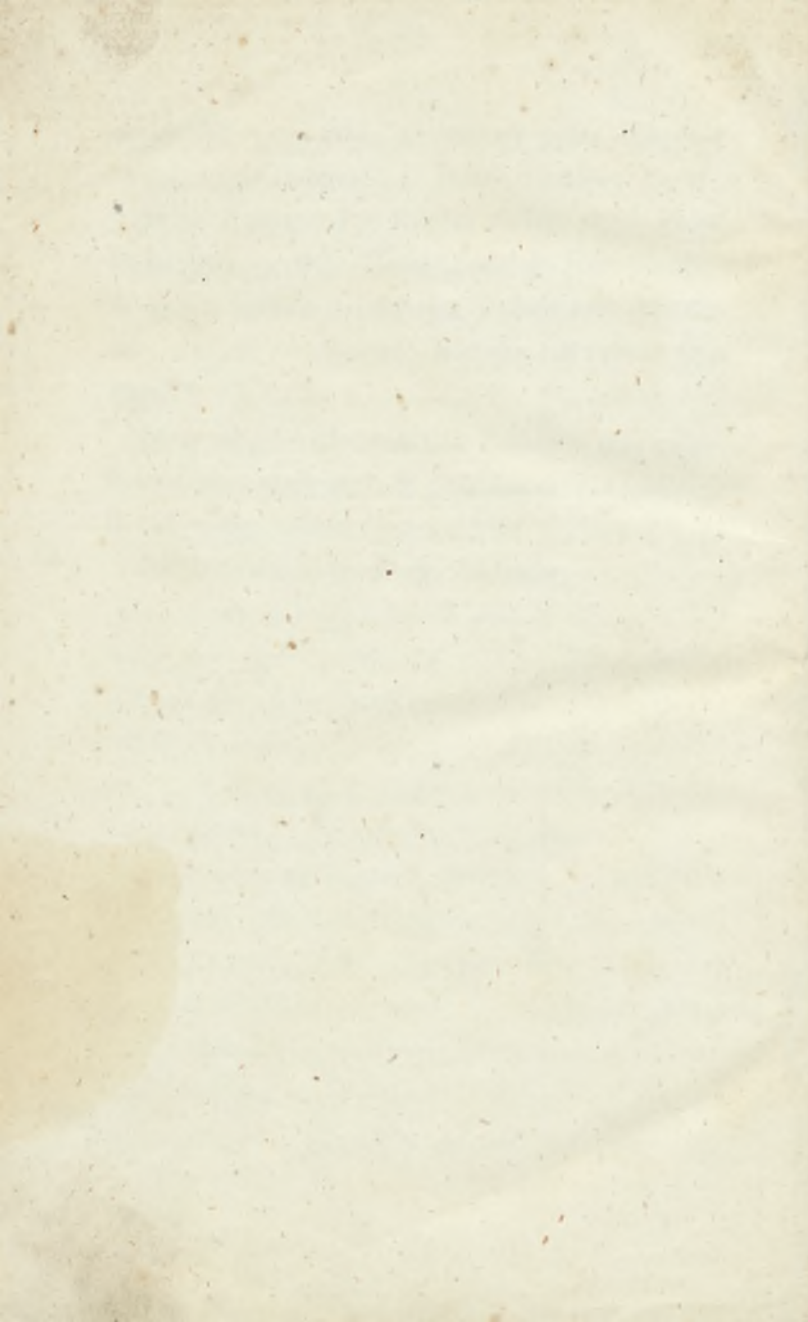
skając mi rękę, tak! „*Głos mój przez Jego nie został wzgardzonym!...*” Wiara i miłość na zawsze!— Nakoniec Pan Regent zbliżył się do Pana Podstolego.— Oto, Mości Podstoli Dobrodzieju, rzekł on, w dniu dzisiejszym *natura nad interessem odniosła zwycięstwo!* Bodajby tak zawsze bywało!!!

Stało się, — odpowiedział Podstoli, zażywając holenderkę, stało się! *Si finis bonus, laudabile...* iż tak rzekę, *totum!*

Na dziedzińcu ozwał się wildamor.

KONIEC.





270, -

176363

8/7/72

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

108887

Biblioteka WSP Kielce



0153928